III.I,13,49

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/zygmuntkaczkowsk0000vari

D Kaufmann

ŻYCIORYSY SŁAWNYCH POLAKÓW.
Nr. 4.

ZYGMUNT KACZKOWSKI

Jego życie i działalność literacka.

ZARYS BIOGRAFICZNY

PRZEZ

PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.

Z PORTRETEM Z. KACZKOWSKIEGO.

Cena 30 kop.

PETERSBURG.
NAKŁADEM KAZIMIERZA GRENDYSZYŃSKIEGO.
1898.

Printed in Poland

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

Pierwsze dziesięciolecie drugiej połowy XIX. wieku z samego już początku zaznaczyło się w dziejach cywilizacyjnego rozwoju Europy kontynentalnej znamionami reakcyi zarówno w dziedzinie polityki, jak w sferach religijnych i społecznych. Ruchy rewolucyjne lat dawniejszych zgniotła zręczna ręka Ludwika Bonapartego, a wszechwładztwo ludu stało się stopniem, po którym idea monarchiczna wznosiła się na coraz większe wyżyny. Teorye i mrzonki socyalistyczne straciły kredyt mas, znajdując jedyny przytułek w głowach zapalonych i ekscentrycznych. Reformy religijne nie znalazłszy ani gorliwych apostołów, ani fanatycznie posłusznych wyznawców, posłużyły wyłącznie do silniejszego ugruntowania wyznań dotychczas istniejących. Nawet naukę, tę wytrwałą pracowniczkę na polu ustalenia prawdy i przygotowania przyszłych ulepszeń, chciano zaprządz do rydwanu ówczesnych dążeń wstecznych; lecz to usiłowanie pozostało bez trwalszych następstw. Literatura, przeżywszy świetne dni chwały, grzęzła w powszedniem błocie życia, kiedy niekiedy tylko przypominając sobie, że niedawno cały świat ideałów w sobie mieściła. Praktyczna tylko strona rozwoju, rolnictwo, przemysł i handel, korzystając ze względnej w Europie spokojności i wyzyskując, o ile się dało, chwile starć krwawych, rozwielmożniła się nie żartem, a wspomagana nowymi wynalazkami i odkryciami, olbrzymie czyniła postępy, darząc społeczeństwo zachodnie z jednej strony dobrobytem, z drugiej zaś... proletaryatem. Rozwój materyalny zyskał czasową przewagę nad rozwojem duchowym, który zaczął się czołgać przez lat kilka w żółwiej skorupie zastoju, nie odganiając od siebie nawet i wstecznictwa.

Tak było w Europie, tak też po części i u nas, o ile naturalnie wielkie rzeczy dają się porównywać z małemi.

Po latach, w których się wyrobiły dwa dość wybitnie odznaczone kierunki: arystokratyczno-katolicki i demokratyczno-postępowy, nadeszła chwila niezdecydowanych przekonań, chwila jakiejś ugody zarówno niejasnej w swych podstawach jak i nader chwiejnej pod względem samej budowy. Gorętsze żywioły postępowe wydalono z łona społeczeństwa; ci zaś, co w nich znajdowali karm' duchową, nauczeni smutnymi wypadkami, już to specyalnej, już też ogólniejszej natury w roku 1846 i 1848, albo przycichli, albo wywiesili sztandar pojednania z biorącym górę prądem religijnym. Postępowe atoli usiłowania nie przebrzmiały bez skutku. Zdyskredytowały one przedewszystkiem kierunek wsteczny, tak, że kiedy hr. Rzewuski, który w latach poprzednich z podniesioną głową i z wielką pewnością siebie wygłaszał swe poglądy, założył „Dziennik Warszawski“ w celu szybszego ich rozpowszechnienia, to publiczność zaczęła sarkać i zmusiła autora „Listopada“ do złożenia redakcyi w inne ręce. Powtóre, usiłowania owe tyle przynajmniej podziałały na umysły, że „urodzony“ nie wstydził się imać przemysłu i rękodzieł, i że Korzeniowski w „Krewnych“ mógł bez zająknienia proponować podupadłemu obywatelowi uczenie się i praktykowanie stolarstwa.

Były to oczywiście bardzo drobne okruchy skutków, jakie sobie demokracya obiecywała po swojej daleko sięgającej działalności; zdyskredytowana atoli na czas jakiś smutnymi a krwawymi wypadkami, nie mogła się już spodziewać innych. Tym sposobem stało się, że w dziesięcioleciu od 1850 do 1860 żadna krańcowość nie popłacała. Umysły pokochały środek wygodny dlatego właśnie, że w nim pełzły jaskrawe barwy przekonań, a ostre kanty stronnictw ścierały się.

Filozofią niezależną od wiary, reprezentowaną u nas głównie przez Trentowskiego, a podsycającą niegdyś ducha demokratycznego, filozofią, którą dawniej zaszczycano szczegółowymi rozbiorami, wówczas przyjmowano szyderstwem, frazesami rzucanymi mimochodem, jakby od niechcenia, to w powieściach, to w artykułach krytycznych i literackich. Filozofia katolicka natomiast, idąca ręka w rękę z teologią, zyskiwała coraz więcej zwolenników. Trentowski w przeciągu lat dziesięciu odzywa się raz jeden w „Tece Wileńskiej“ na

to tylko, ażeby, doznawszy niemiłej i wcale nie filozoficznej odprawy, zamilknąć aż do r. 1860. Zmieniony stan rzeczy uczuł on bardzo boleśnie i z namiętnością sobie właściwą pisząc w r. 1861 przedmowę do „Panteonu“, który wyszedł dopiero w kilka lat po jego zgonie, kreśli jaskrawy obraz smutnego upadku wyższych pojęć i głębszych badań. „Coraz okropniejsze położenie kraju — powiada — zwrot Europy całej na piekielne manowce stare, muzułmanizm chrześcijański w zażartej walce z oświatą chrześcijańską... wszystko to razem przyprawiło mię o dziesięcioletnią niemoc... Naród sam zwrócił się lewo w tył i pędził szybko, by kolej żelazna, ku XIII. wiekowi, prześcignął wnet pod tym względem Zachód, który przecież stawiał potężny i w końcu zwycięski opór; że stał się coś na kształt Hiszpanii północnej. Ustały u nas przeglądy, światłu, postępowi i umiejętności poświęcone, takie np. jak niegdyś Kwartalnik krakowski i Rok poznański. Na miejscu ich królowały pisma w duchu i kierunku średniowiecznym, który wężową mądrością umiał nas wyprowadzić w las... Rzucano klątwy na filozofią, poniewierano rozum ludzki i umiejętność niepodległą... potwarzano a nawet prześladowano uprawiaczów i przyjaciół światła. O, straszne było to dziesięciolecie!... Głos swobodniejszy i słowo oświecić kraj chcące nie znalazły przyjęcia w czasopismach. Dzieło filozoficzne szukało daremnie czytelnika, a więc i wydawcy. Powróciło się w najohydniejszy dawnej upadającej Polski czas, wyjąwszy chyba, że nie spalono Łyszczyńskiego i dano tak zwanemu makaronizmowi pokój! Było ognia wiarowego siła, a światło utaiło się tam i sam pod popiołem. Stany te bolały mnie mocno i nie mogły mi dopomódz do zdrowia. Potrzeba mi było wyczekiwać przyszłości lepszej, albowiem dla chwil barwy takowej pracować i pisać nie warto!“ Wskutek takichto przyczyn najoryginalniejszy umysł filozoficzny polski musiał trawić się sam w sobie, nie mogąc przedstawić szerokiej publiczności myśli i pragnień swoich.

Kremer i Libelt poświęcili swe prace estetyce, nie zaczepiając innych zagadnień z dziedziny „królowej nauk“.

Wielka masa dzieł teologicznych znacznego rozmiaru a popularnie pisanych, teraz bardzo chętnych znajdowała tłómaczów. Ks. Gaume, ks. Guillois i wielu innych weszli u nas na porządek dzienny. Wielka historya powszechna Cezara

Cantu, napisana w duchu katolickim, została właśnie wówczas językowi naszemu przyswojona. Wymieniam tylko główniejsze fakta, nie mając bynajmniej zamiaru wyczerpywać tak obszernej kwestyi; dodam tylko jeszcze kilka słów obcych, ażeby pokazać, że już współcześni uczuwali dokonywającą się zmianę. Oto jakie życzenia na rok 1851 składa historyograf demokracyi szlacheckiej, Waleryan Wróblewski, swym ziomkom w Athenaeum, redagowanem przez Kraszewskiego (zeszyt VI, str. 224 z roku 1850): „Unikajmy szaleństw socyalistów, bo one w niczem nie przypadają do naszego umysłu wychowanego w zdrowiu (?) i własnem historycznem doświadczeniu, a mogłyby nam przyćmić nasze dobre u ludzi imię! Odrzućmy naukę filozofów niemieckich, bo nudna, ciemna, a w ostatecznym wypadku niepoczciwa. Nie wierzmy nadewszystko ich nieszczeremu słowu i obietnicom, bo jest to wierzyć w możebność pogodzenia ateizmu z wiarą, entuzyazmu z rachunkiem, jestto bratać odwiecznie niecierpiące się z sobą plemiona i ich żywotne interesa“. Głos to bynajmniej nieodosobniony; z takich i tym podobnych mógłbym porządny chór ułożyć.

Kwestya usamowolnienia włościan i emancypacyi kobiet, którą w poprzedniem dziesięcioleciu tak gorąco się zajmowano, doznała losu filozofii. Usamowolnienie włościan, obrabiane w książkach specyalnych, a z ekonomicznego punktu widzenia, dopiero pod koniec chwili dziejowej, o której mówimy, weszło napowrót na szersze pole dyskusyi w szpaltach dziennikarskich. Emancypacya zaś kobiet wyszydzona, wyśmiana, stała się straszydłem społecznem, o którem lękano się wzmiankować nawet.

Nauki przyrodnicze nie były co prawda zaniedbywane, lecz w przeprowadzeniu ich szczegółów i w ogólnym na nie poglądzie trzymano się powag dawnych, a nowsze badania pomijano milczeniem. Cały np. ruch materyalistyczny, który taką wrzawę wzniecił wówczas w Niemczech a w znacznej części i w innych krajach Zachodu, u nas nie odbił się ani sympatycznem, ani antypatycznem echem; poprostu ignorowano go; wiedziały o nim zaledwie jednostki. Nowsze zdobycze geologii i zoologii doszły do nas bardzo późno, bo w najbliższych nas dopiero czasach. Brak uniwersytetu jak w innych gałęziach wiedzy, tak mianowicie w naukach przyrodniczych dawał się uczuć bardzo dotkliwie: odosobnił je od ru-

chu ogólno-europejskiego, przeciął dopływ nowych, ożywiających soków. Dzieła naukowe ukazują się sporadycznie, a wydawnictwa popularne przeżuwają tylko stary pokarm.

Strona głównie praktyczna tych nauk w zastósowaniu do rękodzieł, przemysłu i sztuki leczenia stała się przedmiotem dosyć pilnie badanym i rozpatrywanym. Realny kierunek wychowania w Królestwie sprzyjał temu nie mało. Nie wspominając o tak zwanych gimnazyach realnych, o instytucie agronomicznym i o założonej w roku 1857 akademii medyczno-chirurgicznej, z własnych wspomnień przytoczyć mogę okoliczność świadczącą, że wykształcenie techniczne rozpoczynano wtenczas bardzo wcześnie. Przy ulicy Bednarskiej istniała szkoła elementarna o dwu oddziałach. Otóż w drugim oddziale dzieci mniej więcej dziesięcioletnie uczyły się technologii i mechaniki, wykładanej rozumie się bardzo przystępnie, chociaż niezbyt praktycznie; opowiadano tam np. o własnościach tlenu i azotu bez żadnych doświadczeń. Ile takich szkółek było wówczas w kraju, nie wiem, dość że istniały, i jakkolwiek wadliwie, rozpowszechniały przecież wiadomości realne, których wymagał podnoszący się przemysł.

Zniesiona w roku 1850 granica od cesarstwa, niedawno zbudowana kolej warszawsko-wiedeńska, urządzone statki parowe na Wiśle, ułatwiając komunikacyą, przyczyniały się do rozwoju handlu oraz bliższych stosunków z zagranicą. Dążność do polepszenia bytu materyalnego, z krzątaniem się około zakładania fabryk i udoskonalania rzemiosł, chociaż w porównaniu z europejskim ruchem na tem polu, równała się prawie pracy Robinsona, chociaż jako początkująca znajdowała poparcie u ludzi trzeźwo zapatrujących się na sprawy kraju, raziła przecież umysły sentymentalno-poetyczne, nie znoszące dymu fabrycznych kominów, a lubujące się w naszych błotach, jeziorkach, wybojach szosowych i tym podobnych arcypatryarchalnych zabytkach, które „ducha nie gaszą“.

Z tej samej dążności praktycznej wyniknął w dziedzinie umysłowej prąd wychowawczy, który się ujawnił w wydawnictwach książkowych i pismach peryodycznych. W drugiej mianowicie połowie rozpatrywanego dziesięciolecia prąd ten nabrał pewnej siły, wywołanej po części zainteresowaniem się losem chorego Jachowicza. „Zabawy przyjemne i pożyteczne dla młodego wieku“ r. 1856 i 1857 Józefy Śmigielskiej,

„Rozrywki dla młodocianego wieku“ Seweryny z Żochowskich Pruszakowej od 1856 do 1860 r. oto tytuły czasopism poświęconych sprawie wychowania. Nowe wydanie dzieł Hofmanowej r. 1857 świadczyło o zamiłowaniu w dawnych ideałach wychowawczych.

Możnaby tu jeszcze przytoczyć jeden, co prawda chorobliwy już objaw owej dążności praktycznej na polu polityki, objaw wyrażony w połowie przez niby-idealistów (A. E. Odyńca, I. Chodźkę, M. Malinowskiego, A. H. Kirkora); lecz o tej smutnej chwili naszych dziejów wewnętrznych wolę zamilczeć.

* * *

Typem panującym ówczesnej chwili literackiej była historya malownicza i beletrystyka.

Przeszedłszy przez rózgi doświadczenia krwawego, umysły szukały ukojenia w rozpamiętywaniu przeszłości. Chciano zapomnieć choćby na czas krótki tylko o niesmaku bieżącej chwili i zanurzyć się w ożywczem źródle tradycyi, chciano sobie osłodzić przykrość położenia rzeczywistego przypomnieniem dawniejszej sławy. Nie żądano ani demokratycznych, ani arystokratycznych, ani nawet czysto naukowych, objektywnych poglądów na wypadki dziejowe; pierwsze bowiem i drugie przy zmienionem usposobieniu nie mogły popłacać; do trzecich nie miano dostatecznego przygotowania. Przedstawić tedy przeszłość w obrazie żywym, taką, jaką była, a choćby nawet dobrze jej pochlebić; zainteresować ubiorami, sprzętami, szczegółami życia domowego, ciekawostkami archeologicznemi, rapsodami rycerskimi, stało się przedmiotem pragnień czytelników i usiłowań autorów. — Zaczęto więc poszukiwania archeologiczne, ażeby zdobyć szczegóły zajmujące do tła obrazów. Komisye archeologiczne w Kijowie i Wilnie pomagały skutecznie do obudzenia zapału dla takich badań.

Zaczęto wydawać pamiątki historyczne, wizerunki królów i t. d. w przepysznych wydaniach, na które arystokracya kosztów nie skąpiła. Zaczęto opłacać malownicze opowiadania historyczne, życiorysy i t. p. Karol Szajnocha zachwycił wszystkich swoimi szkicami, swojem dziełem „Jadwiga i Jagiełło“. Julian Bartoszewicz, choć z mniejszym talentem słowa, z niemniejszą jednak żywością i obfitością szczegółów pisał

swoje życiorysy znakomitych mężów, swoje kościoły warszawskie. Obaj mieli gruntowną naukę; obaj badali źródła; lecz owoc swych mozolnych trudów przywdziewać musieli w szaty malownicze, ażeby dzieła ich znalazły czytelników a zatem i pokup. Za nimi zdążali i inni.

Historya jednak była tylko przysmakiem; właściwy zasadniczy pokarm ogółu stanowiła beletrystyka. Były tego powody ogólne, trwające do dziś dnia, i szczegółowe, będące sprężyną chwili ówczesnej. O pierwszych nie tu miejsce rozprawiać; o drugich wspomnę pokrótce.

Przypomnijmy sobie, że dziesięciolecie od 1850—1860 stanowi trzecią niejako dobę w rozwoju nowszej poezyi naszej, że wówczas rozwinęły się talenta nie powszednie, umiejące zyskać słuchaczy nawet po takich mistrzach jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński. Na tę chwilę przypada druga faza talentu Wincentego Pola, który wystąpił jako wyłączny śpiewak szlacheckości w „Sejmiku w Sądowej Wiszni“, „Senatorskiej Zgodzie“, „Mohorcie“, „Stryjance“, a jako śpiewak ciasnej lub przesądnej religijności w „Czarnej Krówce“, „Wicie Stwoszu“. Na tę chwilę również przypada działalność poetycka Syrokomli, Deotymy, Lenartowicza, Felicyana Faleńskiego, Wacława Szymanowskiego, Mieczysława Romanowskiego, Henryka Jabłońskiego, Apolla Korzeniowskiego, Leonarda Sowińskiego, Brunona Bielawskiego, Platona Kosteckiego, że pominę wielu innych.

Tyle zdolności, występujących na widownię w jednym czasie, musiało wywrzeć wpływ na publiczność, która, jak się zdawało, zobojętniała już na powaby poezyi. Istotnie dzieła owych twórców, opiewające po większej części przeszłość, trafiały wybornie w usposobienie czytelników, spragnionych takich obrazów. Nie wymagały one wielkiego natężenia umysłu, bo opowiadały wypadki łatwo, zrozumiałe, wystawiały ludzi nie grzeszących zbytkiem inteligencyi, — nie wymagały również forsowania wyobraźni, gdyż same bardzo wysokim lotem się nie odznaczały. Jeżeli zaś czasem trudniejsze były do pojęcia (np. u Deotymy), to wynagradzały trud zadany umysłowi — nadzwyczajnością swojego powstania, improwizacyą. Wielka serdeczność, prostota, a nawet rubaszna jowialność, cześć dla cnoty, uwielbienie dla przeszłości, rzewność i wiersz gładki, potoczysty: oto środki, którymi przeważnie

szturmowały utwory poetyczne do serc czytelników. Takie środki skuteczniejsze nawet były od niesłychanej potęgi fantazyi Słowackiego, od filozoficzno-socyalnych pomysłów Krasińskiego; nie dziw więc, że ci, którzy się nimi posługiwali otrzymywali nieraz zwycięstwo nad wielkimi mistrzami; zwycięstwo bezwątpienia ciche, nie ogłaszane przy dźwięku trąb i bębnów, nie przyznawane otwarcie, pomimo to jednak upajające duszę. Czytano więc poezye z rozkoszą, rozkupywano poemata bardzo szybko: tysiąc egzemplarzy Mohorta rozeszło się niemal odrazu; księgarze nietylko chętnie drukowali, lecz nawet nieźle płacili za wiersze: Syrokomla brał za każdy po 2 złote, Pol daleko drożej.

Podobnie mniej więcej rzecz się miała z powieścią. I tu również obok dawniejszych uznanych już pisarzy ukazały się talenta młode, świeże, wróżące świetną przyszłość. Obok Kraszewskiego, Rzewuskiego, Korzeniowskiego, Chodźki, Józefa Dzierzkowskiego, wystąpili: Kaczkowski, Zacharyasiewicz, Łoziński Walery, Albert Wilczyński, Miniszewski, Niewiarowski, Gregorowicz, Pług, a wreszcie Jeż. Wszystkie niemal stany: szlachta, duchowieństwo, urzędnicy. lud miejski i wiejski, bakuniarze (przemytnicy w Beskidach), znaleźli swoich malarzów, którzy ze szczególną drobiazgowością podpatrywali ich wady i zalety, ich przyzwyczajenia, miny, ubiór, i z serdeczną dobrodusznością, lub wcale nieszkodliwym humorem przedstawiali je w mniej lub więcej udatnych obrazkach i obrazach. Publiczność wdzięczna była za taką troskliwość i pobłażliwość zarazem i chętnie się podobnym malowidłom przypatrywała.

Wówczas to powieść nabrała ogromnego znaczenia. Taki urzędowo-poważny człowiek, jak Józef Korzeniowski, nie wahał się na początku tego dziesięciolecia utrzymywać, że powieść pochłonie wszystkie inne rodzaje twórczości, nawet dramat, i w tem pochłonięciu nie upatrywał nic złego. Wprawdzie w kilka lat potem, Kraszewski, widząc niezdarne utwory swoich naśladowców, oświadczył, że jeżeli nie sama powieść, to przynajmniej dotychczasowa jej forma przeżyła się; że ówczesne utwory powieściowe wyglądają „jak kompozycye sławnych malarzy, litografowane na chustkach od nosa“; że żaden z nich ani o włos nie różni się od tysiąca pięciuset powieści i powiastek, których obfitość zagrażała potopem: ale Korzeniowski wystąpił w obronie powieści, mówiąc, że „każda

forma jest dobra, gdy życiem natchnięta" – i na tem poprzestano. Kraszewski nie porzucił przestarzałej formy i pisał dalej powieści tak samo, jak i inni autorowie. Powieść była jakby gmachem rozległym, który wieńczyła kopuła poezyi.

Dziennikarstwo, które po założeniu „Dziennika Warszawskiego" zaczęło się reformować, było doskonałym pośrednikiem pomiędzy powieściopisarzami a publicznością. Odcinek musiał być zapełniony poematem lub powieścią, a przedewszystkiem tą drugą formą elastyczną, dającą się rozciągać do przyzwoitej długości.

Współubiegano się więc o dostarczenie przyciągającej prenumeratorów lektury, i pośrednio wprawdzie, ale bardzo silnie, wpływano na płodność twórczości autorskiej. Z drugiej strony dziennikarstwo zajmowało się nader gorliwie rozbiorem wychodzących powieści. Oprócz krytyków urzędowych, piszących recenzye w oznaczonym terminie, każda gazeta miała korespondentów na Litwie i Ukrainie, którzy prawie wyłącznie rozbiorem powieści się trudnili, tak, że o jednym utworze w tem samem piśmie bywało po kilka krytyk i sprawozdań. Była wówczas moda listów krytycznych pisanych niby poufnie przez literatów do siebie, a drukowanych w gazecie; pisał więc Tadeusz do Antoniego a Antoni do Tadeusza, i znowu Tadeusz do Adama a Adam do Tadeusza; Michał (Grabowski) zaś, jako patryarcha całej tej rzeszy krytycznej, pisał do wszystkich. Były to po większej części gawędy bez naukowego znaczenia, pisane lekko, czasami obrazowo, przystępne zatem dla ogółu czytelników. Nie szczędzono w nich kadzidła uznanym powagom, zarzuty obwijano w bawełnę; przekonań nie rozbierano gruntownie. Obrażały one jednakże niekiedy drażliwy ród poetów. Syrokomla, Pług zarzucali im poprostu stronność. Syrokomla radził Lesznowskiemu, ażeby zamiast pojedyńczych liter kazał poodlewać całe frazesy krytyczne, takie np. „Ulubiony nasz autor (a zarazem współpracownik „Gazety Warszawskiej") udarował naszą literaturę" i t. d.; albo też: „Ciekawi jesteśmy, co mógłby lepszego napisać autor, który pomimo apoteozy „Dziennika Warszawskiego" i t. d. [1]). W tymże samym czasie (1855 r.) pisał Pług w „Ga-

[1]) List Syrokomli do Kraszewskiego (*Przegląd Europejski*, r. 1862, listopad, str. 356).

zecie Warszawskiej“, że „na jeden sąd zdrowy a sumienny miewamy dziesięć namiętnych a uprzedzonych, na jedno zdanie wyrzeczone z powagą a namaszczeniem, dziesięć gwałtownych pamfletów lub panegiryków przyjacielskich“.

Nie wchodzimy w to, czy te skargi były słuszne czy nie, dość że istniały gawędy o literaturze poetycznej i powieściowej w bardzo wielkiej ilości. Publiczność interesowała się niemi widocznie, gdyż w przeciwnym razie wydawcy nie byliby pozwolili zapełniać gazet drukiem niepoczytnym.

Wobec współdziałania takich czynników jak: ilość talentów, poparcie prasy i smak publiczności, nie można się dziwić, że beletrystyka stała się najwybitniejszym i najdokładniejszym obrazem ówczesnego stanu literatury i oświaty narodowej wogóle. Wszystkie inne działy piśmiennictwa musiały pożyczać barw od niej, ażeby się upowszechnić wśród rozłakomionego na powieści ogółu czytelników.

II.

W takiej to dobie wystąpił Zygmunt Kaczkowski, jako nowy pracownik na niwie powieściopisarstwa. Dziennikarstwo ówczesne przyjęło go frenetycznymi oklaskami; publiczność z niepraktykowanem dotąd zajęciem czytała jego utwory, które w bardzo krótkim przeciągu czasu doczekiwały się przedruków. Posypał się prawdziwy grad recenzyi, ubiegających się o to jedynie, która lepiej i silniej zastosuje wyrazy „znakomitość“, „arcydzieło“ i t. d. do pism autora „Bitwy o Chorążankę“. Ktokolwiek wziął pióro do ręki, by napisać korespondencyę do gazet o czembądź, choćby o burakach np., zawsze na Kaczkowskim skończyć musiał. Starzy nawet, zagorzali klasycy, np. Kajetan Koźmian, Franciszek Wężyk, którzy nietylko lekceważyli takich autorów jak Korzeniowski, Kraszewski, lecz nawet w poufnej korespondencyi obelżywymi obdarzali ich epitetami, podejrzywając o spekulacyą literacką, ci klasycy interesowali się mocno działalnością Kaczkowskiego, otaczali go niezmyśloną sympatyą i talent jego wysoko nad innych podnosili.

To niezaprzeczone powodzenie, które wstępnym niemal bojem potrafił sobie zdobyć Kaczkowski, musiało mieć oczywiście swoje przyczyny; a cokolwiekbyśmy powiedzieli

o magnetycznym wpływie, wywieranym przez talent na czytającą publiczność, z której naturalnie i krytyków nie wykluczam, zawsze to w zgodności ogólnego nastroju ducha społecznego z kierunkiem umysłowym i sferą działalności pewnej utalentowanej jednostki wypadnie szukać najgłówniejszego źródła wzajemnej między nimi sympatyi. W przekonaniach Kaczkowskiego, w jego poglądach na przeszłość i życie współczesne, w naturze jego talentu, w charakterze artyzmu odnaleźć musimy ten węzeł sympatyczny, który go uczynił odrazu rzecznikiem społecznym, wygłaszającym potrzeby, pragnienia i ideały inteligentnej cząstki społeczeństwa w owej chwili dziejowej.

Zygmunt Józef Erazm Kaczkowski, urodzony roku 1826 we wsi Bereźnicy w Sanockiem, wychowywał się przeważnie w domu. Matka jego „była niewiastą cnót nieskalanych, charakteru anielskiego, cicha, spokojna, bez żółci, pełna miłości dla wszystkich, oddana jedynie życiu domowemu i rodzinie“. Ojciec, wyćwiczony w naukach realnych: górnictwie, mechanice i rachunkowości, niegdyś wojak napoleoński a następnie ziemianin, był człowiekiem „nader bystrego pojęcia, żartkiego dowcipu i wesołego temperamentu, wyobrażeń i form poniekąd bardziej cudzoziemskich niż polskich“, co mu jednak nie przeszkadzało być wielkim miłośnikiem kraju. Nie stroniąc od zabawy i chętnie podejmując u siebie gości, nie był przecie hulaką i marnotrawnym; nie mogąc brać czynnego udziału w sprawach publicznych, zajmował się gospodarstwem i popierał życie umysłowe. Posiadał bibliotekę, prenumerował wszystkie niemal pisma peryodyczne polskie; „goście zaś przywozili ze sobą najnowsze książki a częstokroć i nieogłoszone jeszcze rękopisma znakomitych utworów“. Zebrania w domu Kaczkowskich nie były, zdaje się, obrachowane wyłącznie na skonsumowanie pewnej liczby potraw i napojów, jak niemniej na grę w karty; lecz miały charakter bardziej umysłowy. Rozprawiano tu o potrzebach kraju, o piśmiennictwie, czytano dzienniki, deklamowano poezye. Atmosfera literacka obejmowała Zygmunta już od samego zarania wieku.

Wielka pojętność, pamięć bystra, którą się młody Kaczkowski odznaczał, czyniła go wrażliwym na wpływy otoczenia. Przy gorliwości ojca, mając lat *cztery*, umiał już czytać po polsku i po francusku, umiał pisać i trochę rachować;

a mając lat *siedm,* zdał egzamin z czterech klas normalnych tj. elementarnych, pisał poprawnie po polsku i po niemiecku, a w języku francuskim znaczne zrobił postępy. Nie mogąc wstąpić do gimnazyum z powodu młodocianego wieku, kształcił się dalej w domu pod kierunkiem ks. Pawła Żegiestowskiego, proboszcza obrządku unickiego, męża używającego wielkiej czci w okoliey, który uczył religii, łaciny i geografii, oraz Józefa Niklewicza, krewnego matki Zygmunta, który miał od niego nauczyć się wszystkich innych przedmiotów z zakresu pierwszych klas gimnazyalnych. O ks. Żegiestowskim nie posiadamy bliższych szczegółów, któreby nam wyjaśniły tak jego metodę nauki jako też jej ducha. Przypuszczać tylko można, wnioskując z późniejszych przekonań Kaczkowskiego, że unita, trzymając się ściśle zasad wiary i jej obrządków, nie wszczepiał w młodziutkiego wychowańca ani bigoteryi ani fanatyzmu. Niklewicz zaś, człowiek jeszcze młody, wysmukły, wiotki, niezmiernie blady, zawsze zamyślony i rozmarzony, pomimo gruntownej nauki, wcale na nauczyciela nie stworzony, oprowadzał Zygmunta przez całe dni po Bieszczadach, przysiadał od chwili do chwili na karpackich polanach, wydobywał Byrona, Schillera, Goethego lub Mickiewicza, niekiedy zaś Kochanowskiego, Karpińskiego lub Kniaźnina i odczytywał na głos ulubione utwory, zalecając chłopcu powtarzać je za sobą. Śliczne, podbudzające fantazyą widoki górskie, prostota wdzięków i wspaniała groza przyrody, melancholia świata roślinnego, którego ruchów wiatr jest samowładnym panem, lot orła śmiało szybującego ponad wierchami, zgrabne skoki sarny lecącej jak błyskawica ponad przepaściami, wesoły gwar ptactwa śpiewającego swe barkarole i hymny — na najobojętniejszego nawet wywierają wrażenie; a cóż dopiero na chłopca obdarzonego żywą wyobraźnią, wielką wrażliwością, rozkołysaną powiewem harmonii dźwięków!

Taki tryb wychowania trwał dwa lata; w dziewiątym roku życia wszedł Zygmunt do pierwszej klasy gimnazyalnej, a przy końcu kursu rocznego nietylko z pierwszej, lecz i z drugiej złożył egzamina; poczem ojciec oddał go do *konwiktu dominikańskiego* we Lwowie. O przebiegu nauk szkolnych niewiele wiemy; to tylko pewna, że szóstą klasę odbywał r. 1841/2 wraz z Mikołajem Zyblikiewiczem w Samborze. Znamienne szczegóły z ówczesnego życia studenckiego opowiedział później

Kaczkowski w „Świętej Klarze“. Powtarzam je tu prawie w całości.

„W Samborze nie było ani jednego konwiktu, studenci mieszkali po stancyach, u profesorów, u urzędników niemieckich i mieszczan, niektórzy nawet po dalszych przedmieściach, lecz mimo to żyli pod tak ścisłym dozorem, jak gdyby byli zamknięci w murach jednego i tego samego seminaryum. Prefekt wiedział o mieszkaniu każdego studenta, był zawsze jak najdokładniej zainformowany o tem, co robi w domu, z kim żyje i kto bywa u niego, a u tych, którzy mu byli podejrzani, odbywał zazwyczaj z drugim profesorem rewizye, często nawet w nocy, a wtedy trzeba mu było wszystkie szuflady i wszystkie kuferki otwierać, w których wszystko dowolnie przerzucał. Jeżeli znalazł jaki zapisany świstek papieru, to trzeba mu go było jak najdokładniej tłómaczyć; jeżeli mu wpadła jaka książka pod rękę, która mu się nie podobała, choćby to był który z takich pisarzy niemieckich jak Herwegh, Heine lub Boerne, to ją zabierał, poczem następowała nazajutrz inkwizycya w biurze prefekta, a za nią szły: admonicya publiczna w klasie albo w sali gimnazyalnego senatu wobec wszystkich klas zgromadzonych, areszt domowy na parę dni, albo więzienie w klasie, zazwyczaj przez całą niedzielę, o chlebie i wodzie. Wszystkie te biurokratyczne prześladowania młodzież znosiła z humorem, a te areszty niedzielne nawet nas niepomału bawiły, bo wtedy pod okna tego więzienia przychodziły zazwyczaj panienki z miasta i przynosiły nam rozmaite łakocie i buteleczki napełnione winem, któreśmy na sznurkach wyciągali przez okno do klasy, z czego była zawsze wielka uciecha. Rzecz charakterystyczna do tych czasów, że między temi panienkami było nie mało Niemek, córek urzędników i profesorów, a rej nad niemi wodziła żona Linzbauera, jedynego liberalnego profesora w tem gimnazyum, od którego też zawsze dowiadywały się, który student siedzi w więzieniu i w której klasie.

„W tych gimnazyach ówczesnych nie słyszeliśmy nigdy ani jednego polskiego słowa. Wszystkie wykłady odbywały się po niemiecku lub po łacinie, do czego należała także literatura grecka. Wszyscy profesorowie byli doskonale wyćwiczeni w tych językach i uczyli ich pilnie i dobrze, matematykę i geografię wykładali także praktycznie i umiejętnie, ale ich wy-

kłady historyi, poezyi i retoryki były taką monstrualnością, jakiej dzisiaj w najdzikszym kraju nie znajdzie. Zapatrywania ich na te przedmioty były nietylko niezmiernie ograniczone, ale wymierzone wyłącznie ku temu, aby nas austryackiego patryotyzmu nauczyć, toż według nich niemal już Cycero i Horacyusz byli austryackimi patryotami *in nuce*. Młodzież, pragnąca zazwyczaj prawdy i wiedzy, słuchała tych wykładów ze wstrętem, a natomiast szukała (!) oświecić się o tych przedmiotach po za obrębem szkoły. Prócz tego usiłowała nauczyć się tych przedmiotów ze źródeł pisanych we własnym języku. Stąd poszło, żeśmy urządzali schadzki w naszych własnych mieszkaniach, na których czytywaliśmy książki takie, o których istnieniu dowiadywaliśmy się tylko pomiędzy sobą, bo na wykładach szkolnych nawet o ich tytułach nie wspominano.

„W mocno wówczas zniemczonym Samborze było nawet nie wielu takich studentów, którzy pochodzili z rodzin zamożniejszych i oświeceńszych, a przeto mieli cokolwiek więcej ukształcenia z domu; wszyscy inni byli to po największej części synowie urzędników niemieckich, ruskich księży, małomieszczan i chłopów mazurów, których osady otaczały dokoła miasto. Oświata pomiędzy nimi stała na bardzo nizkim stopniu, to też i później mało który z nich zajął jakieś znaczniejsze stanowisko w społeczeństwie. Szkoły te, mające na celu ograniczenie umysłów i ogłupienie młodzieży, przypominające zupełnie nasze szkoły jezuickie z czasów saskich, wywierały na nią wpływ zgubny, działający zazwyczaj do końca życia. Ze wszystkich moich samborskich kolegów tylko jeden Mikołaj Zyblikiewicz wybił się w górę, a przeszedłszy całą skalę publicznych powołań, zajął na końcu najwyższy urząd w autonomicznej administracyi kraju. Syn kuśnierza z Nowego Miasta, w zimie w kożuszku, a w lecie w grubym kubraku, był on wtenczas tak ubogi, że kiedy jakiś arcyksiążę przejeżdżał przez Sambor i on miał mieć mowę łacińską do niego, to musiał sobie pożyczyć fraka u jednego z kolegów: ale to mu wcale nie ujmowało ani czci, ani miłości pomiędzy nami, bo w naszem gronie górowało nad wszystkiem uczucie równości, a ktoby był usiłował występować z szeregu na podstawie swojego rodu albo majątku swoich rodziców, tenby był wygwizdanym i niktby mu był ręki nie podał. Myśmy znali natenczas tylko arystokracyę talentu i ukształcenia, a do tej

arystokracyi Zyblikiewicz w pierwszym rzędzie należał. Profesorowie wytężali wszystkie swe siły, aby utrzymywać średniowieczne przesądy pomiędzy młodzieżą, ale pomimo to w tej młodzieży żył duch, który był silniejszy od profesorów i otwierał na ścieżaj jej umysły i serca dla nowożytnych idei.

„W naszej klasie było tylko pięciu czy sześciu takich studentów, którzy mieli mieszkania osobne a zarazem i możność zaopatrywania się w takie książki, których w bibliotece gimnazyalnej nie było: ale schadzki odbywały się tylko u Kubusia [1]) i u mnie. Ja mieszkałem u urzędnika magistratu, francuskiego Szwajcara, obarczonego liczną, lecz bardzo ukształconą rodziną, w dworku położonym w ogrodzie, i miałem u niego pokój osobny z gabinetem sypialnym i z dwoma wychodami — a Kubuś miał nawet dwa duże pokoje, także w dworku odosobnionym i także z dwoma wychodami, a nadto jeszcze i z przedpokojem, w którym mieszkał jego służący. Te podwójne wychody były to klapy bezpieczeństwa na wypadek wizyty prefekta; dlatego ostrożni koledzy, do których i Zyblikiewicz się liczył, przenosili nasze mieszkania nad inne.

„Ale myśmy mieli jeszcze inną klapę bezpieczeństwa, a był nią stary Hermanowicz, Rusin z rodu, ale legionista od pierwszej chwili, potem żołnierz napoleoński a w końcu konstantynowski do końca, z którego to powodu powiadał o sobie, że miał trzydzieści cztery lat służby bez przerwy. Po tej służbie na stare lata, osiadł w Samborze i dawał lekcye języków: francuskiego, włoskiego i hiszpańskiego. Ile jego lekcye były warte, można się stąd domyśleć, że przez cały czas swojej służby był tylko wachmistrzem i dopiero w roku 1831 został podporucznikiem: ale był to typ w całem mieście znany i szanowany; gorący przyjaciel młodzieży a postrach na Niemców. Dobrego wzrostu, okrutnie barczysty, z ogromną łysiną pokiereszowaną wzdłuż i na poprzek, z ogromnymi wąsami sadzą wyczernionymi, w długim surducie z szerokimi rabatami, w wysokim czworograniastym, niby ułańskim kaszkiecie, z kawalerzyskiemi ostrogami u butów i ogromną sękatą pałką w ręku: tak można go było widzieć codzień w południe przy ratuszu na rynku, kiedy warta zaciągała na odwach. Ten i ów

---

[1]) Jest to jedna z głównych postaci w „Świętej Klarze“, entuzyasta; Kaczkowski nie podaje jego nazwiska.

żołnierz mógł chybić przy apelu, ale Hermanowicz był pewnie. Dawał nam lekcye włoskiego języka po południu, po szkole i tu czasem chybiał, ale za to regularnie na schadzki przychodził, bo wtedy była zawsze buteleczka wina dla niego, i albo opowiadał nam dzieje wojen napoleońskich, albo przysłuchiwał się deklamacyom. Owóż kiedy dano znać, że prefekt idzie, co się nieraz zdarzało, Hermanowicz wybiegał z pałką do niego i wołał łamanym językiem: *Nichts Revision! Hier ist Lektion! Das kostet Geld! Rechtsum! Adieu!* Niemcy go serdecznie nienawidzili, ale mieli taki respekt przed jego wąsami, ostrogami i pałką, że odchodzili, kłaniając się i mówiąc do siebie na ulicy: *Ein närrischer Kerl.*

„Tymczasem nie można sobie nic niewinniejszego wyobrazić, jak te nasze schadzki ówczesne. O polityce tam nigdy mowy nie było, nawet politycznych teoryi nigdy nie dotykano. Czytaliśmy tylko polskich i niemieckich poetów i deklamowaliśmy ich wiersze. Nawet o ich drukowane dzieła było trudno natenczas; jeżeli się zdarzył jaki egzemplarz, to biegał po rękach, niektórzy go przepisywali, inni się uczyli na pamięć. Byli tacy, którzy nawet polskich poetów nie rozumieli i czytali ich tylko dla nauczenia się polskiego języka. Ale Kubuś ich rozumiał, chociaż po swojemu, uczył się ich na pamięć i deklamował z zapałem. Zapał ten tak go czasem porywał, że się rumienił, tracił oddech i mdlał, chociaż już wtedy był silniej zbudowany niż inni. Ten jego zapał zwykle nas wszystkich unosił; wtedy deklamowaliśmy jeden za drugim, jedni twarz zakrywali rękami z wzruszenia, drudzy połykali słyszane słowa otwartemi ustami, trzeci płakali; zgoła były to orgie duchowe, gdzie wszyscy byli pijani do bezprzytomności, chociaż żaden ani kropli wina nie wypił.

„Jednak, kiedy byli tacy pomiędzy nami, którzy tych poetów rozbierali krytycznie, starając się wniknąć w ich ducha i określić różnice, zachodzące pomiędzy ich poglądami na świat i ludzi a ich pojęciami o ideałach ludzkości; on wcale nie rozróżniał jednych od drugich, na nim równe sprawiali wrażenie Goethe i Schiller, chociaż jeden przemawia do rozumu, a drugi do serca; on nawet nie znał różnicy pomiędzy Krasińskim a Słowackim, chociaż już wtedy było rzeczą widoczną, że to są dwie gwiazdy pędzące do urojonej przez siebie przystani zbawienia na dwóch przeciwległych biegunach.

Zgoła dla niego każdy ideał był niebem, byle tylko trzeba się go dobijać Homerycznemi walkami, byle był wielkim, czystym i świętym, a zarazem czemś takiem, czego nie masz na ziemi".

Co do samego Zygmunta, zaznaczyć należy z czasu studyów szkolnych dwa fakta, które w nim przyszłego pisarza wskazywały. Będąc w klasie piątej, napisał Kaczkowski po łacinie rozprawę o Cyceronie, z której bardzo się cieszył owoczesny profesor retoryki Janowski, podając ją za wzór dla innych uczniów. W klasie szóstej pojawiła się jego pióra satyra na wszystkich towarzyszów ławy szkolnej, których opisywał w porządku alfabetycznym mieszaniną najrozmaitszych języków: polskiego, ruskiego, żydowskiego, niemieckiego, łacińskiego, greckiego, francuskiego, włoskiego i angielskiego. Koledzy autora wielce się cieszyli tym wybrykiem dobrego humoru; lecz nauczyciel, poznawszy satyrę, nie podzielił ogólnej radości i strofował Kaczkowskiego publicznie przed klasą. W odpowiedzi na to strofowanie puścił Kaczkowski satyrę na wszystkich profesorów; a ponieważ przeważna ich liczba z Niemców się składała, napisał ją po niemiecku, przyczem sparodyował wiersz owego karciciela, ułożony na powitanie wizytatora szkół, biskupa. Grono nauczycielskie wielce się oczywiście zgorszyło postępkiem Zygmunta; ze studenckiego figla zrobiono niemal „zbrodnię stanu"; ojciec młodego satyryka musiał go wziąć do domu, a potem na powtórzenie „retoryki" odesłać do Tarnowa.

Zapach atramentu pozostał i nadal miłym Kaczkowskiemu. Wszedłszy w roku 1842 na wydział filozoficzny w uniwersytecie lwowskim, napisał wierszem niemieckim, co wówczas nie było rzeczą zbyt nadzwyczajną u zdolnych studentów, tragedyę w pięciu aktach. Czytano ją w kółkach akademickich i ogłoszono jej autora za poetę. Prócz tego Kaczkowski przekładał na język polski Horacego, Wergiliusza i ułamki z Tacyta, a od czasu do czasu pisywał parodye wykładów prof. Tangla o estetyce, co bardzo bawiło współtowarzyszów i obiegało z rąk do rąk jako przedmiot szczerego śmiechu.

W dwa lata skończyszy wydział filozoficzny, zapisał się Kaczkowski na prawny, lecz systematycznemi studyami niewiele się już zajmował. Jeździł też w tym czasie na kilka

miesięcy do Wiednia i Lipska, by się tamecznym wykładom uniwersyteckim przysłuchać.

Na wiosnę roku 1845 ustąpił mu ojciec Bereźnicę, a dodawszy mu babkę jego jako opiekunkę, zalecił zaglądać do Lwowa i uczyć się prawa, lecz także radził pilnować roli, „bo dla szlachcica nie masz nad pług stosowniejszego rzemiosła“. Lecz Zygmunt i jedno i drugie zalecenie spełniał niezbyt gorliwie; uśmiechały mu się przedewszystkiem powaby życia towarzyskiego. Szczegóły, podane przez biografów, naprowadzają na domysł, że Kaczkowski tak odbywał wówczas studya uniwersyteckie, jak Edmund, arystokratyczny bohater powieści p. n. „Dziwożona“. Zdaje się nawet, że ówczesne znajomości, stosunki i wypadki stały się tłem, na którem osnuty jest cały ten utwór. Gospodarstwo niewiele zajmowało Kaczkowskiego; lecz i w murach uniwersytetu bywał rzadko. Szczególną namiętność miał do koni, jak większa część synów szlacheckich. Na wsi trzymał ich tyle, ile stajnia pomieścić mogła; a jadąc do miasta, zabierał ze sobą tyle wierzchowców i powozowych, ile ich mógł utrzymać we Lwowie. Po całych dniach uganiał się na koniu lub w faetonie; wieczory zaś w mieście przepędzał wśród literatów lub innej młodzieży na gorących rozprawach ze sfery piśmiennictwa lub zagadnień i reform społecznych, rozprawach, które tak świetnie w „Dziwożonie“ odmalował.

Wieczory w Zakładzie Ossolińskich niemało także zajmowały mu czasu. Tu zaznajamiał się z nowemi dziełami mistrzów słowa, tu wchodził w ten ruch naukowo-literacki, który tak dobrze do twórczości usposabia; tu widział, jak utwory pisarzy młodych, nieznanych znajdowały pochwałę i zachętę. Zebrania te licznie były uczęszczane, a Kaczkowski był ich „Benjaminem“, jak sam powiada. Wysmukły i blady, prawie z kobiecem obliczem, na którem wielkie, łagodne świeciły oczy, stawał zwykle w jakimś skromnym kąciku, nie mieszając się do rozmowy starszych. Czasami panie brały go między siebie i kazały deklamować wiersze Mickiewicza lub Krasińskiego. Stary Jan Nepomucen Kamiński, wysoce dla sceny krajowej i dziennikarstwa zasłużony, pierwszy przepowiedział Kaczkowskiemu, że będzie coś z niego, bo „umie dobrze po łacinie i pisze poprawnie po polsku“. Henryk książę Lubomirski, ówczesny kurator Zakładu, szczególną miłością otaczał młodzieńca,

a dyrektor Zakładu, Adam Kłodziński, zachęcał go do trzymania się tej instytucyi, mówiąc: „Tutaj dla takich wielka jest przyszłość, a takich, niestety, niewiele“.

Wówczas też, t. j. w r. 1845 pojawiły się pierwsze próby pióra Kaczkowskiego, zarówno prozą jak i wierszem. „Dziennik Mód Paryskich“, pismo dwutygodniowe, wydawane od roku 1840 przez krawca Kulczyckiego, pod redakcyą A. Bielowskiego, pomieścił w Nr. 16, 20, 24. 25 z roku 1845 i w Nrze 1 z r. 1846 następujące artykuły dziewiętnastoletniego Zygmunta: „Uwagi nad moralnemi chorobami: Gorączka dowcipowa, Parafianizm“; „Tuz“ (powiastka), „O czem marzyć“ (wiersz), „Zapalenie szlachetnej strony serca...“

O pewnych zasadach, o przekonaniach ściśle sformułowanych nie może być tu jeszcze mowy. Kaczkowski nie należał do rzędu tych natur teoretycznych, które od najmłodszego już wieku szukają ściśle ustalonych poglądów i nad ich wyrobieniem usilnie pracują. Duch jego owszem skłaniał się ku praktycznej stronie życia, a wrażliwość umysłu, żywość wyobraźni, łagodność, lecz przytem i pewna sprężystość charakteru sprawiały, że wszystkie ówczesne prądy nietylko wdzierały się bystrym nurtem w jego serce i głowę, lecz także i na postępki jego niemało wpływały. Stosunki domowe, oprócz utrwalenia w Kaczkowskim cnót prywatnych, przyczyniły się wielce do zainteresowania go sprawami publicznemi, a między innemi i literaturą.

Przypomnijmy sobie, że czas wykształcenia Zygmunta przypadł na okres najwyższego rozkwitu poezyi polskiej. Mickiewicz ukończył był właśnie świetnie poetyczny swój zawód, a słynął natomiast na Europę całą jako profesor literatur słowiańskich w paryskiem „Collége de France“. Słowacki i Krasiński coraz to nowymi utworami, pełnymi blasków fantazyi lub myśli, walczyli o pierwszeństwo z uznanym już mistrzem litewskim. Zaleski, Goszczyński, Pol, każdy w odpowiednim sobie zakresie, zajmowali skromniejsze wprawdzie, niemniej jednak wpływowe miejsce. Łatwo pojąć, że utwory takich poetów, z którymi Kaczkowski, dzięki literackiemu charakterowi zebrań domowych, rozprawom ze studentami i stosunkowi z Zakładem Ossolińskich, mógł się na świeżo zaznajamiać, były w stanie zarówno rozgrzać fantazyę jak i zwrócić umysł ku głębszym rozmyślaniom nad zagadnieniami społecz-

nemi; mogły słowem pobudzić młodzieńca do szukania środków mających na celu jakieś nieokreślone przeobrażenie świata. Połączywszy bardzo wysoki nastrój naczelnych dzieł poetycznych z owych czasów ze znaną skłonnością młodych umysłów do zwyciężania trudności i przedsiębrania czynów olbrzymich, bez trudu wywnioskować będziemy mogli, że potrzeba było tylko jakiegoś impulsu, jakiegoś dokładniej oznaczonego planu reformy, ażeby pociągnąć Kaczkowskiego, jak wielu innych młodzieńców do działania w tym kierunku.

Taki dokładniej oznaczony plan przedstawiał w sferze religijnej mesyanizm, głoszony przez Mickiewicza z katedry paryskiej, w sferze zaś społecznej — propaganda demokratyczna. Lecz mesyanizm, ograniczony do bardzo szczupłej liczby wyznawców, pomimo olbrzymiego talentu Mickiewicza, pomimo żarliwości kilku innych członków, nie miał dostatecznej siły, ażeby wśród ogółu katolickiego zyskać wyznawców; reforma więc religijna dokonywała się w szczupłych jedynie granicach. Inaczej było z ideami demokratycznemi. Miały one grunt pewien w przeszłości narodu, a oprócz tego obiecywały polepszenie, którego wszyscy sobie życzyli. Ruch jednej grupy społecznej łączył się tu z ruchem ogólno-europejskim i znajdował bardzo licznych zwolenników. Pomimo ogromnych przeszkód ruch ten udzielił się i Galicyi, a wskutek tajemniczości dróg, któremi tam przechodził, działał na umysły o wiele silniej, niż wówczas np., gdyby się był zupełnie swobodnie rozwijał. Ci, którzy się jego propagandą zajmowali, gotowi byli na śmierć; a to całemu ruchowi nadawało urok niewypowiedziany. Idea równości i uwłaszczenia włościan o tyle potężniej wdrażała się w umysły, o ile środki do urzeczywistnienia jej proponowane w wysokim stopniu były niebezpieczne. Złudzenia względem usposobień ludu trwały jeszcze w głowach ówczesnych działaczy pomimo paru bardzo wymownych przykładów, które powinny były je stamtąd wyparować. Sądzono, że dosyć dać ludowi własność, ażeby go natychmiastowo, bez przygotowania, bez przejścia, na grono obywatelskie przemienić. Rozpatrując błędy przeszłości i chcąc je odrazu naprawić, nie zmierzono dostatecznie przepaści dzielącej teoryę od praktyki, nie zrozumiano siły tradycyjnych przyzwyczajeń, nie wniknięto w powolny rozwój uczuć obywatelskich na drodze stopniowej oświaty. Ówczesnych reformatorów społeczeństwa

piekła, że tak powiem, sama myśl reformy; radykalne środki uważano za jedynie zdolne do jej przeprowadzenia.

Kaczkowski dał się porwać ogólnemu prądowi umysłów młodych i niedoświadczonych. Znano go z tej strony we Lwowie, znano w Tarnowskiem i Krakowskiem, w domu Franciszka i Michała Wiesiołowskich, Jana Tyssowskiego, Rejów, w towarzystwie Edwarda Dembowskiego, Juliana Goslara, Gorzkowskiego i innych. Zdaje się, że stosunek Karola w powieści „Rozbitek“ do ruchu demokratycznego w Galicyi przedstawia mniej więcej własny stosunek Kaczkowskiego. Tak jak Karol wierzył on w możliwość nagłej przemiany ludu; tak jak Karol przejęty był dla niego najszlachetniejszemi uczuciami i pragnął jak najszybszej reformy.

„Mój ojciec — opowiada Kaczkowski w „Świętej Klarze“ — przyzwyczajony w służbie inżynierskiej do trzeźwego zapatrywania się na tego rodzaju zamiary, i jego bliżsi przyjaciele, po największej części także dawni wojskowi, byli w gruncie rzeczy przeciwni zbrojnemu powstaniu. Jednak nie tak bardzo zatrważali się tem, co się stać może w Galicyi, jakby się dziś można tego domyślać. Austryacy mieli wtedy bardzo słabą załogę w tym kraju i ze względu na grożące już wówczas niepokoje we Włoszech nie mogli jej tak prędko powiększyć. Załoga ta, rozrzucona w drobnych oddziałach od Wadowic do Bukowiny, wynosiła tylko 20.000 ludzi i składała się przeważnie z piechoty — a ta piechota, którą nazywano szłapakami, w białych frakach i pludrach, w czarnych kamaszach, w ciężkich czakach i uzbrojona jeszcze cięższymi skałkowymi karabinami, skretynizowana barbarzyńskiem obchodzeniem się z nią w równej głupocie utrzymywanych oficerów niemieckich, była raczej śmieszną, niż straszną. Było kilka pułków huzarów i szwoleżerów, także porozpraszanych po całym kraju; ale o wierności huzarów rozmaite chodziły wieści, a szwoleżerów także nie miano za wielkich rycerzy. Opinię tę w kilka miesięcy potem zupełnie potwierdził generał Collin, który zająwszy Kraków w tysiąc piechoty i kawaleryi, wzmocnionych jeszcze do tego całą milicyą krakowską, w parę dni po tem tryumfalnem zajęciu, niewiedzieć dlaczego, wyniósł się z miasta, bety oficerskie w niem pozostawił, wszystkie kawaleryjskie komendy, porozsyłane po wsiach, potracił, przez Podgórze jak gdyby wichrem gnany przeleciał i nie

oparł się, aż w Wadowicach. Opinii tej nie zaprzeczył także pułkownik Benedek, który bitwę pod Gdowem stoczył samymi chłopami, a wojsk swoich używał tylko do ścigania i chwytania rozbitków.

„Wojskami temi dowodził ze Lwowa cywilny i wojenny gubernator, arcyksiążę Ferdynand d'Este, o którym śpiewano pieśń:

Arcyksiążę Ferdynandzie, co to ci się stało,
Żeś tak czmychnął z Warszawy w samo Boże Ciało?

wówczas już stary, otoczony jezuitami i dewotkami, i znany powszechnie ze swej nieudolności, za co też potem popadł w niełaskę. Miał on wprawdzie we Lwowie kilka bateryi i kilka tysięcy załogi, ale i tego się nie obawiano, bo i na to w danym razie mogły się znaleźć sposoby...

„Z biurokracyą zaś, chociaż niesłusznie, wcale się nie liczono, bo ta już od Wielkiejnocy (r. 1845) żyła w bezustannym strachu, przygotowywała się do wyjazdu z kraju, a tymczasem się łasiła u szlachty, aby ją jak najlepiej usposobić dla siebie.

„Zgoła rzeczy tak stały, iż mniemano powszechnie, że jeżeli tylko połowa tych mieszkańców kraju, których nazywano *surdutowymi*, chwyci za broń, to w parę tygodni w całej Galicyi Niemca na zaprószenie oka nie znajdzie; a co do arcyksięcia, to albo się go pod przyzwoitym konwojem do granicy kraju odeśle, albo się go jako zakładnika zatrzyma, aby z Wiedniem rozpocząć układy.

„Mój ojciec tym przewidywaniom nie przeczył, bo polegały niejako na cyfrach; ale w ich spełnienie nie wierzył i mówił:

„— Na naszą szlachtę nigdy od kołka do kołka liczyć nie można, bo każdy chce mieć swoje zdanie. Jeden się zerwie, drugi będzie przeciwny, a trzeci zaczeka, aby zobaczyć, jaki obrót te rzeczy wezmą gdzieindziej. W najlepszym razie będzie to awantura, która tylko miejscami będzie kipieć przez kilka tygodni, a przeto pozostawi rządowi dość czasu, aby porządną armię do kraju sprowadzić i miejscowe rozruchy po kolei zadusić. A potem co? Drzewa na szubienice jest w lasach aż nadto. Dziwi mnie, że są ludzie, którym sumienie pozwala na wszczynanie takich awantur...“

„Ale innym przecież uśmiechała się wojna; dlatego nie wdawali się wcale w obliczanie sił, utrzymując, że jest ich więcej niż trzeba; pytali tylko: czy jest jaka organizacya? czy jest broń i czy są pieniądze? Jeżeli to wszystko jest, to według nich skutek był pewny...“

Kiedy w lutym wybuchło w Galicyi powstanie, ojciec Kaczkowskiego w ostatniej chwili wszystkich wyprzedził i sam jeden sto zbrojnych ludzi wyprawił. Zygmunt wyruszył także. Dnia 21 lutego przed zmrokiem zebrało się w Uhercach pod Liskiem przeszło 300 ludzi z małym, lecz wybornym oddziałem konnicy i z taborami. Dowództwo objął Jerzy Bułharyn. Szczegóły o działaniu tej gromadki, niebawem bardzo uszczuplonej, opowiada szeroko Kaczkowski w „Świętej Klarze“, do której muszę po nie czytelników odesłać.

Wiadomo zresztą, że ruch cały został zakończony w bardzo krótkim przeciągu czasu; lecz w sferach wiedeńskich umiano z niego korzystać i wywołując powstanie band chłopskich, potrafiono je zwrócić przeciwko ich własnym nieproszonym dobroczyńcom. Nastąpiła rzeź galicyjska 1846 roku.

Kaczkowski wróciwszy z wyprawy, bawił w domu.

Jedna z band chłopskich, snujących się od dworu do dworu, uprowadziła ojca i syna ze sobą, odwiozła do Sanoka i oddała w ręce Niemców. Zakuci w kajdany i osadzeni w więzieniu zostawali czas jakiś w Sanoku.

„Więzienie to — mówi Kaczkowski w „Świętej Klarze“ — umieszczone w budynkach szkolnych, było raczej wielkim szpitalem, bo było bardzo wielu fatalnie pobitych i pokaleczonych, niektórzy nawet już prawie umierający. Niejeden szlachcic wziął więcej kijów, niżeli sam rozdał przez całe życie. Ci, którzy wyszli cało z tej zawieruchy, jak ja i mój ojciec i wielu innych, mianowicie starych żołnierzy, pielęgnowali chorych. Z początku było skarg i narzekań i jęków bez końca; ten i ów kazał sobie nawet księdza sprowadzić, wyspowiadał się z grzechów i przyjął pomazanie ostatnie. Były chwile smutne, czasem przerażające. Ale żaden nie umarł — a niejednemu to wstrząśnienie fizyczne wyszło nawet na dobre, bo się wyleczył z reumatyzmu, z podagry lub z opasłości żołądka. A potem nasz stary humor dokonał reszty; nie widziałem nigdy w mojem życiu zebrania tak wesołego, tak pełnego dowcipu i żartów jak to więzienie w Sanoku.

„Dopiero pod jesień zrobiło się smutniej, bo nas zaczęto wywozić w kajdanach do Karmelitów do Lwowa. U Karmelitów było więzienie ciężkie; trzeba było siedzieć w kaźniach ponurych, w towarzystwie złodziejów, trucicieli i rozbójników, i poprzestawać na pożywieniu nieznośnem. Ale po kilku miesiącach znowu zrobiło się lepiej, bo po indagacyach skończonych zezwalano na pewne ulgi i przenoszono nas do więzień weselszych i wygodniejszych.

„Ja dostałem się do Maryi Magdaleny, gdzie było bardzo wiele swobody i gdzie wszyscy mogli się widywać ze sobą. Mieliśmy gazety i książki, ołówki i papier, i mogliśmy przyjmować odwiedziny ze świata. Toż dopiero tam, po półtorarocznem odosobnieniu, zaczęliśmy się dowiadywać pomału, co się stało w kraju podczas burzy przeszłego roku. Opowiadania te były niezmiernie zajmujące, pełne życia i ruchu, zawsze dramatyczne, często zadziwiające przykładami odwagi i poświęcenia, czasem przerażające do tego stopnia, że słuchając ich, oddech mi się zapierał w piersiach, zimny dreszcz mnie przejmował i włosy stawały na głowie.

„Niektóre z tych scen opisywałem wierszem na małych karteczkach; karteczki się rozchodziły po mieście, gdzie je czytywano tak, jak się czytuje feljetony w gazetach, oczekując z niecierpliwością dnia jutrzejszego, w którym ma ciąg dalszy nastąpić.

„Pani Grocholska, Brzozowska z domu, dama wielkiego świata, słusznego wzrostu, w okularach niebieskich, zamieszkała wtenczas umyślnie w pałacu Baworowskich, położonym naprzeciw klasztoru Maryi Magdaleny, aby być blizko nas, przynosić nam wiadomości ze świata i nasze skargi, uczucia i myśli znowu na świat wynosić. Ona także te moje karteczki na świat wynosiła i codzień się upominała o inne. Było ich wiele, ale wszystkie przepadły, czego jednak nie żałuję, bo było to wywnętrzenie zbolałej duszy i zanadto wrażliwego umysłu, dla których najwłaściwszą biblioteką jest grób zapomnienia.

„Przez długi czas te opowiadania z czasów burzy nie przekraczały granic tarnowskiego obwodu, bo tylko z tych stron byli koledzy pomiędzy nami; o wypadkach na ostatecznych krańcach zachodniej Galicyi, tak samo jak o Krakowie, niceśmy nie wiedzieli. Dopiero później zaczęli do nas przy-

bywać niektórzy z Bocheńskiego i z Sądeckiego, a między nimi i tacy, co byli pod Gdowem; ci byli dla nas najciekawsi, bo opowiadali rzeczy, dotąd wcale nam niewiadome".

Wśród takich to okoliczności zapadł wyrok skazujący ojca Kaczkowskiego na 20 lat fortecy, a syna na — szubienicę. Do spełnienia jednak wyroku nie przyszło. Nastąpił rok 1848. Wypadki wiedeńskie skłoniły cesarza austryackiego do wydania patentów, zapewniających całej Austryi rząd reprezentacyjny i do ogłoszenia amnestyi dla skompromitowanych w wypadkach roku 1846. Kaczkowscy wyszli na wolność.

Dwa lata rozmyślań więziennych znacznie zmodyfikowały dawne wyobrażenia Zygmunta, rozwiały zupełnie marzenia o nagłym przełomie w sprawach społecznych, wykazały niewłaściwość środków, których dawniej był zwolennikiem. Przekonywa nas o tej zmianie późniejszy sąd Kaczkowskiego o propagandzie demokratycznej. Tytułowa osoba powiastki „Kato", napisanej w 5 lat po wypadkach 1846, powiada o działaniach demokratów: „Będąc w Paryżu i wiedząc o wszystkiem, starałem się dotrzeć do jądra rzeczy, która tak śmiało wywiesiła sztandar z niezawodną obietnicą zbawienia... Tam przekonałem się, że ludzie, którzy się około tej zasady krzątali, była to młodzież zapalona, *zarozumiała i głupia.* Przyjdzie czas, kiedy wszyscy się o tem przekonają i moje zdanie potwierdzą". O samej zasadzie, którą ta młodzież zapalona, zarozumiała i głupia wyznawała, nie mówi Kaczkowski w tem miejscu ani słowa; lecz w dalszym ciągu powiastki znajduje się ustęp, potępiający ostatecznie cały ruch, a więc pośrednio i jego zasadę. Kaczkowski przedstawia chwilę poprzedzającą wybuch: „Zapusty owego roku (1846) były huczne i szalone; ścisk był na wszystkich zabawach. *Circenses!* — wołano zewsząd — *panem* miano dopiero jutro zawołać i to nie *panem quotidianum*, który ma sycić żołądki, lecz *panem,* który łaknącym i uciśnionym duszom miał przynieść oddech wolniejszy; jedni więc marzyli tylko swobodę, inni wolność, a jeszcze inni rozpustę i szaleństwo. Ot, różni różne mają zachcenia i wedle tych zachceń wyobrażają sobie przyszłość szczęśliwą. Tajemniczość jakaś, która wtedy była w powietrzu, o wiele podnosiła zwyczajny interes balów maskowych; tajemniczość owa była wprost przeciwną tej otwartości i szczerości, która we dwa lata później także przyszła z powietrzem; tajemni-

czość owa nakoniec uczyniła to, iż niekoniecznie potrzeba było iść na bal maskowy, aby maski obaczyć — cały świat był zamaskowany; jedni maskowali swą cnotę mniemaną, drudzy swą przeszłość może nie bardzo czystą i cnotliwą. Oczekiwano czegoś, co miało przyjść i świat zadziwić; ogółem zaś nie wiedziano, co to będzie to coś tyle oczekiwane i nie wiedziano, gdzie się pojawi: może w mieście, może na rynku, może w kościele, może nawet na reducie. Ciekawi a niecierpliwi zaglądali dziwaczniejszym maskom pod larwę, czy nie biją promienie od ich twarzy, i na plecy, czy nie mają tam skrzydeł ukrytych, i do ręki, czy nie mają w niej... noża; uważano pilnie na każde słówko głośniejsze, badano je i roztrząsano, azali niemasz w niem objawionej jakiej politycznej zasady; a często się zdarzało, iż powtarzano sobie jakieś nic nie znaczące słowa, wykładano je wedle natchnienia rozgrzanej wyobraźni i przywiązywano do nich ewangeliczne znaczenie. Cóż to było? Oto duch unoszący się nad ziemią upuścił ziarnko aloesu; nasienie zeszło, wybujało w niezliczone lecz koszlawe gałęzie, na których wierzchu pokazał się węzeł zielony i zawinięty. Ludzie go obstąpili dokoła i niecierpliwie czekali strzału, aby rychło obaczyć, co też wyjdzie z zawiązanego węzła! Prorocy mówili, że będzie kwiat, jakiego jeszcze nie widziała ziemia. Węzeł pękł i nie strzelił, lecz rozdarł się pomału, a z jego wnętrza, zamiast kwiatu, bluznęło trochę krwi i rozlało się po ziemi... Po takim wypadku w naturze roślinnej, naturaliści zasiadają z księgami za stołem i badają przyczynę i dochodzą sumiennie, dlaczego jej nie odpowiedział skutek; zaś po takim wypadku w świecie, ogrodnicy nikną *z horyzontu i z za morza się znowu odezwą, że to właśnie dobrze, że nie kwiat wytrysnął odrazu*, bo byłby słabym; lecz *ze krwi* dopiero będzie kwiat; a kiedy ze krwi znów pokaże się kość i dym i ludzkie głupstwo i nic więcej... to ogrodnicy znów z za lądów i z za mórz przyślą tylko *przekleństwo przeszłości* i nadzieję na przyszłość. Teraźniejszości, mówią oni, niemasz na świecie... A ta nędza, która jest w teraźniejszości?... *Oni nędzy nie znają!*"

Wszystkie więc mniej więcej zarzuty, które robili i robią konserwatyści ruchowi demokratycznemu, wszystkie prawdy i plotki, jego działań tyczące się, w obrazku powyższym zostały nie kategorycznie wprawdzie, lecz niemniej wyraziście

przedstawione. Jakie poglądy na miejsce dawniejszych wyrobiły się w Kaczkowskim, o tem pomówimy później; teraz musimy się jeszcze przyjrzeć dalszemu trybowi jego wykształcenia tak w więzieniu jak i na swobodzie.

Przez pierwszy rok przeczytał on niemal całą wypożyczalnię książek Karola Wilda, złożoną z dzieł różnej treści, przeważnie jednak beletrystycznej, w języku polskim, niemieckim, francuskim i angielskim. Następnego roku przysłano mu z Zakładu Ossolińskich dzieła osnowy poważniejszej, a głównie historycznej, przedstawiającej dzieje XVIII. wieku. Kiedy je poznał, wydawało mu się niepodobieństwem napisać o konfederacyi barskiej, która go już wówczas zajmowała, coś więcej nad to, co już było napisane; nie miał bowiem wtedy nawet pojęcia o wielkim zasobie źródeł rękopiśmiennych. Zarzuciwszy więc myśl pisania historyi, której doniosłości jeszcze nie pojmował, pisywał wiersze, o których była już wzmianka w opowiadaniu samego ich autora.

Wyszedłszy z więzienia, wziął Kaczkowski dość czynny udział w życiu publicznem. Mianowany przez Radę Narodową Centralną organizatorem gwardyi narodowej konnej sanockiej, spełniał swoją czynność gorliwie. Kiedy Szajnocha, wybrany przez tęż Radę delegatem na zjazd słowiański w Pradze Czeskiej, nie przyjął mandatu, wysłano Kaczkowskiego. Praca literacka w „Dzienniku Mód Paryskich“, który od 27 numeru (czyli od 1 lipca) przezwał się „Tygodnikiem Polskim“ i przeszedł pod redakcyę Karola Szajnochy, dopełniała miary działalności publicznej dotychczas nam znanej.

Kaczkowski jednak nie dzielił tego zapału, jaki od dnia 18 marca a szczególnie od 13 kwietnia (data zawiązania Rady Narodowej) ogarniał niektóre warstwy. Nie łączył się on wprawdzie z żywiołem arystokratycznym i reakcyjnym, reprezentowanym przez Towarzystwo Ziemiańskie; nie sympatyzował jednak w zupełności ze stronnictwem demokratyczno-postępowem. Zapatrywania swoje ówczesne tak nam opowiada w piśmie z epoki znacznie późniejszej, bo z r. 1862: „Gdzieindziej walka mogła równie wielkie jak i korzystne odnieść zwycięstwą; atoli co do naszej prowincyi, każdemu trzeźwiejszemu oku musiało się już wkrótce okazać, że w jej granicach tylko ta jedna idea, która natenczas była dojrzała do ciałowzięcia, idea *usamowolnienia wiejskiego ludu,* mogła z istotnym pożyt-

kiem wejść w życie; wszystkie zaś inne, wśród niespodzianej wolności, wyrodzonej zbyt prędko w nieświadomą swych celów swawolę, zaczęły coraz mniej odpowiednie rzeczywistym warunkom, co gorsza! coraz mniej odpowiednie *naszym rodzimym potrzebom,* przybierać dążności i kształty. Nie bezczynny w tej porze, lecz nie dzielący tego konwulsyjnego zapału, który nas tylko z zewnątrz ogarniał a wewnątrz żadnej nie miał podstawy, spostrzegałem z boleścią, żeśmy się nietylko w dążeniach ogólnych dali porwać prądom nam obcym, ale co większa, że w naszych szczegółowych czynnościach brak znajomości tych niezliczonych doświadczeń, jakie na nas nasza ośmiowiekowa przeszłość przelała, niemal na każdym kroku uczuwać się dawał". *(Dzieła* Z. Kaczkowskiego, I, 4).

Ze słów powyższych widać, że kiedy demokraci zarzucali Radzie Narodowej zbyteczną powolność i oględną legalność, Kaczkowski oskarżał ją o radykalizm i nieuwzględnienie praw rozwoju historycznego. Czy zarzuty te już w r. 1848 jasno się w umyśle jego rysowały, czy też są wynikiem późniejszej rozwagi i dokładniejszych badań, niepodobna rozstrzygnąć z powodu braku odpowiednich dowodów. Musimy się więc zadowolić jedynie zaznaczeniem faktu, że Kaczkowski dosyć chłodny brał udział w kilkomiesięcznych sprawach stosunkowo wolnej Galicyi.

Wkrótce okoliczności znowu się zmieniły; wiatr konstytucyjny ustąpił miejsca gromom armatnim. Dnia 1, 2 i 3 listopada Hammerstein kazał bombardować Lwów i zmusił go do tak zwanej „kapitulacyi", która położyła koniec wszystkim działaniom narodowym. Dnia 30 listopada Hammerstein ogłosił stan oblężenia, rozwiązał radę miejską konstytucyjnie zorganizowaną, nakazał powszechne rozbrojenie gwardyi i całej ludności, zniósł Radę Narodową i wszelkie stowarzyszenia, wzbronił wydawania pism peryodycznych, ulotnych lub plakatów, zabronił zgromadzeń po domach lub zbiegowisk na ulicach i t. p.

Kaczkowski musiał także kryć się przez kilka miesięcy po wioskach i dopiero pod koniec zimy 1849 roku mógł znowu zjawić się we Lwowie, w którym było pusto i smutno. Życie literackie wraz z politycznem obumarło: w Zakładzie Ossolińskich zbierano się wprawdzie bardzo licznie, brakowało atoli dawniejszego ożywienia. Podjazdowa walka przeciw kiero-

wnikom tego zakładu, podjęta przez młodzież jeszcze w roku 1842, coraz gwałtowniejszą się stawała. Zarzucano Kłodzińskiemu a potem Szlachtowskiemu powolność w katalogowaniu ksiąg i rękopismów, niewłaściwe ich układanie na półkach bibliotecznych, zaniedbywanie wydawnictw, brak starania około naukowego wykształcenia stypendystów Zakładu, brak ukształcenia specyalnego. Jak powiada Estreicher w życiorysie Szlachtowskiego [1]), nie chodziło tym gwałtownym głosom o dobro Zakładu, lecz o uzyskanie posady. W roku 1849 nurtowały one tylko pokątnie, nie mogąc się ujawnić w druku; lecz w roku następnym zaczęły się bardzo wyraźne manifestacye w szpaltach „Czasu“, „Gazety Lwowskiej“ i pism niemieckich. Kłodziński, znużony ciągłą szermierką, ukończywszy budowę gmachu bibliotecznego, złożył dyrektorstwo Zakładu w ręce kustosza Szlachtowskiego. Napady nie ustawały. Szlachtowski, chcąc zadość uczynić dopominaniu się o pismo, rozpoczął z dniem 1 kwietnia 1850 roku wydawnictwo „Pamiętnika literackiego“, który wychodził tygodniowo. W piśmie tem Kaczkowski wziął czynny udział, mieszcząc w niem kilkanaście artykułów wierszem i prozą.

W utworach wierszowanych („Niniwe“, „Herburt“, „Dwie gwiazdy“, „Zapomnieni“, „Sielanka“, „Dwa pokolenia“, urywek z dramatu), pisanych dość poprawnie, ale bez szczególnego talentu, dodawał otuchy przygnębionym wtedy umysłom, albo przypominał im dzielność i sławę przodków, albo wysławiał cichy wieczór na wsi, ożywiony myślami o losach kraju, albo przeciwstawił staropolską uczciwość i cnotę zfrancuziałym, zgnuśniałym i bezwstydnie cynicznym wyrodkom, albo wreszcie zbladłej gwiaździe przesądów arystokratycznych kazał ustępować miejca nowemu światłu poświęcenia i pracy:

My im pieśnią snu nie mącim,
My ich grobów nie potrącim,
Ale niechże oni, starzy,
Z grzechem tajnym u spowiedzi,
Z dumą rodu w czerstwej twarzy,
Z naczelnictwem wśród gawiedzi,
Co ich święte imię kala,
Zdala od nas będą, zdala!

---

[1]) „Na dziś“, 1872, t. II, str. 218.

Zdala od nas starych światów
Widma śpiące i wybladłe,
Bo my zedrzem blask szkarłatów,
Groby wzruszym już zapadłe,
Zgruchotamy tarcze wasze,
Jeśli was stąd pieśni nasze
Nie odtrącą, jak mórz fala...
Zdala, duchy, od nas, zdala!...

Z pomiędzy utworów prozą pisanych wyróżnić należy powiastki („Braciszek“, „Dziedzic Strwiążyka“, ta druga niedokończona), recenzye i artykuły treści społecznej. Powiastki to bardzo słabiutkie pod względem wykonania; są w nich już próby odmiennej dykcyi dla przedstawienia różnych osób, są usiłowania w celu stworzenia charakterów i nakreślenia sytuacyi, ale to wszystko dopiero w zarodku. Recenzye natomiast i artykuły społeczne są pisane dzielnie i jędrnie, znamionują młodzieńca jasno i trzeźwo myślącego, który posiada już pewne wyrobione przekonania. Wykazuje autor śmiało, a czasami w sposób cięty braki psychologiczne, artystyczne i myślowe w powieściach i poezyach ówczesnych, wielbi powieściopisarstwo francuskie i stawia je pod względem sztuki za wzór Polakom (w rozbiorze „Dzieci Miłości“ Suego), od wszystkich a więc i od księży domaga się *du positif* (w artykule „O kazaniach i kaznodziejach“); wyroby ówczesnej reakcyi katolickiej wyśmiewa i potępia. Jest zwolennikiem stronnictw w społeczeństwie i poczytuje ich istnienie za objaw postępu („O walkach umysłowych“) i pragnie, ażeby dzienniki i czasopisma poświęcone literaturze stale wyznawały pewne określone zasady i były ich wytrwałymi organami („O powołaniu pism czasowych“), byle tylko w walce z przeciwnikami zachowały godność i wyrozumiałość, naśladując w tem parlament angielski; stronnictw pośredniczących nie cierpiał, uważając je za wsteczniejsze od konserwatywnych dlatego, że one obustronne siły osłabiają, chwilę starcia się odraczają, a więc i zbawienie, ze zwycięstwa tej lub owej strony wyniknąć mające, choćby na zawsze odsuwają; — mistycyzm i mglista poezya prorocza miały w nim stanowczego przeciwnika („O przesadzie w poezyach“), gdyż wydawało mu się „bardzo naturalną rzeczą i przeznaczeniom człowieka na ziemi wcale nie przeciwną, iżby ile możności prawdy z nieba wykradać

i sprowadzać je na ziemię, nie zaś ziemskie myśli w niedostępne dla ludzi obwijać kształty i oddawać je niebu".

Zresztą występował Kaczkowski bardzo dowcipnie w obronie Zakładu i jego kierowników, czem narobił sobie wielu nieprzyjaciół, a przedewszystkiem poróżnił się z Szajnochą, który w sposób namiętny powstawał przeciw Szlachtowskiemu w „Tygodniku Lwowskim". Odtąd polemika o Zakład Ossolińskich przybrała formy gorszące. Kłodziński wystąpił w swojej i swego nastepcy obronie, dowodząc, że w Galicyi niema zdolniejszego bibliotekarza nad Szlachtowskiego i oświadczając, że w całym tym zajadłym sporze idzie o przeprowadzenie zdania: *Ote-toi; je m'y placerai.* Takie postawienie kwestyi nie mogło zażegnać burzy, rozsrożyła się też ona z jeszcze większą wściekłością. Wśród tej zawieruchy umarł kurator Zakładu, Henryk ks. Lubomirski, który nie zwracał uwagi na potwarze. Stosunki Szlachtowskiego z nowym kuratorem ułożyły się nie najlepiej; natarczywość napadów dziennikarskich była wielka; a nowy kurator nie był spoufalony z zasługami bibliotekarza. Szlachtowski zrzekł się urzędu, który się dostał Augustowi Bielowskiemu (7 stycznia 1851 r.).

Wśród takich wypadków dojrzewał umysł Kaczkowskiego, który się zwrócił do badania historyi jako najlepszej przewodniczki na drodze rozwoju społecznego. Zarówno w zamęcie politycznym jak i w nieumiarkowanej polemice widział brak wyrobionych pojęć a zatem i trudność wzajemnego porozumienia się. Egzaltacya umysłów wydała mu się i słusznie powodem niemożności chłodnego, rozumnego ocenienia tak teoryi, jak i praktyki. W najbliższym wieku chciał szukać klucza do otwarcia podwojów tego chaotycznie pobudowanego gmachu wyobrażeń, jakie się w ówczesnem społeczeństwie rozpanoszyły. Z nowem zajęciem zaczął badać szczegółowo jeden epizod z dziejów zeszłego stulecia — konfederacyę barską. Zabrał się do drabowania rękopismów odnoszących się do tego czasu. Przedewszystkiem więc w bibliotece Zakładu Ossolińskich znalazł bardzo obfity materyał. Mianowicie „Collectanea" Kuropatnickiego, obejmujące wszelkiego pochodzenia akta urzędowe, manifesty, protestacye, nominacye, rozkazy, recesa, dyaryusze, relacye, raporta, korespondencye dyplomatyczne, listy prywatne, gazetki pisane, paszkwile, pieśni nabożne, wojskowe i konfederackie, kwity, bony, rejestra, naj-

prywatniejsze nawet notatki rodzinne, stały się dla niego głównem źródłem rękopiśmiennem do historyi konfederacyi barskiej, a zarazem do historyi całej drugiej połowy XVIII. wieku. Biblioteka Gwalberta Pawlikowskiego, archiwa różnych bogatych rodzin, akta Bernardyńskie, papiery nadsyłane mu z domów szlachty uboższej i tym podobne dokumenta pisane zaznajomiły go ze szczegółami, z drobnostkami nawet rodzinnego i społecznego żywota w zeszłem stuleciu.

Większa część źródeł, któremi się Kaczkowski posiłkował, dzisiaj znana jest uczonym już to ze studyów rękopiśmiennych, już też z niedawno drukiem ogłoszonych wydawnictw; lecz na początku drugiej połowy naszego wieku mało co o nich słyszano. Kaczkowski miał to szczęście, że był jednym z najpierwszych, którzy od druków już po części zużytkowanych zwrócili się do badań nad nieznanymi rękopismami.

Prócz tego zaciekania się nad duchem uwięzionym w martwej literze, wsłuchiwał się Kaczkowski w żywe słowa tradycyi, uosobionej w babce jego, urodzonej jeszcze przed pierwszym rozbiorem z Dęborogów Bylczyńskich. W jej pamięci żywo przechowały się podania nietylko z konfederacyi barskiej, lecz także z czasów o wiele wcześniejszych. „Obdarzona przytem — jak pisze jej wnuk — niezmiernie zdrowym i względnie trafnym na rzeczy poglądem, umiała dziwnie jasno odsłaniać te węzły, jakimi pojedyńcze rodziny pomiędzy sobą, a przez nie cały naród był powiązany i przez to oświecać ważniejsze krajowe wypadki; — a rzadki to był szczegół, dotyczący tamtoczesnych strojów, obrzędów i obyczajów, o którymby się nie można było od niej z dokładnością objaśnić“. Była to prawdziwa, żywa illustracya do wspomnień i wiadowości z dawnych czasów. Postać jej odtworzył Kaczkowski nadzwyczaj zręcznie w babce Edmunda, jednego z bohaterów powieści p. n. „Dziwożona“.

Lecz nietylko babka, ale i inni krewni; nietylko krewni, ale całe sąsiedztwo, zarówno szlacheckie jak i mieszczańskie obfitowało w mnóstwo wieści, uprzytomniających chwile dawno ubiegłe. W ziemi sanockiej kilka razy zawiązywały się większe i mniejsze konfederacye; w jej górach częstokroć oddziały braci szlachty z innych okolic znajdowały schronienie; nagromadziło się więc w niej wiele materyału podaniowego, które należało tylko zebrać i przenieść do pieśni lub

opowiadania. Zresztą sama ta ziemia, oddzielona wieńcem gór od innych pod względem sposobu życia i obyczajów, prawie do czasu zniesienia poddaństwa, nadzwyczaj małym, w porównaniu z epoką dawniejszą, uległa zmianom; bezpośrednie tedy wrażenia mogły ożywić i uplastycznić niewyraźne lub zatarte kształty podań.

Wszystkie zasłyszane w wieku pacholęcym opowiadania, które niezbyt zapewne zajmowały umysł, karmiony częścią świeżemi wrażeniami życia, częścią wielkimi utworami spółczesnej poezyi, powróciły do pamięci Kaczkowskiego w godzinach samotności więziennej i stały się przedmiotem długich rozmyślań. Teraz, kiedy go gwar życia nie dochodził, nauczył się cenić srebrne nici splątanego kłębka tradycyi, który rozmotać postanowił za pośrednictwem dokumentów piśmiennych. Myśl ta osiadłszy w głowie, nie dała mu już spokoju, dopóki po trzech latach studyów nie doszedł do całych stosów notatek, odnoszących się do epok najrozmaitszych. Kaczkowski, rozejrzawszy się w nich, ostatecznie osądził, że pomimo wyczerpnięcia niemal wszystkich dostępnych mu źródeł, nie potrafiłby przecież napisać historyi konfederacyi barskiej. Cóż więc było począć? Karol Sienkiewicz, jeden z historyków ówczesnych, radził mu obrabiać materyały krytycznie i drukiem ogłaszać. Jakkolwiek rada ta była trafną w zasadzie, Kaczkowski nie poszedł za nią, z powodu, jak powiada, obojętności ogółu względem suchych wydawnictw źródłowych. Postanowił więc „podmalować tło do historyi“ i ogłosić cały cykl opowiadań i obrazków z wieku XVIII.

Taka była geneza powieści historycznych Kaczkowskiego. Ogłaszając je, uległ on z jednej strony parciu młodzieńczej fantazyi swojej, a z drugiej ówczesnemu usposobieniu umysłowemu czytającego ogółu, który pragnął przedewszystkiem powieści i w niej widział najwyższy stopień doskonałości literatury. Kaczkowski był jakby naumyślnie stworzony na powieściopisarza tej chwili. Ukształcenie jego estetyczne i społeczne przeszło w skróceniu te fazy rozwoju, jakie się w całem społeczeństwie wyraźnie odbiły; a ostateczny jego rezultat zgadzał się wybornie w ogólnych swych rysach z duchem, ożywiającym większość inteligencyi. Nie było więc dysharmonii pomiędzy dążeniami autora a usposobieniem otoczenia, do którego przemawiał; nie potrzebował zjednywać

sobie uwagi słuchaczów drogą powolnej pracy, lecz stanąwszy na właściwym gruncie, mógł być pewnym sympatyi. Zwrot do tradycyi i forma powieściowa — oto główna tajemnica sympatyi pomiędzy Kaczkowskim a ówczesną publicznością, sympatyi, wyjaśniającej nam nagłe jego powodzenie.

III.

Wykazawszy, o ile się dało, na jakiej drodze przyszedł Kaczkowski do zharmonizowania poglądów swoich z ogólnem usposobieniem owej chwili, w której wystąpił na obszerniejszą widownię literacką, wypada mi przypomnieć szczegółowe jego przekonania co do najważniejszych, bo zasadniczych kwestyj, mogących obchodzić człowieka i obywatela.

Nasamprzód tedy potrzeba pamiętać, że w powieściach Kaczkowskiego należy koniecznie rozróżniać sposób zapatrywania się Imci Pana Marcina Nieczui od sposobu zapatrywania się samego Kaczkowskiego. Jakkolwiek bowiem powieściopisarz otacza największą sympatyą pana skarbnikowicza, jakkolwiek nawet w niektórych razach zgadza się z nim najzupełniej; to przecież nie zniósłby bezwątpienia spokojnie, gdyby się sferę jego pojęć starano zlać w jedno ze sferą pojęć Imci Pana Nieczui. Kaczkowski używał tej interesującej figury jako doskonałego, a może jedynego środka artystycznego do przedstawiania wypadków XVIII. wieku z barwą im właściwą, nie startą przez refleksye umysłu, wychowanego i wykształconego wśród innych warunków, a mianowicie wśród cywilizacyi nowoczesnej. Z zastosowania tego artystycznego środka wyniknęły zalety i wady dzieł, o których później pomówię; tu mi idzie tylko o zaakcentowanie różnicy pomiędzy umysłowością Nieczui a Kaczkowskiego.

Imć Pan Marcin Nieczuja jest religiantem starej daty; dla niego obrządki kościelne, posty, biczowanie, odbywanie pieszych pielgrzymek do miejsc cudami słynących i tym podobne praktyki religijne stanowią grunt rzeczy i prawie zupełnie zastępują istotę uczucia religijnego i nauki dogmatycznej. Nad dogmatami nigdy się nie zastanawia, bo to rzecz teologa; uczucia religijnego nie rozbiera, bo to przechodzi zakres jego umysłowych zasobów; zwyczaje i ceremonie reli-

gijne spełnia sumiennie, bo do nich przywykł, ale ich doniosłości i właściwego znaczenia nie dochodzi, bo mu nikt drogi takiego dochodzenia nie wskazał, a sam ścieżek sobie torować nie potrafi. Krytyka Woltera i encyklopedystów, których nazwisko uszu jego doszło, nie mogła oczywiście wpłynąć na niego; lecz herezyj, rozsiewanych przez tych szatanów, lęka się, gdyż widział, że ci, co im posłuch dali, dziwnie obojętni byli na praktyki religijne. A jak był religijnym z przyzwyczajenia, tak też i uczciwie postępował naprzód z naśladownictwa, bo tak postępowali rodzice i wszyscy sąsiedzi, a potem z nawyknienia; pierwiastek rozumowy tak tu jak i tam nie gra roli najmniejszej.

Imć Pan Marcin Nieczuja to szlachcic ceniący swój klejnot herbowy na równi z uczciwością, nienawidzący dorobkiewiczów, pomiatający żydostwem i mieszczuchami, zaprzęgający chłopa do roboty bez najlżejszego skrupułu, bez przypuszczenia, że inaczej byćby mogło. Kiedy widzi zgraję spodlonej szlachty, przywożącej swoje żony i córki na dwór pijaka i rozpustnika, starosty bachtyńskiego, nie tyle ubolewa nad brakiem poczucia godności własnej, ile nad zhańbieniem szlachectwa. „Wolę — powiada — widzieć prostego chłopa pokalanego błotem jakiej nieprawości, aniżeli szlachcica, który mi jest równy i *z dniem urodzenia swego namaszczony* na to, aby w obronie cnoty i uczciwości stawał, a gminowi przykładem był“. Wysokie to przekonanie o zacności stanu szlacheckiego ma swe dobre strony, o ile utrzymuje szlachcica na pewnej wyżynie moralnej; ale ma też i złe, gdyż naprzód czyni cnotę niejako monopolem szlachectwa, jakby jej gdzieindziej być nie mogło, a przynajmniej nie bywało, a powtóre zacieśnia pogląd na ustrój społeczny.

Imć Pan Marcin Nieczuja patrzy na sprawy rzeczypospolitej z wysokości dachu swego dworku, uważając tradycyę rodzinną za jedyną busolę w żegludze po morzu wydarzeń, za jedyną pochodnię rozświecającą kręte zaułki labiryntu, jakim był ówcześnie gmach państwa. Historya to rzecz dobra, ale nie dla szlachcica, który nie ma czasu na przerzucanie grubych foliałów i forsowanie sobie oczu nad rozpoznawaniem znaczenia szeregu czarnych znaczków; dla niego dosyć się wsłuchać w dźwięki głosu ludzkiego i bez trudu, przy lampeczce wina, dojść do takiego bogactwa pod względem rozumu

politycznego, że wszystkie biblioteki razem pomieścićby go nie zdołały. Tradycya, rozumie się, rodów pokrewnych co najwyżej, jest dla niego świętością, którą czcić jest mądrością, którą uwielbiać i podług niej kierować się należy.

Wszystkie te stosunki inaczej się trochę przedstawiały samemu Kaczkowskiemu. I on uznaje religię za ostateczny motor spraw życia prywatnego i publicznego. Kto się uwalnia z pod jej błogiego jarzma, ten traci grunt pod nogami, a cała jego działalność przyniesie zarówno dla niego jak i dla społeczeństwa bardzo gorzkie owoce. Ale ta religia nie zasadza się u Kaczkowskiego na zewnętrznych oznakach, szanowanych wprawdzie i zalecanych, ale nie poczytywanych za rzecz najważniejszą. Kaczkowski, jeżeli sam nie przeszedł, to był w każdym razie świadkiem religijnego sceptycyzmu, a świadomość zarzutów, robionych dogmatom, musiała go zwrócić do głębszego nad nimi zastanowienia się i wysunięcia kwestyj dogmatycznych na plan pierwszy. Nie stał się on wskutek tego tak zwanym ultramontaninem, lecz katolicyzm swój manifestował bardzo wyraźnie. „Pewną obojętność u pewnych ludzi dla pewnych *obrządków*“ uważał on nie za brak wiary w ich sercach, ale tylko za lekceważenie szczegółów, które w dzisiejszym rozumującym wieku bardzo dobrze może iść w parze z wielkiem i głębokiem poszanowaniem dla samej rzeczy. Lekceważenie takie poczytywał wprawdzie za złe, gdyż w artykułach wiary lub obrządkach kościelnych niemasz ani jednego szczegółu, któryby był niepotrzebnym; przyznawał przecież, że obojętność dla wiary zmniejszała się ciągle, co dawało nadzieję, iż cywilizacya oprze się z czasem i ufunduje na religii. Dziwiły go też wszelkie stronnictwa religijne w kraju, w którym cała ludność jest jednego wyznania. Pragnął on gorąco, ażeby ogół zajął się w jakikolwiekbądź sposób sprawami religijnemi; lecz też nie taił przed sobą niestosowności, wynikających z propagandy religijnej za pośrednictwem ludzi świeckich.

Najjaśniej te swoje poglądy wypowiedział Kaczkowski w obrazie wykształcenia starego szefa, Mikołaja Niemiry, w powieści „Wnuczęta“. W młodości swojej, powąchawszy trochę prochu, udał się Niemira na jeden ze sławniejszych uniwersytetów niemieckich. Było to pod koniec wieku XVIII. „W Niemczech — powiada Kaczkowski — panował natenczas

wielki ruch umysłowy. Kant zadziwiał świat myślący ścisłą anatomią ludzkiego rozumu, przelatywały jak błyskawice po Niemczech *genialne* Fichtego broszury, zwracał uwagę myślących ludzi na Słowiańszczyznę głęboko myślący Herder, upajał głowy nieznaną dotąd filozofią natury *cudnie* marzący Schelling. Poezya niemiecka otworzyła już natenczas przed oczyma prozaicznych Germanów całe niebo idealnego świata; czterdziestu mistrzów poezyi siedziało już z nastrojonemi lutniami w rękach na niemieckim Parnasie, a na ich tronie piorunowładny Goethe. Nie brakło i na twarzach, anielskim rozjaśnionych uśmiechem a łzy w oczach niosących, jak Richter, i na swawolnych dudach, rozbijających się po dzikiej fantazyi światach, jak Hoffmann, i na podzwaniających ustawicznej wesołości dzwonkami i silnym strzelających dowcipem Hipplach i Lichtenbergach. I tak cały ten dramat duchowy, wiążący spokojną dotąd ziemię w jednym czasie z niebem i piekłem, odwalający ręką wszechmocną głazy grobowe i odrzucający mgły zasłaniające przed śmiertelnemi oczyma przyszłość, tryskający coraz to nowymi promieniami fantazyi i odkrywający nieznane dotąd ducha wiekuistego źródliska, przedstawił się tam w całej swojej wspaniałości i blasku". Niemira z łatwością się poddał temu czarującemu wpływowi nauki niemieckiej: matematyka i geometrya, historya i filozofia, polityka i poezya stały się dla niego przedmiotami, które począł uprawiać, nietylko z niezmordowaną pilnością, ale nawet z łakomstwem. W ten sposób wzbogacił swój umysł, lecz równocześnie poniósł wielkie szkody, gdyż przez „zbyteczne przywiązanie" do filozofii niemieckiej i wskutek uwielbienia dla utworów Goethego, „które tak wysoko stawiają moc ludzkiego rozumu i tak jawnie prelegują pogaństwo", zachwiał się w wierze i został niedowiarkiem. „Jego rozum się burzył i buntował przeciwko odwiecznej mądrości boskiej, miotał się w niecierpliwości swojej przeciwko tajemnicom religii, wybuchał śmiechem szyderczym przeciwko jej obrządkom, a natrząsając się z rzeczy świętych, kłócił się ustawicznie z *sercem*, które, odrzucone i podeptane jak męczennik pierwszych wieków chrześcijaństwa z swych katakumb, rzewnym i przytłumionym głosem modliło się do Boga o pomoc w tem uciśnieniu". Wspomnienia wieku dziecinnego, wspomnienia cichych praktyk religijnych, jakkolwiek odnosiły chwilami zwycięstwo, nie

zdołały jednak przytłumić głosu rozumu, analizującego wszystko. Niemira, jak wszyscy Słowianie, nie mógł się zadowolić teoryą, nie mógł oddzielić przekonań rozumu i marzeń fantazyi od praktyki życiowej. „Niemcy — powiada Kaczkowski — daleko z większem zajęciem jeszcze myśleli nad myśleniem, marzyli o marzeniu; a trawiąc tak życie swoje nad dochodzeniem i zbadaniem procesu myślenia, byli tylko podobni do owej małpy, która umiejąc już sama zgotować ziemniaki w garnku, wlazła na kuchnię i włożyła jeszcze swój własny ogon do garnka, aby umieć nietylko gotować, ale i przez własne doświadczenie dowiedzieć się, jak się to właściwie gotuje“. Niemira nie miał tej flegmy niemieckiej; u niego każda myśl musiała się zamienić w plan jakiś dający się urzeczywistnić; takich planów co tydzień było po kilka i niewiadomo, jakby skończył ten myśliciel, gdyby nie wojny Napoleońskie. Wśród bitew ustawicznych dokonało się jego nawrócenie. Zmienność losu, niepewność jutra, niebezpieczeństwo zagrażające każdej chwili teraźniejszości, zwróciły umysł Niemiry w stronę rozmyślań o losie pozagrobowym człowieka i nasuwały wspomnienia dawnych modlitewek i innych aktów pobożnych. Wypadek jeden wreszcie, który on sobie objawem szczególnej łaski boskiej tłómaczył, uwieńczył dzieło przeobrażenia. Niemira miał bateryą swoją rozpocząć szarżę; przeżegnał się więc krzyżem świętym, „a rozum ukorzył się przed temi słowami i jeszcze podparł sobą on święty i błogi spokój duszy, który po modlitwie nastąpił“. Istotnie baterya Niemiry powstrzymała ostatni sukurs nieprzyjacielski i przeważyła los bitwy na szalę zwycięstwa: pan Mikołaj po bitwie rzucił się na kolana i ze łzami w oczach, a gorącą modlitwą na ustach powitał gwiazdę swojej młodości — wiarę. „Odtąd — dodaje autor — ustały w nim wszystkie wewnętrzne waśnie i niepokoje, i odtąd stał się z pana Mikołaja człowiek silny rozumem i charakterem, ale głęboko religijny“. Religijność ta nie ograniczała się jedynie na wewnętrznem uznaniu rządów Opatrzności i zupełnem im poddaniu się: lecz występowała także zewnętrznie, bo chociaż Niemira nie był „za ustawicznem odmawianiem pacierzy“ i wolał częste dobre uczynki niż częste modlitwy, uważał jednak, własnem doświadczeniem nauczony, iż lepiej jest wznosić się myślą ku Bogu, niż puszczać ją po ciemnych światach marzenia. We wszystkich też wątpliwo-

ściach sumienia pan szef, jakkolwiek miał rozum silny, zdrowy i na książkach ćwiczony, uciekał się zawsze do Pisma świętego, „a szukając tam czystego natchnienia serca i pomocy boskiej, zawsze ją znachodził“.

Psycholog, rozważając historyę Niemiry, zakwestyonowałby bezwątpienia tę łatwość i nagłość, z jaką się w nim dokonał przewrót umysłowy, z pewnem niedowierzaniem oceniałby doniosłość skutecznej pomocy bateryi pana szefa pod względem jego nawrócenia, dziwiąc się prostocie i naiwności środka apostolskiego. Dla Kaczkowskiego wątpliwości tego rodzaju nie istniały, a przynajmniej występowały w zupełnie innej postaci. Widząc w religii podstawę wszystkich spraw ludzkich i narodowych tak w życiu prywatnem jak i publicznem: wierząc najmocniej we wszechwładną jej potęgę nad duszami nietylko wiernych, ale i niedowiarków, Kaczkowski uważał za rzecz całkiem naturalną przebieg wypadków, opisany w historyi pana szefa i wszystkich podobnych. Kiedy np. Hania (w „Dziwożonie“), dziewczyna prosta, niewymowna, niezbyt wysoko wykształcona, dla której wyrocznią jest katechizm i ksiądz proboszcz, rozmawia z Edmundem, człowiekiem, który zarówno teoretycznie jak i praktycznie przeszedł wszystkie niemal stopnie wykształcenia i doświadczenia; to Hania, zbrojna prawdami religijnemi, odnosi stanowcze zwycięstwo nad całą świecką uczonością, nad całym zasobem praktyki Edmunda. Dziwi to niejednego, jak Kaczkowski z całą świadomością mógł przypuszczać, ażeby ta domorosła katechetka zdołała wywrzeć jakikolwiek wpływ na takich ludzi jak Edmund lub Kamil. O ciasnotę pojęć trudno autora pomówić; o chęć łapania czytelników na wędkę naiwności, również; omyłkę taką można sobie jedynie wyjaśnić tem wysokiem przekonaniem, jakie Kaczkowski miał o wpływie wiary. Nie objawiając jej w sposób demonstracyjny, uczynił ją on podścieliskiem wszystkich swoich poglądów zarówno psychologicznych jak społecznych i politycznych. Kto jest przekonany o nieomylności jakiegoś środka leczniczego, ten nigdy się nie zawaha przypisać jego przymiotom skuteczności jak najcudowniejszej; jeżeli zaś ktokolwiek umrze po jego zażyciu, to wypadku takiego nie zapisze po stronie pasywów lekarstwa, lecz uważać go będzie za wynik nieumiejętnego obchodzenia się ze swoim zachwalonym środkiem.

Kaczkowski nie miał nic do potępienia w religijności polskiej wieków dawniejszych, a na przyszłość widział zbawienie przedewszystkiem w powrocie niedowiarków na łono kościoła, w ożywieniu wiary wśród mas zobojętniałych, choć w gruncie poczciwych i oddanych praktykom pobożnym. Cześć dla religii rozciągnął i na jej widomych przedstawicieli — na kapłanów. Księża, występujący w jego powieściach, są albo zupełnie wolni od słabostek ludzkich, celując wszystkiemi cnotami i darami Ducha Świętego, a więc i nadzwyczajną mądrością, albo też ulegając pewnym bardzo niewinnym zresztą ułomnościom, bywają otoczeni mistyczną aureolą, która ich nad zwykłych śmiertelników wysoko wynosi, nie pozwalając zbyt ściśle rozbierać ich słów, uczuć i postępków. Najlepszymi reprezentantami księży pierwszej kategoryi są: ksiądz Augustyn w „Dziwożonie“ i ks. Gwardyan we „Wnuczętach“; do kategoryi drugiej zaliczyć wypada starego kapelana z „Braci ślubnych“. Inne zwyczajne indywidua ludzkie, przybrane w księżą sukienkę, doznają bardzo oględnego i bardzo pobłażliwego traktamentu.

Ale ci kapłani nie występują na szerokiej widowni jako działacze społeczno-polityczni. Ich rola jest skromniejsza — zadanie insze. Nie na placach publicznych i nie na zgromadzeniach narodowych, lecz w kościele i w domach prywatnych spełniają oni swoje obowiązki. Nie marzą o przekształceniu z gruntu istniejących stosunków, nie rzucają się na przedsięwzięcia, przechodzące ich siły; lecz mądrem, pełnem namaszczenia słowem uspokajają rozgorączkowane rozumy i fantazye, a serca przepełnione goryczą starają się skłonić do zapomnienia obelg i potwarzy, do zwalczenia pychy, do umiłowania wszystkich braci. Ksiądz Augustyn jest pod tym względem typem prawdziwie klasycznym. Przetrwawszy burzę młodości, która przypadła na chwilę chaotycznych dążeń w celu podniesienia ludu, uspokoił się u stóp krzyża, lecz nie zamarł dla spraw świata. Roztropność jego nie jest tak zwanym chłopskim rozumem, który najważniejsze nawet rzeczy, najgłębsze uczucia, najzawilsze kwestye lubi wyrównywać strychulcem najpospolitszej prozy; rozsądek jego nie jest zimny a serce nie wyschło jak pergamin, lecz chociaż skrwawione, żywo pulsuje na wieść nieszczęścia lub radości. Jakże serdecznym jest jego stosunek do Kamila, zarówno w pierwszej

chwili rozbudzającej się energii, jak po wycierpieniu tysiąca strasznych utrapień, po rozbiciu wszystkich marzonych niegdyś planów! On mu wymówek nie robi, nie naigrawa się z jego upadku, nie liczy wszystkich jego błędów; ale słowami pełnemi ciepła i zacnych przekonań stara się go naprowadzić na drogę nowej a pomyślniejszej działalności.

Innym jest kapelan z „Braci ślubnych“, ten lekarz, cudotwórca i dobrodziej pospólstwa. Ma on słabość do ptactwa, które szczególną otacza troskliwością, trzymając ten drobiazg u siebie masami; znać w jego sercu była jakaś próżnia, domagająca się uzupełnienia; jestto rys buddyjskiej prawie miękkości uczucia, widzącej w każdem żyjącem stworzeniu coś wspólnego z istotą ludzką... Odznaczał się on dobrocią i rozsądkiem; ale starość nie dozwalała mu brać czynnego udziału w życiu. Odcień mistycyzmu, niegdyś może bardzo słaby, jakimś wypadkiem spowodowany, powiększał się z dniem każdym, tak, że starzec w końcu uczuł się powołanym do urzędu proroczego, oddalił się od ludzi, zbudował sobie chatkę w lesie, a opatrzywszy ją we wszystko, co mu się do pustelniczego życia wydawało potrzebnem, kupił sobie kilka koszul włosiennych, kazał sobie uszyć suknię długą pielgrzymską z wiszącym kołnierzem, szablę do boku przypasał, kosztur długi wziął w rękę, ptaszki zabrał ze sobą i, albo przyjmował w swej skromnej chałupie pospólstwo garnące się do niego, albo też wychodził z lasu, nawiedzając wsie i dwory szlacheckie to jako lekarz, to jako prorok jakiś i błogosławiony.

Oto co myślą i czują, co robią i do czego dążą księża Kaczkowskiego, jako przedstawiciele religii w społeczeństwie; zakres życia prywatnego wystarcza dla nich zupełnie. Jeżeli więc autor pragnął podniesienia religijności w kraju, nie czynił z tego programu politycznego, nie opierał się na znaczeniu religii dla narodowości i tem się różni od wielu dzisiejszych polityków; nie miał też na celu wywalczenia dla kościoła wpływu stanowczego na sprawy państwa przez utrwalenie władzy świeckiej hierarchii duchownej — i tym się różni od ultramontanów. Religię uważał za węzeł łączący społeczeństwo przedewszystkiem pod względem moralnym i umysłowym wobec demagogicznej i wolnomyślnej propagandy; a ponieważ wzgląd ten poczytywał za zasadniczy w rozwoju społecznym, stąd też uczynił go podstawą tego rozwoju, nie zasta-

nawiając się dokładniej nad tem, jak na niej da się zbudować gmach nauki, poezyi, przemysłu, ustroju społecznego i t. d.

Przeszłości naszej był Kaczkowski czcicielem, ale nie bałwochwalcą; szczycąc się z synowską dumą jej zaletami, nietylko z goryczą wspominał jej błędy, lecz je uwydatnić się starał dla przestrogi potomnych. Według niego idea samorządu narodowego wije się i wzrasta przez całe pasmo dziejów naszych. Miała ona swoją stronę ujemną, jak każda rzecz ludzka; albowiem zamiast przelać się w cały naród *od góry do dołu* i „udzielnością“ obdzielić wszystkich, zamiast utworzyć państwo zamieszkane przez samych obywateli udzielnych wobec prawa, wcieliła się w jednę tylko warstwę społeczną i utworzyła owo *fatalne wszechwładztwo szlacheckie,* które, mając kogo gnieść, a nie mając się kogo obawiać, musiało z czasem wyrodzić się w swawolę, wydało nareszcie *oligarchią.*

Tyle co do poglądu ogólnego na dzieje nasze. Co się tyczy wieku XVIII., który się stał na długo wyłącznym przedmiotem jego historycznych obrazów, to Kaczkowski obok uwielbienia dla cnót domowych szlachty, dla jej gotowości do ofiar na rzecz sprawy ogólnej, nie żałuje też wydatnych barw dla oddania jej niesłychanej ciemnoty. „Najdziwaczniejsze pojęcia — powiada — najgrubsza niewiadomość, najpotworniejsze przesądy i zabobony lęgły się po jej rodzinach i domach jako posiew zwyczajny; a jak w tym wieku aż do pierwszych lat panowania Stanisława Augusta obiegała w Polsce prawie tylko sama fałszywa moneta, tak oprócz zacnych, lecz nie bardzo siebie świadomych, uczuć obywatelskich obiegały prawie same fałszywe pojęcia i wyobrażenia“.

Jednym z licznych dowodów takiego stanu rzeczy jest fakt przezeń przytoczony, że wielu ze szlachty jeszcze na elekcyjnym dyplomie Stanisława Augusta i na manifestach konfederacyi barskiej podpisywało się znakiem krzyża świętego. Nie oszczędza też silnych razów zbyt licznym niegdyś rodzinom pieniaczów, wśród których możnowładcy zawsze znajdowali zręcznych sekretarzy, niezmordowanych totumfackich, „nieprzegadanych szczekaczy“. Z takich to rodzin wyszła, wedle Kaczkowskiego, owa „haniebna agitacya“ przeciwko ustawom sądowym kanclerza Andrzeja Zamojskiego, które zaręczały pewne prawa cywilne i sprawiedliwość ludowi wiejskiemu.

Bezwzględnym więc wielbicielem starych złotych czasów Kaczkowski nie był; wadliwość pierwotnej organizacyi państwa, rozprzężenie społeczne, przyćmienie światła i cnót publicznych widział dosyć jasno, może nie tak dokładnie jak my dzisiaj po tylolicznych poszukiwaniach i badaniach nad stanem wieku XVIII., ale zapewne o wiele lepiej i dokładniej niż wielu ówczesnych poetów, publicystów, a nawet historyków, którzy oślepieni kilkoma promieniami sławy wojennej a zbici z toru uczuciową apoteozą upadku Polski, uwielbiali to, co potępienia godnem było. Jego samego uderzał zapewne ten kontrast pojęć jego własnych z temi, które mógł wyczytać w dziełach i dziennikach; przynajmniej wnieść to można z jednego ustępu „Wnucząt“, w którym autor zastanawia się nad przyczyną chwalby dawnych czasów, a zauważywszy, iż najwięcej szczegółów dziejowych znaleźć można w historyi rodzin, tak się wyraża: „Zebrawszy wszystko, co się do historyi jednej rodziny odnosi, można o członkach tej rodziny utworzyć sobie jak najdokładniejsze wyobrażenie, ale czy to wyobrażenie będzie prawdziwe, zachodzi wielka wątpliwość. Jeżeli bowiem zwracamy naszą uwagę na przeszłość jakiej rodziny, to była to pewnie rodzina można i znakomita, a *ile* takie rodziny mogły w Polsce i jak dbały o swoje znaczenie i sławę, to rzecz wiadoma. Pomiędzy temi źródłami tedy niezawodnie nie znachodzi się nic, coby dawało świadectwo jej stronom słabym, i jeżeli w testamencie nikt swych spadkobierców nie gani, jeżeli nowożeńcom nie wytyka nikt błędów, i w dedykacyi nie pisze wyrzutów; toż ksiądz, który miał pogrzebowe *kazanie*, był zapłacony przez familią, *dyaryusze* pisywał pański podwładny, a *relacyj wojennych* autorem nigdy nie bywał nieprzyjaciel. Dalej zaś idąc, trzeba powiedzieć, iż podczas kiedy wszystkie takie broszury, które mogły rzucać plamę na pojedyńcze familie, przez też familie były zawsze wyniszczone tak, że mało która nas doszła, toż i autorowie *herbarzów* oglądali się na możność rodziny i *kronikarze* nawet albo omijają całkowicie albo li z ostrożnością napomykają o tem, co odkrywało stronę ujemną rodzin możnych i znakomitych. Do nas tedy podochodziły tylko wiadomości o cnotach wielkich i zbrodniach wielkich, które nie mogły być ukrytemi; ale o słabościach ludzkich tamtych czasów, o ich grzechach małych wiemy zaledwie wogólności, a przy studyowaniu cha-

rakterów pojedyńczych ludzi, jeżeli nam jakiś akt sądowy albo list prywatny, albo zresztą zestawienie wydarzeń nie odkryje jakiejś strony ujemnej, nie możemy prawie dojrzeć niczego innego, prócz samych cnót wielkich, waleczności nieporównanych i olbrzymich poświęceń, — co wszystko jeszcze się staje o tyle wątpliwszem i na znaczne zmniejszenie zasługującem, ile że wiadoma rzecz jest, jak wszyscy starzy pisarze nasi byli rozmiłowani w sławie swego narodu, jakim zaszczytem było tę sławę w jakikolwiekbądź sposób powiększać i rozszerzać — i *jak duch panegiryczny* zawsze przeważał w literaturze". *(Dzieła,* VIII, 316 i 317).

Kaczkowski, wyliczając przyczyny przesadnego wyobrażenia o wielkości przodków, zapomniał o braku statystycznych danych nietylko z czasów dawniejszych, lecz nawet z XVIII. wieku, któreby najlepszy mogły nam dać obraz umysłowego i moralnego stanu społeczeństwa, a zapomniał dlatego, że kiedy dał do druku „Wnuczęta" (1855), statystyka nie była u nas jeszcze tak modną nauką jak jest teraz. W każdym jednak razie wykazał inne przyczyny bardzo jasno i zrozumiale i tem dowiódł, że się wcale nie łudził istnieniem tylko wielkich cnót i poświęceń w naszej przeszłości, że się nie dał obałamucić dymowi kadzideł, który za jego czasów wznosił się tak potężnym słupem, zasłaniając rzeczywistą postać ludzi i rzeczy w XVIII. mianowicie stuleciu. Uczuciowe poglądy na przeszłość rozumiał, ale nie został ich niewolnikiem; w ocenie dziejów wolał pójść za głosem rozumu, który rozwiewając iluzye, uczy zastanawiania się i wyciągania korzyści nawet z tego, co już minęło.

Przy tym obrachunku z przeszłością, z konieczności rzeczy nastręczała się kwestya *tradycyi,* naprzód jako źródła naszych wiadomości historycznych, a powtóre jako drogowskazu przyszłego pochodu dziejowego. Piękne i pouczające są słowa, któremi Kaczkowski określa znaczenie i ważność podań ustnych zarówno dla badań historycznych jak i dla życia; znać w nich głębokie wsłuchanie się i zrozumienie zarówno szczegółów jak i ducha ożywiającego opowiadania ludzi sędziwych, robiące na nim takie wrażenie, jakby widział przed sobą „jakiś dramat olbrzymi, w którym od głazów granicznych do puszcz niezbrodzonych, od pustych szlaków stepowych do miast rojących się ludem, od ludzi do potęg duchowych nie-

widzialnych dla oka, wszystko co żywe i martwe, tajemniczymi węzły w jednę całość złączone, przesuwa się nieskończonym korowodem przed nami i nas zabiera ze sobą". Uznaniu temu atoli dla tradycyi, dla tego żywego ducha dawnych wieków, towarzyszy również rozum krytyczny. Kaczkowski wiedział dobrze, że tradycya nie jest historyą i że w ustnem podaniu nie może się zawierać cała „nauka stanu". Twierdził więc, nauczony doświadczeniem poprzedników, że ktoby ustnym tradycyom więcej zawierzył niż książkom i źródłom piśmiennym, ten zamiast prawdziwych, poznałby bajeczne dzieje; a ktoby podług owych podań ustnych jedynie chciał wyznaczać kierunki myśli i pracy w przyszłości, tenby trafił na manowce prowadzące ku przepaści. Starzy ludzie, którzy tradycye przechowują, choć czasem posiadają wiele nauki, są bardzo mało krytyczni, a przywiązując bezwarunkowo wiarę do tego wszystkiego, co otrzymali z ust wiarogodnych wprawdzie, ale natchnionych umysłem niebadawczym, czasem w tejże skrzyni, wraz z wielkiemi i żywotnemi podaniami narodu z epok szczęśliwych i jędrnych, przechowują polityczne tradycye martwe, strupieszałe, bezużyteczne, z epok strupieszałych i martwych. W tej samej bałwochwalczej miłości pielęgnują podania społeczne, administracyjne, wojskowe, sądowe i inne, nie rozróżniając dość trafnie, co było złe, a co dobre, gdyż nawet wiedzieć nie chcą o tem, „że każdy naród, przenosząc byt swój z wieku do wieku, przenosi wprawdzie także swoje pojęcia i urządzenia, ale *na progu każdego wieku grzebie umarłe, a tylko żywe zabiera ze sobą*". To też w tradycyach wiele bywa sprzętów spaczonych, „wiele rupieci, które rdza zjadła".

Jakąż więc rolę odgrywać ma tradycya w nauce historyi? Wedle Kaczkowskiego, trzy mamy drogi, na których przychodzimy do odgadnięcia i zrozumienia ducha przeszłości: albo przeczuwa go geniusz swoją mocą cudowną, albo go zwolna odkrywa zdrowy rozsądek za pomocą mozolnej pracy i długiego wczytywania się w źródła współczesne, albo go przekazuje w spuściźnie ustne podanie. Lecz największy geniusz nie potrafi nic dojrzałego utworzyć bez wielkiej pracy, a nawet geniusz z nauką razem zawsze jeszcze chromać będzie w historyi, jeżeli nie chce albo nie może pokrzepić się przy źródle żywych tradycyj. Dopiero te trzy środki w połączeniu dają nam możność odtworzenia przeszłości w całej

prawdzie i „od Tacyta aż do Thiersa nie było jeszcze żadnego prawdziwie wielkiego dziejopisarza, któryby się był nie posługiwał tymi wszystkimi trzema środkami“.

Jeżeli wyrażenie „geniusz ze swoją mocą cudowną“, które odpowiadało zamiłowaniu do hiperbol w tem otoczeniu, w którem się wykształcił Kaczkowski, zamienimy na „wyobraźnią dopełniającą, do najwyższego stopnia rozwiniętą“; jeżeli nadto dodamy jeszcze „krytykę podań za pomocą źródeł piśmiennych“, omówioną przez autora w innem miejscu: to nie będziemy potrzebowali niczego więcej prostować w zdaniach powyższych, ażeby się znaleźć na stanowisku dzisiejszej historyografii, w jego najogólniejszym wyrazie. Zostawałaby jeszcze tylko zasada przyczynowości wypadków dziejowych, podług której stałe skutki wypływają ze stałych przyczyn; ale zasadę tę można bardzo naturalnie wnieść jako element składowy do owego zdrowego rozsądku, poddanego wpływom nowoczesnej nauki. Możeby Kaczkowski przeciw prawom rządzącym dziejami zaprotestował w imię Opatrzności; a możeby też uznał, że prawa takie nie są wcale sprzeczne z ideą Bóstwa, kierującego wszechludzkością, tak jak prawa uznane przez nauki przyrodnicze są nieraz pojmowane jako ustawy Wszechmocy.

Nie mogąc rozstrzygnąć tego dylematu na podstawie pism Kaczkowskiego, muszę się ograniczyć na jego zaznaczeniu i przejść do określenia poglądów naszego autora na zadania teraźniejszości.

Hasłem jego w tym względzie, zgodnie z poglądami historycznymi, było umiejętne łączenie przeszłości ze zdobyczami cywilizacyi nowożytnej. Ideały zatem wieków minionych nie miały nadal pozostać ideałami w całej swojej dawniejszej formie, lecz winny były uledz zmianie stosownie do potrzeb i wymagań czasów obecnych. Ludzi marzących tylko o przeszłości przyrównywał do owych kwiatów zamyślonych i smutnych, które rosną na grobach i kwitną tylko umarłym; jest w nich woń jakaś, jak gdyby zagrobowa, nadziemska, chwilami pełna najpiękniejszego uroku. Na dnie atoli przekonań takich ludzi widział poprostu martwy, drewniany i lodowaty sceptycyzm, który gdziekolwiek tylko się ruszy w teraźniejszości, prowadzi do takich samych zasad i czynów, jak „nagi i niczem nie upiększony realizm“. Powolny i spokojny

rozwój wszystkich zasobów materyalnych i duchowych, rozwój, oparty na przeszłości, nie śpieszący się w odrzucaniu dawnych rzeczy i form dlatego tylko, że dawne, ani w przyjmowaniu rzeczy i form nowych dlatego tylko, że nowe: to była rada najogólniejsza, jaką ziomkom swoim podawał, przedstawiając im jako wzór do naśladowania szefa Niemirę, owego sceptyka filozofującego, który się w końcu stał głęboko-religijnym. Człowiek ten, pozbywszy się niewiary, składał jeszcze hołdy politycznemu marzycielstwu, snując codzień plany nowych wielkich przedsięwzięć. Trwało to póty, póki wojny europejskie, przez Napoleona wzniecone, nie skończyły się powszechnym pokojem i związkiem monarchów. Wówczas pan szef zrozumiał, że jest daleko więcej małych a bliższych nas obowiązków, które pod groźbą następstw najgorszych wykonywać potrzeba pilnie i sumiennie; wówczas przekonał się, że napowietrzne latanie i „knowanie planów“ bez możności urzeczywistnienia ich, nie prowadzi do niczego i ledwo gołowąsym młodzieńcom przystoi. Skutkiem tego z całym zapałem rzucił się do gospodarstwa, wiele w niem robiąc ulepszeń, ale wiele także zachowując z dawnej metody, dowodząc o każdym zostawionym szczególe cyframi, że jest lepszy od nowego wynalazku. Ze sługami zachował dawniejszy stosunek; dwór zostawił nietknięty; ale wymurował stajnię nową wedle nowszego smaku, a oficynę nawet bardzo ozdobną, mówiąc, że dwór dawny dla niego wystarcza, a syn postąpi sobie wedle swojej potrzeby. Względność dla przyszłego pokolenia posuwał do tego stopnia, że kiedy w podeszłym wieku przedsiębrał coś nowego, zawsze pytał syna o radę i jemu oddawał prawo ostatecznej decyzyi.

Nie zaniedbywał codziennie ćwiczyć swych sił fizycznych, które tym sposobem w stanie czerstwości i młodzieńczej energii do późnych lat zachował, zapewniając zarazem umysłowi zupełną przytomność, a nawet pewną świeżość. Inteligencyi swojej dawał pokarm zdrowy, odczytując tych autorów, którzy niegdyś silne na nim zrobili wrażenie, nie gardząc atoli nowymi; a trzymając gazety, lubił zawsze wiedzieć, co się dzieje w krainach wiedzy. Świeże utwory historyczne sprowadzał zazwyczaj wszystkie i odczytywał z zajęciem; a kiedy widział się spowodowanym nie dowierzać zdaniu autora, uciekał się po staroświecku do starych kronik, które

z pewną czcią przechowywał w swojej bibliotece. Wątpliwości wszelkie, jak już wiemy, rozstrzygał za pomocą Pisma świętego. Pomimo to wysoko cenił rozum i brakowi „krytycyzmu“ przypisywał powolność w rozszerzaniu się oświaty i uformowaniu się *jakiejś dzielnej opinii publicznej* w naszem społeczeństwie. Powstawał też ostro przeciw tym krzykaczom, którzy rozwodzili się nad przewagą zimnego wyrachowanego rozumu nad sercem, i twierdził, że serce, choć niewykształcone, a może nawet zepsute, króluje u nas, nie dając przyjść do głosu rozumowi. „Taka organizacya nasza — powiadał — daje nam zapewne niezaprzeczone świadectwo, że jesteśmy materyałem, z którego przy szczęśliwych okolicznościach cośby być mogło; ale tymczasem nic z nas nie jest; chodzimy po omacku i łamiemy częstokroć karki na takim kamyku, który nawet przy krótkim wzroku łatwo było ominąć“.

Pan szef tedy siedział na ziemi, odziedziczonej po przodkach i starał się ją utrzymać w najlepszym stanie, przyjmując z wyników postępu te tylko, które uważał za dobre, a zachowując wiele doskonałych choć starych zwyczajów. O szerszych horyzontach politycznych w ówczesnych stosunkach społecznych nie mógł marzyć; całą więc usilność swoją włożył w to, ażeby nietylko nie uszczuplić, „lecz nadto powiększyć spuściznę naddziadów“. Że to stanie na straży ziemi nie było skutkiem egoistycznych tylko popędów, mających na celu zapewnienie sobie tylko dobrobytu, lecz że miało znaczenie głębsze, narodowe, to nie ulega wątpliwości. Kaczkowski kładzie na ten fakt nacisk osobliwy, a myśl swoją rozwija bliżej, występując przez usta Tadeusza Niemiry przeciwko szlachcie trawiącej czas i mienie po wielkich miastach. „Kto ma ziemski majątek — powiada tu — ten nietylko go ma na to, ażeby zeń ciągnął dochody, ale żeby także wypełniał powiązane z nim obowiązki. A obowiązkami tymi są najprzód opieka nad kilkuset albo kilku tysiącami dusz ludzkich... dalej są to obowiązki względem naszego sąsiedztwa, obowiązki dobrego przykładu, wzajemnej pomocy, wzajemnej narady nad dobrem powiatu i zresztą wzajemnej rozrywki; a nakoniec są to obowiązki względem roli samej i was samych, którzy powinniście tej roli, która was żywi, pilnować własnem swem okiem, bo wy macie obowiązek w takim samym stanie oddać ją dzieciom waszym, w jakimeście ją odebrali po ojcach“.

A tymczasem dzieje się inaczej. We wsiach duszą i drą chłopów ze skóry komisarze i ekonomowie, frymarczą na różne sposoby z żydami, okradają właścicieli i zostawiając klątw gromadę na ich sumieniu, zakupują majątki w ich sąsiedztwie i urągają im jeszcze. Właściciele zaś z połową możliwych dochodów siedzą w mieście, marnotrawiąc czas na lichej, jeżeli nie grzesznej rozrywce i bez żadnego poważnego zajęcia wystawiają żony na ciężkie próby, które, jak się to pokazuje z doświadczenia, zanadto są ciężkie na słabe ich charaktery; podają córkom sposobność patrzenia na zepsucie obyczajów, na bezwstyd i plugastwa, sposobność wyuczenia się zawczasu różnych wybiegów i intryg, które się im przydają potem, kiedy są już zamężne... Z takiego trybu życia wynika ruina majątkowa i nuda, każdą radość zabijająca.

Pilnować więc roli — to pierwszy obowiązek obywatela; drugim — jest posiadanie jakiegoś specyalnego wykształcenia. Kaczkowski wybornie podpatrzył i trafnie wskazał jedną z największych wad naszego narodowego wychowania t. j. niepohamowany jakiś pociąg do uniwersalności. Powstaje też przeciw niej z całą siłą rozumowania.

„My wszyscy — powiada — na nasze nieszczęście, jesteśmy szlachtą i chcemy wiedzieć wszystko; puszczamy się więc już zaraz z młodu kilkunastoma drogami odrazu i nie doszedłszy nigdzie, wracamy nazad, a powróciwszy, powiadamy z miną filozofów: mądrość światowa jest głupstwem. Taka metoda wychowywania i kształcenia się nie prowadzi nas oczywiście do czego innego, jak tylko, że po skończeniu całkowitej edukacyi właściwie nic nie umiemy, przez resztę życia już niczego się nie uczymy, nie zostajemy specyalnie niczem, a wśród tego uczuwamy coraz większą czczość w sercu, coraz większy chaos w umyśle, coraz mniejszą świadomość siebie w naszem sumieniu i nakoniec przestajemy być nawet samymi sobą... Gdyby każden z nas prócz szlachectwa obrał sobie jakąś profesyę, to aniby się nam świat wydawał tak zupełnie znikomym, ani życie taką nędzotą, ani mądrość ludzka tak głupią, anibyśmy znali owe czczości i nudności serca, ani owe gorączki umysłu, które sprowadzają nam choroby moralne, albo rodzą w nas żądzę zmieniania światowego porządku, i stawania się fałszywymi prorokami albo nieproszonymi zbawicielami ludzkości... Gdybyśmy ciągle i pracowicie

coś produkowali ze siebie, nabrałbyśmy znaczenia w sobie i poza sobą, wyrobilibyśmy sobie cywilizacyę swojską, rodzimą i nią bylibyśmy więcej warci na świecie, niżeli tem, że jesteśmy encyklopedycznymi zbiorami wszystkich cywilizacyj europejskich. A moglibyśmy to zrobić, gdybyśmy tylko chcieli, bo na zdolnościach wcale nam nie brakuje. Ale brak chęci, wstręt do jednostajnej i wytrwałej pracy i początkowe wychowanie nasze stoi nam na przeszkodzie". *(Dzieła,* VIII, 110 i 111).

A więc, kiedy społeczeństwo straciło dawne wielkie znaczenie; kiedy na wielkiem polu polityki nic zdziałać nie może; kiedy musi żyć w sferze zacieśnionej pod wszystkimi względami: nie powinno upadać na duchu, rozpaczać, wegetować lub marzyć lekkomyślnie; lecz przeciwnie, należy mu umieć uzupełnić dni swego życia cichą, drobną, ale użyteczną pracą. Nie ranga jenerała, ale służba prostego szeregowca winna być jego ambicyą. Idea pracy organicznej, wewnętrznej, wypowiedziana była tym sposobem przez Kaczkowskiego dosyć wyraźnie i dobitnie, zarówno we „Wnuczętach", jak w „Dziwożonie" i „Rozbitku". W zakresie trudów, materyalnego bytu dotyczących, rozwinął szerzej myśli o jednej tylko dziedzinie pracy organicznej — o rolnictwie; o przemyśle, rękodzielnictwie i handlu nie rozpowiadał wcale.

Nie chcemy z tego powodu oskarżać autora o ciasnotę pojęć, a przycinki, wypowiadane przez niektóre dodatnie skądinąd osoby jego powieści przeciw mieszczanom wogóle, a dorobkowiczom w szczególności, wolimy tym osobom tylko przypisać, a nie samemu Kaczkowskiemu. Mając na oku głównie szlachtę i wieś, znając jedną i drugą wybornie, nie zapuszczał się w społeczne badania natury ogólnej i wolał ograniczyć sferę swego obrazowania, niż obrabiać to, z czem stykał się rzadziej. Programu społecznego nie pisał, tylko powieści, nie mógł więc oczywiście wypełnić ram jego z całą dokładnością. Czuł jednakże potrzebę nieodzowną wciągnięcia w zakres twórczości artystycznej mieszkańców miast i miasteczek, i potrzebę tę wypowiedział w r. 1862, t. j. po zamkniętym na razie zawodzie powieściopisarskim, dobitnemi słowy: „Szlachta się kąpie w powieściach o swoich dawnych cnotach i obyczajach; nie masz już prawie ani tak wielkiej, ani tak małej sprężyny w jej dziejach, którejby nie poruszono; azaliż choć co-

kolwiek zrobiono ku temu samemu celowi dla mieszczan i rzemieślników? A przecież i to jest *pars magna* naszego ogółu, i ona nie potrzebuje się wzorami cnót zapożyczać u innych, i ona ma pełną skarbnicę swojej przeszłości, z której wiele da się wydobyć". Autor miał w tym ustępie na uwadze głównie historyę, to prawda; ale to samo dowodzi właśnie, że nie lekceważył sobie pierwiastka mieszczańskiego i traktował go na seryo. Kaczkowski nie wyszedł pod tym względem poza ogólniki; nie oznaczył ani stosunku mieszczaństwa do szlachty, ani jego obowiązków w czasach dzisiejszych, ani ważności różnych działów przemysłu i handlu; w każdym jednak razie idea pracy drobnej a wytrwałej i do tej nieobrobionej klasy mieszkańców zastosować się daje.

Już z tego planu działania w teraźniejszości łatwo wnieść można, że Kaczkowski był stanowczym nieprzyjacielem radykalizmu. Chłodny i rozważny we wszystkich innych kwestyach, wybuchał gniewem niepohamowanym przez usta dodatnich swoich figur, ilekroć przyszło mu mówić o działaniu propagandy demokratycznej w kraju naszym. Nie było ani jednego słowa oburzenia, któremby nie napiętnował postępowania demokratów czy demagogów; nie było gromu, któregoby na nie nie rzucił. Przyznał wprawdzie raz, że pomiędzy zwolennikami teoryi demokratycznej znajdowały się znakomite zdolności, nieprzełamane cnoty, wielka otwartość serca, nieustraszona odwaga cywilna, ale uczynił to, jakby przymuszony, i zastrzegł natychmiast, że wszyscy „dla miłości świętej teoryi umieli sobie wszystkie niedostatki, częstokroć występki, a czasem nawet zbrodnie przebaczać". Zresztą zarzucał tej doktrynie bezbożność, zerwanie z dziesięciowiekową historyą narodu i potoki krwi niewinnie przelanej.

Doktryny arystokratycznej, wyzyskującej zasługi wiekowe na rzecz znaczenia przewodniego w czasach obecnych, nie uznawał również, ale był dla niej z większem uszanowaniem, z większą pobłażliwością. Ponieważ opierała się na przeszłości, ciągnąc z niej soki pożywne, ponieważ nie splamiła się krwią ludzką i wiele tylko papieru zmarnowała, ponieważ odznaczała się łagodnością i elegancyą form, przebaczał jej błędy, jej „martwe przesądy" daleko łatwiej, daleko chętniej aniżeli szorstkim, rubasznym, grubijańskim i nieubłaganym demokratom. Zasługi historyczne miały dla niego urok wielki,

który mu zasłaniał oczy na takie fakta jak: dobrowolne zejście z pola, brak inicyatywy, zcudzoziemczenie, po części nawet serwilizm, fakta świadczące przeciwko arystokracyi w tych czasach, kiedy się rozgrywał dramat powieściowy Kaczkowskiego. Autor nie widział ich lub nie chciał widzieć; pojedyńczy objaw pożytecznej działalności brał za charakterystykę całej klasy i tym sposobem zbyt surowy dla biedaków pracujących o chłodzie i głodzie gdzieś na poddaszach, był zbyt pobłażliwym dla tych, co w złoconych pałacach, w paryskich hotelach, w rzymskich willach lub na pokojach królów i książąt gnuśne pędzili życie.

Można nie zgadzać się na idee głoszone przez demokracyę, można nawet potępiać środki, których się chwytała dla przeprowadzenia swych planów; ale niepodobna zaprzeczyć, że jej wyznawcy własną krew za myśli swoje przelewali, że wierzyli przynajmniej szczerze w to, co głosili. Że pomiędzy nimi byli kuglarze szafujący cudzem życiem na rzecz własną, nikt nie zaprzecza; ale historya, wskazując postaci szlachetne, nie pozwala na traktowanie ogółu jako szajki nikczemników.

Zresztą, ażeby słusznie ocenić zapatrywanie się Kaczkowskiego na tę kwestyę, potrzeba sobie przypomnieć, że wyrażenia: arystokracya i demokracya przedstawiają pojęcia bardzo elastyczne, dające się rozciągać i ściągać stosownie do chwilowej potrzeby, mianowicie u nas, w czasach dzisiejszych. Przez arystokracyę rozumieć można wszystkie szlachetne i wielkie pierwiastki ustroju społecznego, z którymi inne powoli asymilować się powinny; ale też można rozumieć pretensye bez siły, zarozumiałość bez zdolności, przestarzałe przywileje bez obowiązków, naczelnictwo bez podwładnych. Podobnież i w demokracyi można upatrzyć zarówno ideę równości wobec prawa, dążenie do braterstwa nietylko w niebie, ale i na ziemi, pragnienie samodzielności dla wszystkich; jak niemniej chęć zrównania całej ludzkości strychulcem zwierzęcych popędów, chęć obniżenia wysokich ideałów społecznych na rzecz mało rozwiniętych indywiduów, chęć zdeptania cywilizacyi przeszłości dla zaprowadzenia urządzeń tchnących dzikością i t. d.

Stąd też z biegiem czasu, kiedy bolesne wspomnienia wieku młodzieńczego zacierały się, Kaczkowski łagodniał

w swych napadach na demokracyę, a raczej demagogię, a za to goręcej powstawał przeciw tym arystokratom, wierzącym w krew, którzy „znając dążenia postępowe, nie mogą się z niemi pogodzić, nie mogą działać pożytecznie“. W „Rozbitku“ nazywa zasadę arystokracyi i demokracyi po prostu „ciasną“; a za wzór, z któregoby Polacy mogli odnieść wiele korzyści, podaje Anglię. Do końca jednak swego powieściopisarskiego zawodu pozostał zaciętym nieprzyjacielem rewolucyi, zalecając powściągliwość i pracę powolną. Słusznie utrzymywał, że na wybuch jakiś gwałtowny, na poświęcenie się dorazowe, na wojnę choćby śmiertelną, stać nas było każdego czasu; ale obaczyć przed sobą cel jakiś daleki, dążyć do niego wytrwałą pracą całych pokoleń, poświęcać się jednemu celowi codzień przez całe życie, nigdyśmy nie umieli. („Rozbitek“, III, 8).

Najdobitniejszym wyrazem tych przekonań jest „kronika rodzinna“ p. n. „Żydowscy“ (r. 1860), która wywołała gwałtowną opozycyę ze strony radykałów, pragnących jakiegokolwiek ruchu, choćby ten ruch miał nas zabić, zarażających nas „pijaństwem serca i szaleństwem sumienia“ (II, 258).

I tu wszelako Kaczkowski nie jest bynajmniej przeciwnikiem zmian i reform, tylko pragnie je dokonywać z rozwagą i umiarkowaniem. „Ruch — powiada — rzecz pożądana! główny to warunek postępu i życia. Ale ruch ruchowi nierówny. A kiedy się kędyś zrobi ruch nadzwyczajny, każdy człowiek roztropny pyta dzisiaj przedewszystkiem, z jakich ten ruch wypływa źródeł, jakimi jest obudzony środkami i do jakich zmierza celów. Kiedyśmy ufni w żywotność naszych dziejowych tradycyj i w jedność natchnień narodu, wierzyli ślepo, że każdy ruch u nas może tylko z jednego wypływać źródła i do jednego zmierzać celu; nigdyśmy o to nie pytali i szliśmy za każdym ruchem, choćby na śmierć lub męczeństwo; ale odkądeśmy się przekonali po dwakroć, iż już i u nas zdarzają się ruchy, z rozmaitych wypływające źródeł, rozmaitymi obudzane środkami i do rozmaitych służące celów; odtąd się zawsze i bardzo pilnie o to pytać powinniśmy — i będziemy...“ (II, 243, 244).

Ideałem jego był wtedy Dobiesław Żydowski, człowiek wszechstronnie wykształcony, idealista w głębi duszy, ale realista w obieraniu środków prowadzących do celu, który prze-

frymarczoną przez brata wieś dziedziczną odkupił, porządnie zagospodarował, sąsiadom pomagał i do zajęcia się sprawami publicznemi ich przygotowywał. W zasadach był on najczystszym demokratą i co do różnic pomiędzy ludzmi „trzymał się ściśle tego, czego uczy nas anatomia: jeden człowiek jest jako drugi“. Wolności i swobód pragnął jak najobszerniejszych, uwielbiał republikę; a nim się ta forma ustali, był za nieustającą opozycyą przeciw wszystkiemu, co temu stoi na drodze. Ale w zastosowaniu tych zasad robił ustępstwa i wielkie. I tak np. wedle jego teoryi należałoby pielęgnowanie ducha i spraw narodowych wyrwać z rąk ludzi tych, którzy się tem zajmowali dotychczas, a którzy mają zamało ognia i zapału dla pojęć nowszych, i należałoby ich całkiem odsunąć na stronę i zastąpić innymi — a tu tymczasem właśnie tych ludzi odsuwać nie można, bo oni są jeszcze zawsze głównem narodowego ducha objęciem, jego wyrazem i siłą, a niemasz, ktoby ich godnie zastąpił. Wedle jego teoryi należałoby wszystkie dotychczasowe powagi obalić, zmiąć i pogrzebać, bo się zużyły, ociężały, odpoczywają w spokoju i martwy spokój rozszerzają około siebie — a tu tymczasem właśnie tych powag obalić nie można, choćby tylko dlatego, iż „są skarbnicami naszych duchowych prac i zasobów, ściągają przez siebie ku nam poszanowanie u obcych i są naszą chwałą, naszym zaszczytem, naszą reprezentacyą nazewnątrz...“ (II, 198, 199). I to umiarkowanie właśnie różni go od zapalonych demagogów, których tu uosobił Kaczkowski w Walentym Wichrze, człowieku obdarzonym „sercem wulkanicznem“, „ognistą fantazyą“, a więc też „dziwnie niespokojnym umysłem“, co pędził na rumaku swych mrzonek, nie chcąc go wcale okiełznać.

Z tym poglądem na kierunek spraw politycznych łączy się ściśle ocena naszej poezyi „romantycznej“ i — tak zwanej romantycznej. Kaczkowski nie rozróżniał faz literackich w latach od 1820—1850, lecz cały rozwój poetyczny tej chwili dziejowej za coś jednostajnego i jednorodnego uważał. To też grom, jaki rzucił na romantyzm, w części tylko da się usprawiedliwić, t. j. o tyle, o ile padł na utwory istotnie wybujałe, nierachujące się z rzeczywistością, marzycielskie i egzaltowane. Jako nieprzyjaciel egzaltacyi, nadmiernego wrzenia uczucia i zbyt lotnego bujania fantazyi, dążenia do przewrotów wszelkiego rodzaju, przyznawał wprawdzie, że nowa poe-

zya nasza „rozbudziła śpiącą duszę narodu“; ale dodawał zaraz, że „kto kielich nią napełniony wychylił do dna, dostał zawrotu głowy, który się z czasem zamienił w *szaleństwo*“, utrzymywał, że lekarstwo było dobre, ale oskarżał lekarzy o to, że zapomnieli podać przepisu, jak go należało używać.

Porównanie to niewłaściwe, a oskarżenie niesłuszne. Poezya nie jest i być nie może programem politycznym, obrachowanym na pewną tylko chwilę; niepodobna więc szukać w niej lekarstwa na choroby społeczne. Powtóre, poeci nie są pedagogami, żeby wydzielali porcye nauki i porcye poezyi dla swoich wychowanków. Jak uczeni podają wyniki swoich badań bez względu na to, czy kto się nie stanie bezbożnym wskutek przejęcia się ich zasadami; jak inżynierowie budują koleje bez względu na to, że ktoś może się rzucić na szyny i życie stracić: tak i poeci wyśpiewują swoje ideały bez obawy, żeby im ktoś miał wyrzucać szaleństwo tego, kto w ich utworach znalazł truciznę. Od społeczeństwa zależy przyjęcie lub nieprzyjęcie ideałów poety; od społeczeństwa zależy pochwała ich lub nagana; społeczeństwo też samo winić wypada, jeżeli niekorzystny wybór zrobiło. Poezya, a wogóle literatura, jest pewnego rodzaju pedagogią, ale pedagogią dla dojrzałych, jest działaniem samodzielnych osobistości na inne mniej lub więcej samodzielne osobistości; winić więc jednę stronę o zły wpływ, a rozgrzeszać drugą ze złych postępków nie jest bynajmniej rzeczą sprawiedliwą. Wiem ja, że w przyczynowym łańcuchu wypadków poezya jest jednym z potężnych ogniw; ale nie należy zapominać, że nie stanowi całego łańcucha. Kto o tem zapomina, ten dopuszcza się niesprawiedliwości, tak jak Kaczkowski w ustępie powyższym i jeszcze w następnym: „Romantyczna poezya wyrządziła wiele złego naszej wielkiej rodzinie. Rozpasanie się jej z wszelkich form stałych, do której ją doprowadzili niezdarni uczniowie, sprowadziło za sobą takież samo rozpasanie się zdań i umysłów. Gdybyśmy byli poszli tą drogą dalej, bylibyśmy przyszli ostatecznie do tego, że społeczeństwo nasze byłoby się zamieniło w *wielki dom obłąkanych*... Życie nasze upłynęło w poetycznem pijaństwie, a ślady naszego pochodu krwią się oznaczyły niewinną“. A przecież „rozpasanie się zdań i umysłów“ zawdzięczamy nietyle rozluźnieniu form poetycznych, ile brakowi gruntownej nauki i anormalnemu stanowi politycznemu; a brak grunto-

wnej nauki był skutkiem braku uniwersytetów albo ich ślimaczego żywota; co zaś do anormalności stosunków, o tem niema co i wspominać.

A jak był Kaczkowski niesprawiedliwym dla romantyzmu wogóle, tak też bardzo jednostronnie ocenił i dwu wielkich poetów: Mickiewicza i Słowackiego. Mickiewicza nazwał przez usta ks. Augustyna „poetą, który wiele pieśni zwodniczych naśpiewał“, przyznając mu, że dał oddech, czucie i życie całej młodzieży, marzącej o przekształceniu świata; a ustęp z Ody do młodości, w którym się te trzy wiersze zawierają:

I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu —

piętnuje cechą fałszu, choć każdy widzi, że bez usposobień i uczuć oddanych w tych wierszach, nie można marzyć o postępie, który się natężeniem wszystkich sił zdobywa. Słowackiego poprostu nazywa poetą-szaleńcem, dyszącym krwawymi wybuchami ostatecznej rozpaczy.

Są naturalnie pewne niezgodności pomiędzy pojęciami o poezyi dwu dodatnich osób „Dziwożony“, gdzie pogląd na romantyzm się mieści; ale niezgodności te dowodzą jedynie, że Kaczkowski nie był jeszcze wówczas przyszedł do jakiegoś stanowczego zdania w tej ważnej kwestyi. Tu podałem pogląd na romantyzm zamieszczony przy końcu powieści, ponieważ tam wypowiedziany został nie w sprzeczce z kimś drugim, ale jako prawda zdobyta długiem a nawet krwawem doświadczeniem.

Winienem jednakże dodać, że w latach późniejszych Kaczkowski znacznie zmodyfikował potępiający sąd swój o tym przedmiocie, a wymownym wyrazem zmienionych poglądów jest „Słowo o romantyzmie“ (ogłoszone we Lwowie 1891, str. 81). Przedstawiwszy tu źródła, z których nurt romantyczny wypłynął, zarówno na Zachodzie jak i u nas, określił go jako „prąd ducha, mający na celu wyswobodzenie naturalnego ludzkiego uczucia z narzuconych mu form i formułek, przyprowadzenie go do samowiedzy i oddanie mu najwyższej władzy w poezyi, literaturze i sztuce“ (str. 65). Zgodnie z takiem określeniem, wykazał też dziejowe znaczenie naszego romantyzmu, powiadając: „Zasługi, które on, pomimo wielu zboczeń i grze-

chów, położył około naszej kultury, są ogromne i niepoliczone. W tej królewskiej spuściźnie, którą nam po sobie zostawił, są myśli sięgające swoją wzniosłością na najszczytniejsze wyżyny ludzkiego ducha, są uczucia anielskiej czystości i woni, są głosy wykradzione nadziemskim światom, do których my śmiertelnicy przystępu nie mamy, są dźwięki podsłuchane w sferach odwiecznej harmonii wszechświata, której my mamy tylko przeczucie, są wreszcie formy prawdziwie piękne i jest ich tak wielkie bogactwo, że będą przechodzić z pokoleń na pokolenia, a nigdy się nie zużyją. Prócz tego romantyzm nauczył nas pisać, wzbogacił, ukształcił i uwspanialił nasz język do wysokości przed nim nieznanej, podniósł nasz umysł na poziom najukształceńszych narodów, a nadto wszystko, jeżeli nie wskrzesił, to utrzymał w nas tę treść duchową naszego wiekowego żywota, która bez niego byłaby pewnie zmarniała, a może i całkiem zamarła. Nawet jego przewodnia narodowa idea nie może i nie powinna być potępioną bezwzględnie, bo jeżeli usiłowania wprowadzenia jej w życie przyniosły nam ciężkie i krwawe rozczarowania, to nie dlatego, żeby ta idea nie miała racyi bytu, tylko dlatego, że tym usiłowaniom nie towarzyszyły cierpliwość, rozwaga i umiejętność wybrania stosownej chwili, czemu z pewnością nie winna sama idea...“ (str. 70). Na takie zdanie o romantyzmie naszym zapalony nawet wielbiciel tegoż przystać może bez wyrzutu sumienia; lecz pamiętać potrzeba, że zdanie to wygłosił Kaczkowski dopiero w wieku sędziwym, kiedy już walczyć przeciw skutkom wybujałości romantycznej nie potrzebował.

Potępiając przesadę w pojęciach, nie cierpiąc ani apoteozy zbrodni, ani apoteozy jakiejś jednostronnej lub względnej cnoty; słowem strzegąc się ostateczności, Kaczkowski chciał przedstawiać ludzi w całej ich prawdzie i naturalności. Nie wabiło go jednak sentymentalne napawanie się łagodnemi uciechami, chociaż uznawał, że one więcej zadawalają wyobraźnię. Pójść pod strzechy prawdziwych ludzi i powtórzyć w duszy rozmowę serc młodych, zespolonych miłością; rozławać ślubne obrączki stęsknionym za sobą kochankom; zasiąść z gołąbkowatym staruszkiem pod lipą w dziedzińcu, pociągnąć z nim lipca starego, który księcia Józefa pamięta, pogawędzić z nim o mroźnej Berezynie i gorącej Hiszpanii; zmówić cichy paciorek za dusze zmarłe, kiedy na Anioł Pań-

ski zadzwonią w niedalekim kościołku; pobłogosławić z nim syna wyjeżdżającego po milionową sukcesyę; pójść za nim poważnego poloneza na wnuczki weselu; ucałować rączki ukochanej babuni, której obraz już znika ze ziemi, potrzymać z nią do chrztu dorodnego prawnuczka, przysłuchać się jej rozmowie z wąsatym panem rotmistrzem i sędziwym plebanem: rzucić wzrok nieokiełznany na szerokie niwy podolskie, na łany złotą falujące pszenicą, na łąki kwietne i gaje zielone, dworki jak śnieg bielutkie, chatki wiejskie otoczone sadami; napoić piersi świeżem powietrzem górskiem; spieczone usta ochłodzić wichrem pędzącym od Ukrainy; podsłuchać dumek lecących gdzieś od góry powietrzem *(Dzieła*, VII, 294) — to są bezwątpienia rzeczy bardzo piękne, bardzo miłe, bardzo powabne dla fantazyi, ale wyłączne ich malowanie, jak to było zwyczajem w naszej powieściowej literaturze, nie odpowiadało, wedle Kaczkowskiego, zadaniu pisarza w dobie ówczesnej. Dlaczego? — „Bo nie ten jest dobry gospodarz pomiędzy nami, który z okna swego pałacu patrzy tylko w piękne klomby swojego ogrodu, który nagradza sługi przynoszące mu *dobre nowiny,* a bije w gębę tych, którzy go ostrzegają, że chwast obsiada pszenicę albo zaraza wkradła się do obory; ale ten, który sam we wszystkie kąty swego gospodarstwa zagląda, wszystkie role obchodzi, nie ominie żadnej stajenki, a chwasty w pszenicy i choroby pomiędzy dobytkiem własnemi obejrzy oczyma i czemprędzej o skuteczne postara się środki. Bo nie nam to dziś piękne klomby roztaczać sobie przed okna, *nie nam pochlebne pokazywać sobie zwierciadła,* abyśmy się w nich przeglądali z rozkoszą i cieszyli się twarzy nienaszych widokiem; nie nam to *kadzić sobie nawzajem* za te okruszyny cnót, które się jeszcze jako tako u nas uchowują; nie nam się wznosić w owe napowietrzne krainy eterycznego marzenia, w których rajskiej rozrywki szukają szczęśliwe, zepsute lub strupieszałe narody. Przetrzeć nam trzeba dobrze oczy nasze zamglone; *zajrzeć w rzeczywistą głąb' naszą,* przypatrzyć się zblizka tym wszystkim zgniliznom i rakom, które toczą naszego ducha, przedstawić żywcem wszystkie nasze błędy, występki, szaleństwa; a wykazawszy jasno nieominione ich skutki, uderzyć silnie, jak gdyby zabójczym toporem w samo źródło choroby... ten jest nasz obowiązek i ten

spełniać sumiennie powinien każdy, któremu Pan Bóg dał siły potemu!“

Wysokie więc i bardzo ważne stawiał sobie Kaczkowski zadanie, chcąc oderwać powieść od rozpatrywania drobnostek życia codziennego, a wznieść ją ku sferze wielkich zagadnień społecznego rozwoju; chcąc z dziedziny sielanki przejść do potężnego gmachu epopei; chcąc raz już skończyć z rutyną zadyszanych pochwał i nieśmiałej nagany, ale smagać biczem Eumenidy wszystkie zdrożności, krajać nożem anatomicznym wszystkie chorobliwe narośle. Wybrał sobie powieściopisarz stanowisko publicysty raczej, dopatrującego się potrzeb społecznych i dającego na nie lekarstwo, niż artysty, lubującego się we wszystkich objawach natury i życia ludzkiego, byleby w tych objawach była jakaś strona piękna, którąby mógł pochwycić i przedstawić. Stanowisko takie nie jest oczywiście jedynie dobre, ale w pewnych położeniach społecznych zasługuje na wysokie uznanie, a autor, który je zajął — na prawdziwą wdzięczność.

* * *

Gdyby mi przyszło w krótkiem wyrażeniu skupić charakterystykę poglądów społeczno-politycznych Kaczkowskiego, miałbym jedno tylko do rozporządzenia, a mianowicie: konserwatyzm umiarkowany. Trzyma się on przeszłości, ale nie gardzi i nie poniewiera nabytkami czasów nowszych, każąc przyswajać sobie to, co w nich jest dobrego; zachowuje zatem przeważnie bierne stanowisko. Na tem stanowisku można nic nie stracić, ale niepodobna przysporzyć bogactw do ogólnej skarbnicy cywilizacyjnej. Kaczkowski twierdzi wprawdzie, że stać nas na wyprodukowanie własnej kultury, nie podaje jednak środków takiej produkcyi, ponieważ nie rozwija przed nami swego zapatrywania się na te organa społecznego ustroju, które służą do przeprowadzenia postępu. Wskazał on z naciskiem pracę organiczną w małem kółku, radził się pozbyć butnej myśli, żeśmy się wszyscy wielkimi ludźmi porodzili: lecz to są tylko środki ochronne, zabezpieczające od strat. O przemyśle i o nauce — o tych dwu czynnikach głównych postępowego *zwiększania* sił materyalnych i duchowych, głucho u niego. Doradza wprawdzie specyalne wykształcenie; ależ

i ten środek podniesienia umysłowości, jakkolwiek niezmiernie ważny i dziś jak i dawniej niezbędny, służy również tylko do przyswojenia biernego nabytków cudzych, nie zaś do spotęgowania sił własnych. Poddając naukę pod kontrolę teologii, osłabia jej energię i czyni ją niezdolną do kroków samodzielnych; milcząc o przemyśle lub kramarstwem go nazywając, nie wzmacnia podwalin, na których dzisiejsza kultura się wznosi.

Takie są braki teoretycznego poglądu Kaczkowskiego, braki ważne, ale nie umniejszające wielkiej zasługi zalecania pracy cichej, drobnej i wykształcenia specyalnego. Zasługa ta pozostanie przy nim jako przy pisarzu i obywatelu; podnosimy ją też i akcentujemy.

Lecz Kaczkowski był przedewszystkiem powieściopisarzem, t. j. artystą wcielającym swe pomysły w pewne kształty sztuki; wypada więc zbadać, o ile zdołał poglądy teoretyczne, wypowiadane przy sposobności, zużytkować na rzecz artyzmu; o ile osoby, przezeń do życia powołane, odtworzyły plastycznie to, co było przedmiotem myślowego uogólnienia abstrakcyi.

IV.

Artystyczna działalność Kaczkowskiego ma dwie odrębne strony, które się wyraźnie zarysowały z samego zaraz początku i później z małemi zmianami stale się uwydatniały w jego utworach.

Kaczkowski rozpoczął swój zawód powieściopisarski na większą skalę od dwu powiastek, jednej spółczesnej („Kato“) i jednej historycznej („Bitwa o chorążankę“), drukowanych tego samego r. 1851 w feljetonie „Czasu“. Pierwsza nie zrobiła żadnego wrażenia; druga stała się fundamentem niezmiernej wziętości i popularności pisarza. Cóż było przyczyną tak wielkiej różnicy w powodzeniu dwu utworów jednego autora?

W „Katonie“ wyprowadza autor na scenę siebie samego i swojego znajomego, do którego czuł szczególną sympatyę czy pociąg, będący magnetycznym objawem, z wielkiego przeciwieństwa usposobień wynikłym. Ten znajomy, imieniem Adam, był to człowieck nadzwyczaj zimny: oko jego nie znało łzy, pierś nie wydawała ani jednego westchnienia, a serce „było

kawałkiem głazu, potrzebnym do obiegu krwi w jego ciele"; odznaczał się natomiast wielkim rozumem, charakterem niewzruszonym, posiadał wiele wiadomości, lecz lubił sofizmata; cnoty przestrzegał ściśle, ale nikomu nie dał wglądać w swoje uczynki; jego słowo a czyn to było prawie wszystko jedno; gdy co raz powiedział, z pewnością dotrzymał. W młodości już lubował się w groźnych zjawiskach przyrody, w tragicznych ustępach dziejów, w utworach przedstawiających ludzi dzielnych zarówno w cnocie jak i występku. Miał on brata, miękkiego i mazgajowatego, którego chciał wszelkimi sposobami zahartować: raz zamknął go w trupiarni, co sprowadziło nań długą chorobę; drugi raz rozłączył go z kochanką, co go unieszczęśliwiło na całe życie. Kochankę tę zdołał zjednać dla siebie — i to było może jedyne uczucie, jakiego zaznał w swem życiu; lecz gdy jego miejsce w sercu płochej, a raczej zepsutej panny zajął oficer od dragonów, stłumił w sobie miłość, oficera w pojedynku ranił i poszedł na wojnę. Kochanka obu braci wyszła za oficera od dragonów, lecz wkrótce z nim się rozstała i prowadziła życie swobodne, wyłudzając pieniądze nawet od pierwszego swego amanta, mazgajowatego Adasia, aż wreszcie zestarzawszy się i zbrzydłszy, w nędzy umarła. Pan Adam, Katonem dla surowości swojej przezwany, odbywszy nieszczęśliwie zakończoną kampanię, prowadził życie wędrowca, włócząc się po obcych krajach, starając się zabić wspomnienie nawet miłości i wożąc ze sobą wszędzie nieodstępną nudę. W roku 1846, będąc przytomnym konaniu dawnej swej ulubionej, rzucił na pogrzeb paczkę banknotów i wybrał się natychmiast przez Francyę do Stanów Zjednoczonych.

Pomysł nie był zły. Przeciwstawienie dwu charakterów: energicznego i miękkiego, rozsądkowego i uczuciowego, czynnego i marzycielskiego, było przedsięwzięciem godnem sił artysty, było zadaniem wielkiej wagi psychologicznej i społecznej. To jedno; a powtóre odmalowanie kobiety, która skutkiem swego temperamentu i skrzywienia czy złamania pierwszego silniej rozbudzonego uczucia nie umie okiełznać ani fantazyi, ani zmysłów i przekracza granice uczciwości, dawało tyle materyału do sytuacyj zajmujących i ciekawych, do kolizyj w wysokim stopniu dramatycznych, że powieściopisarz obdarzony talentem mógłby stworzyć z Kamilli obraz pierw-

szorzędnej wartości artystycznej. A jakie wyborne tło dla tych trzech głównych postaci! Jakże szeroki widnokrąg roztacza się przed artystą i przed czytelnikami! Ileż wspomnień, ileż myśli wywołuje ten szesnastoletni przeciąg czasu!

A więc i pod względem psychologicznym i pod względem artystycznym i pod względem społecznym pomysł był doskonały. Ale zepsuło go wykonanie. Kaczkowski ujął swój utwór w formę opowiadania, w formę świeckiej spowiedzi naczelnego bohatera. Stąd poszło, że tylko jednego Katona widzimy w całej pełni; gdy tymczasem inne osoby, a przedewszystkiem brat Adaś i Kamilla są zaledwie cieniami. O całym przebiegu wypadków dowiadujemy się ogółowo tylko i to jednostronnie, bo z ust interesowanego, patrzącego przez pewien pryzmat, który nie służy do patrzenia wszystkim. A przytem tło czasu narysowane blado, a raczej zaznaczone jedynie; rok 1846 występuje wprawdzie wyraźniej, lecz służy wyłącznie do wypowiedzenia kilkunastu sarkazmów przez Katona. W tych sarkazmach jest bezwątpienia wiele pokarmu dla myśli, ale bardzo mało dla fantazyi, która potrzebuje malowideł barwnych i żywych, nie zaś dyskusyj abstrakcyjnych.

Słowem „Kato“ był suchem opowiadaniem, ale nie obrazem, a nawet nie obrazkiem.

Inaczej w drugiej powiastce. „Bitwa o chorążankę“ była obrazkiem barwnym, żywym a tak plastycznym, jak gdyby się na osoby tu przedstawione patrzyło własnemi oczyma. Za motyw do niego obrał sobie Kaczkowski pewien rodzaj antagonizmu i nieprzyjaźni, jaka oddawna istniała między Sanoczanami i Przemyślakami — rzecz w gruncie błahą, ale bardzo charakterystyczną. Przemyślanin pewien (Niezabitowski) wybrał się w konkury do panny chorążanki, o którą się starał Sanoczanin Żurowski. Wlazłszy między szlachtę sanocką, która się tęgo biła i tęgo piła, wystawił się na mnóstwo przekąsów, lecz umiał je zręcznie odpierać. Gdy go więc zbić z pantałyku nie było można, a pannie wpadł w oko, postanowiono za zgodą gospodarza *spoić* go i tem skompromitować wobec panny. Nastąpiła pijatyka; Niezabitowski dotrzymywał placu bardzo długo tak, że musiano użyć podstępu, ażeby go winem oszołomić i z nóg zwalić! Gdy się to stało, zaniesiono go rozebranego do pokojów niewieścich, przyczem jeden odpalony konkurent włożył swojej niegdyś bohdance żabę pod

kołdrę. Nastał huczek wśród narodu niewieściego; Niezabitowski z Zurowskim poszli na szable i Przemyślanin szpetnie został porąbany. Lizał się parę tygodni, wreszcie zatęsknił do domu i w towarzystwie Imci pana Nieczui pojechał do Przemyśla. W drodze napadli na konwujującego obdarci Przemyślanie i gonili go aż do miasta, tak że ten musiał się skryć w klasztorze OO. Reformatów. Nastąpiło wyjaśnienie i zobopólna zgoda: „Pijatyka i gawędka trwała aż do świtania — mówi opowiadający — śród której ku zadziwieniu memu przekonałem się, że w Przemyskiem tak samo piją jak u nas“. Było tego kilka tygodni.

W tej powiastce Kaczkowski wystąpił nie jako myśliciel, lecz jako malarz; nie dbał o myśl — a jeżeli dbał, to ją starannie ukrył — lecz o przedstawienie barwnego obrazka z przeszłości. Zamaskował się więc pod postacią opowiadającego, który był spółczesny wypadkom i ze spokojnem sumieniem, z duszą dziwnie pogodną, z pobłażliwością braterską opowiadał o zabawnej awanturze. A przytem odrysował kilka postaci tak charakterystycznych, tak prawdziwych, tak zajmujących *zewnętrznością* swoją, że się czyta powiastkę z zajęciem niekłamanem. Wszystka ta szlachta, jednej chwili gotowa się bić i całować, pijąca na zabój i nie myśląca o reszcie, spokojna i krotochwilna, jakby za najlepszych czasów, nie przedstawia żadnego rozdźwięku, żadnej dysharmonii i zachwyca pełnią swojego życia. I szczegółowo: ten Niezabitowski, układny konkurent, tęgi pijus, wyborny rębacz, honorowy kawaler, i ten Deręgowski, który tak był wysoki, że kiedy z równym sobie wzrostem panem Edmundem Chojnackim wzięli się za ręce, to pomiędzy nimi fura siana przejechać mogła, i ten Żurowski, któremu srodze żal było Niezabitowskiego, chociaż się cieszył, że go porąbał, i Błoński i Nieczuja i starszy klasztoru; toć to tak żywo, tak artystycznie oddane postaci, że zdają się mówić, pić i chodzić przed nami. A też szaraki, co w Niżankowcach napadły na Nieczuję, toż to chór tak doskonały, że ledwie kilka podobnych można w naszych powieściach naliczyć.

Że pod tą powierzchownością zdrową, wesołą, zadowoloną świeciło się próchno moralne, o tem wówczas, gdy „Bitwa o chorążankę“ wyszła, może nikt nie pomyślał. Że pijacy i rębacze, chociaż w gruncie ludzie poczciwi, byli bardzo

złymi obywatelami, jeżeli po roku 1772 lepszego zajęcia nad pijatyki i burdy wymyśleć nie mogli, to nie wchodziło w rachubę. Że inteligencya tych ludzi równała się zeru. a może i ilości ujemnej, że serce ich obejmowało bardzo mało przedmiotów godnych kochania a wola była w uśpieniu, o tem późniejsi dopiero zaczęli przebąkiwać!

Kaczkowski nie wglądał w głąb' tych ludzi, których malował, nie robił żadnych refleksyj. nie wdawał się w żadne rozumowania; chwytał tylko rysy powierzchowne, zewnętrzne, łatwo wpadające w oczy i łatwo zrozumiałe. Tego właśnie pragnęła publiczność, której nie zastanawiać się, lecz bawić się chciało. Autor trafił w jej gust, zyskał popularność, a zachęcony powodzeniem, porzucił na czas jakiś myśl pisania powieści współczesnych i oddał się z całym zapałem przedstawianiu obrazków przeszłości.

Obok szlachty wesołej i zadowolonej. tęgiej do kielicha i korda, której pełno w jego powieściach, zaczął, zawsze pod maską Nieczujowską, opowiadać o innych ludziach i o innych kierunkach. Zaraz w „Kasztelanicach Lubaczewskich“ oprócz pijatyk i bijatyk, oprócz serc skłonnych do gniewu i miłości, oprócz łbów podgolonych, a niezasobnych w inteligencyę, przedstawił stosunek magnata do szlachty i napływ wyobrażeń zagranicznych do mózgów szlacheckich, dwa przedmioty, do których nieraz Kaczkowski powracał, uwydatniając je w scenach lub charakterach.

Wiadomo, że stosunek magnatów do szlachty przedstawiano u nas jako pełen uroku, piękna i cnoty zabytek patryarchalny. Magnat miał być ojcem, starszym bratem czy głową rodziny, a szlachta rodzeństwem, związanem węzłami miłości braterskiej i uszanowania dla starszych. Wielbiciele tej społecznej budowy, zaślepieni niektóremi jej bardzo niewielkiej dobroci stronami, uważali za zbyteczne zastanowić się, że ona mogła mieć ważne znaczenie w czasach pierwotnych, w czasach nierozwiniętej kultury i nierozgałęzionych stosunków; lecz w w. XVIII. była już ruderą, której fundamenta spróchniały a ściany popękały. Innemi słowy, magnat w XVIII. w. stał się oligarchą używającym szlachcica za narzędzie do przeprowadzenia swoich planów; szlachcic zaś za łyżkę barszczu, „ukłon bałamutny“ robił, co mu kazano. Demoralizacya, upadek istotny, nie na frazesach zasadzającej się

miłości kraju, brak słusznego wymiaru sprawiedliwości, poniżenie godności obywatelstwa, przekupstwo — oto niektóre objawy owego osławionego stosunku z czasów patryarchalnych. Buta szlachecka objawiała się tylko tam, gdzie nie było uszu magnackich; a gdy się te pojawiły, „uniżony sługa“ ze skóry „równego wojewodzie“ wyłaził i utożsamiał sprawę jakiegoś magnata z losami Rzeczypospolitej.

Kaczkowski nie należał bezwątpienia do grona wielbicieli tego nieszczęśliwego stosunku; przemawiając atoli przez usta wychowańca wieku XVIII., nie mógł się wyrazić o nim dosyć stanowczo. W zdaniach Imci Pana Marcina Nieczui o Józefie Ossolińskim, który w ziemi sanockiej chciał rej wodzić, widać niejednostajność, że nie powiem sprzeczność.

W „Kasztelanicach Lubaczewskich“, opowiadając o tem, jak JW. Józef Ossoliński zapraszał okoliczną szlachtę co niedziela „na gorzałkę i śliwki suszone“, nie pozbywa się lekkiej ironii, kiedy wspomina o szlachcie. „Nie jeden z tych — powiada — którzy już w godzinę potem u żyda za stołem *psy wieszali* na wszystkich wojewodów na świecie, nizko mu się kłaniał do kolan i takie wyrazy kładł na swe usta, *których wcale nie miał w swem sercu*“. Wojewoda bowiem miał na butę szlachecką niejedno lekarstwo: posiadając dzierżawy do rozdania, których nie żałował uboższym, i gotowe grosiwo w skarbcu, które łatwo przechodziło do rąk szlachty na wieczne nieoddanie, i stadko bydła i koni rozlicznych, bogactw niemało, z których okruchy mogły stanowić fortunę dla szlachcica siejącego lichą owsinę. Natychmiast jednak, wykazawszy w ten sposób zupełną zależność szlachty od wojewody, Imć pan Nieczuja żałuje ironii i rzecz całą zbywa ogólnikiem, że po wszystkie czasy w Rzeczypospolitej przy zamożnych żywiła się chudzina, i że korzyści materyalne wielki wpływ mają na najbujniejsze nawet umysły.

W „Mężu szalonym“ już dowiadujemy się, że taż szlachta sanocka, mając *pewien respekt* dla wojewody, za nic sobie ważyła jego senatorską purpurę i nawet przy zdarzonej okoliczności dała mu dotkliwie to lekceważenie poczuć, kiedy na zamek jego napadła i zburzyć chciała, z powodu niedorzecznej burdy przy kościele o pierwszeństwo dla powozu. Nie przeszkodziło to atoli wcale, ażeby taż szlachta, bijąca się za honor ziemi sanockiej, nie opuściła uszu na głos księdza Ka-

lasantego, który ją nazwał tłumem podłym i plugawym, pijanicą obrzydłym i kosterą przeklętym, buntującym się przeciw bogatszemu bratu, rzucającym się „świętokradzką ręką“ na zamek wspaniały wojewody. Gorzkie, chociaż karczemne słowa ks. Kalasantego, są prawdziwą chłostą dla tej szlachty, pozbawionej i własnej godności i własnego zdania; ale włożone w usta kaznodziei, karcącego błędy ludzkie z urzędu i przesadzającego z urzędu, nie wpływają oczywiście na istotę sądu Nieczui o swojej braci.

W „Gnieździe Nieczujów“ znowu znajdujemy „głębokie przekonanie“ o „poczciwości wojewody“ u wszystkiej szlachty. Tu Imć pan Nieczuja nie żałuje barw jasnych do odmalowania sceny patryarchalnej, w której sędziwy ojciec jego uważa sobie za wielki honor pokłonić się głęboko wojewodzie, upaść do nóg wojewodzinie i prosić o błogosławieństwo dla swej córki idącej za mąż. Tu również opisuje Imć pan Marcin w mowie wojewody i ojca swego stosunek magnatów do szlachty w jak najsympatyczniejszych wyrazach. „Od niepamiętnych czasów — mówi Ossoliński do Ślaskiego — twoja rodzina, trzymając się z moim domem za ręce, płynie przez fale tego wspaniałego strumienia, który nazywamy historyą. Moi przodkowie, wyniesieni szczęściem i pracą, stanęli wyżej od twoich, ale pomimo to Nieczujowie nie pozazdrościli im nigdy fortuny ni sławy, bo mając tego i owego po kęsie, wiedzieli, że *medium tenuere beati.* I płynęli tak razem, w niefortunnych razach ratując się wzajem, tamci tych *groszem i ziemią,* ci zaś tamtych *przyjaźnią, poświęceniem i męstwem.* Co im Pan Bóg przeznaczył w przyszłości, jest zakrytem przed ludzkiemi oczyma, a czas dzisiejszy, w którym losy ludzkie dziwnemi zaczynają chodzić drogami, i w takiej Rzeczypospolitej, w której każdemu szlachcicowi otwarta stoi droga do najwyższych państwa zaszczytów, a nakoniec w czasie, w którym mokotowskich podstarościch wnukowie (tj. Stanisław August) osiadają na tego starożytnego narodu tronie, nikt nie może zaręczyć za to, azali wnuk wojewody wołyńskiego nie zasiądzie kiedyś u twojego wnuka senatora na łaskawym chlebie...“ Opowiadający czuł pewną przesadę w powyższej oracyi i zauważył, że nie była mówioną z wiarą w to, co wygłaszała; ale nie chciał bynajmniej wystawiać Ossolińskiego jako politycznego komedyanta, któremu z roli wypadało odzywać się właśnie

tak a nie inaczej. Owszem, odmalował nam w dalszym ciągu wojewodę wołyńskiego, jako pełnego czułości ojca, nie zapominającego wprawdzie o swojej powadze, lecz szczerze do swojej rodziny, tj. szlachty od siebie zależnej przywiązanego. To też w odpowiedzi Imci pana Nieczui Ślaskiego widać całą uniżoność, połączoną z czcią dla senatora Rzeczypospolitej. Nie pragnie on, aby jego potomstwo dorobiło się nagle jakiejś znakomitej fortuny, gdyż Rzeczpospolita *nie miała* nigdy wielkiego *z dorobkiewiczów pożytku;* chociaż nie zrzeka się wyższych miejsc w państwie, kładąc jedynie za warunek, żeby się ich dosłużyli synowie z orężem w ręku. Następnie bardzo przykro mu się robi, że oddaje córkę nie za „wiernego sługę“ Ossolińskich. A jednakże ten pan skarbnik był jeszcze stosunkowo dosyć niepodległym, łask bowiem nie potrzebował; cóż dopiero dziać się musiało z innymi, którzy czy z biedy, czy z interesu u pańskiej klamki wisieli... Takiej szlachty nie przedstawia nam Imć pan skarbnikowicz, a mówiąc raz epizodycznie w „Swatach na Rusi“ o tałałajstwie składającem towarzystwo starosty bachtyńskiego, u którego szaraki jadły i piły wraz z żonami i córkami na rzecz prowizyi kapitałów u niego ulokowanych, podejrzywa ich szlachectwo, a głównego ich przedstawiciela Ostrowskiego wyraźnie już o pochodzenie *mieszczańskie* obwinia, przytaczając nawet rodowód. Inną znów razą stronników tylko tak zwanej „familii“ (Czartoryskich) czarno przedstawia; czyni to jednakże zawsze bardzo oględnie i w bardzo krótkich rysach, jakby się lękał przedstawić stosunki owe w całej ich naturalnej szkaradzie, którejby cień i na niego, jako na szlachcica, spadał po części. Ulegał on pod tym względem, jak pod wielu innymi, staremu przesądowi, wedle którego odkrywanie ran społecznych dla nabrania rzetelnej wiadomości o stanie narodu, a więc o jego zdrowiu i słabościach, nazywało się „kalaniem własnego gniazda“, przesądu, dla którego złudzenie, chociaż do zguby wiodące, milszem było od prawdy gorzkiej wprawdzie i smutnej, ale zawsze prawdy, mogącej dopomódz do wybrnięcia z nieszczęśliwego położenia.

Wpływ cywilizacyi francuskiej na polską w XVIII. w. rozmaicie u nas był oceniany. Jedni widzieli w nim same pierwiastki szkodliwe, dążące do wynarodowienia kraju i zaszczepienia w nim bezbożności; drudzy wskazywali z uwiel-

bieniem ogólne podniesienie poziomu oświaty, wytępienie zabobonów, przygłuszenie fanatyzmu, jako jego skutki; inni jeszcze uznając go za rzecz pożądaną w zakresie nauki i przemysłu, nie mogli darować zaprowadzenia konwencyonalnych i ciasnych formułek i pojęć do literatury. W miarę jakeśmy się oddalali od zeszłego stulecia, liczba jego wielbicieli zmniejszała się, a liczba przyganiaczy i potępicieli rosła. Kiedy Kaczkowski zaczął pisać swoje powieści, ogół inteligencyi jak najsrożej się przeciw zepsuciu, bezbożności, płytkości XVIII. wieku uzbroił, i rzadko kto śmiał wspomnieć nie już wielkie jego zasługi, ale nawet przymioty prywatne, że tak powiem, cechujące ludzi w duchu jego wychowanym, a więc waleczność, honorowość, oczytanie, zdrowy sąd o rzeczach. Wówczas unoszono się nad „Wąsami i peruką“ Korzeniowskiego, utworem koniec końców słabym, pomimo niektóre piękne ustępy, napchanym komunałami, pozbawionym głębszej myśli; a unoszono się dlatego, że przeciwstawił strój narodowy — francuskiemu. Powierzchowność znaczyła wówczas więcej niż rozwój ducha. Jakkolwiek bowiem nie da się zaprzeczyć, że zewnętrzne oznaki (np. strój) przyczyniają się do zaakcentowania odrębności narodowej, nikt przecież nie będzie chciał utrzymywać, że Polak bez wąsów nie może być dobrym Polakiem; do czego właśnie zdawał się pić Korzeniowski.

Kaczkowski kilkakrotnie przedmiot ten podejmował a zawsze w sposób potępiający wpływ francuski, nie dla czego innego zapewne, tylko dla tego, że przemawia w duchu Polonusa, który jakkolwiek umiał mówić *po francusku*, nigdy chyba nie zajrzał do dzieł filozofów, polityków i ekonomistów XVIII. wieku; a o całym ruchu cywilizacyjnym wiedział tylko z posłuchu, jak ten szlachcic Rzewuskiego, który krytykował Woltera, nie czytając go, lecz z opowiadania cudzego dowiedziawszy się o kilku szczegółach z dzieł jego.

Najpierwszą figurą sfrancuziałą wyprowadzoną na scenę przez Kaczkowskiego był jeden z kasztelaniców lubaczewskich, Kacper. Mieszanina to rozmaitych uczuć i pojęć, która nawet przy wybuchu nie sprawia wielkiego hałasu. Sentymentalny jak średniowieczny trubadur, wykształcony na rozmaitych zagranicznych filozofach, lubił muzykę, sprowadzał do swego dworu Czechów i Cyganów, ucząc ich grać, wyprawiał serenady pięknościom magnackim, przyczem raz skonfundowano

go z kretesem, podstawiwszy pannę służącą zamiast panny wojewodzianki. Piorunował czasami przeciw przywilejom szlacheckim, mówiąc o prawach mieszczan i włościan, co spowodowało, że szlachta, nietylko oburzała się na niego, ale nawet pieniła się ze złości; wytykał błędy konfederacyi. Przytem bezbożnikiem nie był; bić się w pojedynku nie wzdragał, w walce o niepodległość Stanów Amerykańskich brał udział. Następnie był z Robespierrem w przyjaźni i stał się jakobinem; ale jedyny czyn jego opowiedziany szczegółowo przez mć Pana Nieczuję, było rzezanie kozikiem po szyi Niemca, którego *ktoś inny* na ziemię powalił.

Drugą figurą jest Bartek w „Braciach ślubnych". Powieść ta nie należy wprawdzie do cyklu opowiadań Nieczui; pomimo to jednak nie ma w niej żadnego rysu, któryby wskazywał nowe drogi w artyzmie Kaczkowskiego; możemy ją więc traktować na równi z owym cyklem. Bartek tedy — to przedewszystkiem powierzchowność różniąca się od podgolonych Polonusów, to strój francuski ze wszystkimi jego szczegółami, to, słowem, małpiątko naśladujące wszystkie miny i ruchy ucywilizowanego świata w peruce. A potem jest to typ równoznaczny z honorem, z odwagą w pojedynku, z lekkomyślnością w obyczajach, a mianowicie w stosunku z płcią piękną. Występuje on jako człowiek prywatny lubiący się bawić, bałamucący cudze żony, dbały o swój strój, ale przy tem wszystkiem zręczny, honorowy i o tyle o ile uczciwy. Taka postać ani grzeje, ani ziębi, a śmiech, który wzbudza wśród szlachty, jako odnoszący się jedynie do zewnętrzności, jest tylko krotochwilą ludzi poczciwej, ale słabej głowy. Nieposzanowanie VI. przykazania piętnuje go wprawdzie dosyć silnie; ponieważ jednak zdarzało się ono i wśród tych, którzy peruki nie nosili (przykładem Michał Strzelecki „w Mężu szalonym"); ponieważ nadto schwytany na gorącym uczynku Bartek zginął w pojedynku: niepodobna tego „nieposzanowania" uważać za cechę Kaimową, któraby z zepsutego jegomości robiła np. interesującego zbrodniarza, albo reprezentanta zgubnego wpływu cywilizacyi francuskiej. Rozważany jako osobistość niepretensyonalna, pospolita nawet, przedstawia się Bartek bardzo dobrze; jest naturalny i konsekwentny zarówno w słowach jak i w postępowaniu, o ile na to pozwalały dość ciasne granice jego powieściowej roli.

Ze wszystkich wymienionych dotąd kategoryj postaci zasługuje na szczególną uwagę przedstawiciel osób wiekowych, Wit w „Murdelionie“. Kilkodziesięcioletni ten starzec, znękany nieszczęściami, z osłabionymi zmysłami, z przytępioną bystrością umysłu, ożywia się pod wpływem starego węgrzyna i umie świetnie opowiadać o swoich latach dziecinnych, o swojej młodości i kłopotach późniejszych. Kiedy mu przyjdzie bronić honoru domu, wyrasta z niego bohater. Doświadczony w szkole życia, zna słabości ludzkie i umie z nich korzystać z łagodnym sceptycyzmem. Nie liczy wiele na krótkotrwałą życzliwość ludzi i zapał chwilowy; ale dla podbudzenia łechciwej próżności, potrafi podbijać, jak to mówią, bębenka i dostarczać napoju, któryby zapał mógł podtrzymać. Surowy i energiczny, przebiegły i zręczny, umie trafić do wszystkich umysłów panów braci i do swojego wózka ch zaprządz. Każdy, patrząc na niego, powie z pewnością: dzielny staruszek!

Świat kobiecy obraca się na szczupłem terytoryum w Nieczujowskich powieściach i małoznaczącą odgrywa na niem rolę. Nie będziemy się temu dziwili, jeżeli zważymy, że Imć pan Marcin Nieczuja uważał miłość przedślubną nie za objaw bożego natchnienia, lecz za produkt krwi ludzkiej, produkt nerwów albo rozpalonego mózgu, nazywał ją żądzą tylko, namiętnością albo marnem, upornem zachceniem. Zapatrywał się więc na miłość z punktu jedynie kaznodziejskiego a nie psychologicznego. Nie mógł się zatem lubować w szczegółowym opisie jej symptomatów, jej wielkości i małości, jej natchnień i kaprysów, słowem całej skali jej siły. Kobieta więc, będąc podług jego pojęcia takiem stworzeniem boskiem, które dopiero od czasu związania rąk stułą nabiera przymiotów oślicy Balaama, t. j. zaczyna przemawiać, nie mogła być przedmiotem jego szerokich opowiadań. Mógł wprawdzie mówić o niej jako o żonie i matce, ale jakoś mu to z toku rzeczy nie wypadało; a wspominając nawiasowo o paru matronach, wystawia je w postaci szkiców rysunkowych, w których główniejsze tylko kontury oznaczono. Młode dziewczęta tedy pozostają w cieniu. Powód „Bitwy o Chorążankę“ np. t. j. sama chorążanka nie została wcale opisaną i nie przemawia ani słowa. Teresa w „Kasztelanicach“, Anusia w „Swatach“, Jadwisia, siostra Nieczui są to sylwetki, którym dobrze przypatrzywszy

się, można rozróżnić rysy łagodne, postawę szlachetną, ruchy spokojne, pokrywające usposobienie bierne, serce tkliwe, cnotę rutyniczną, zwyczajową; ale nie są to wcale bohaterki ani pół-bohaterki.

Trochę dokładniej wycieniowane są: Zosia w „Murdelionie“, Julia i Barbarka w „Braciach ślubnych“; one też stanowią trzy odrębne typy kobiecości.

Zosia — to dziewczyna hoża i zdrowa, z pojęciami gospodarskiemi, sięgającemi tylko do granic dworu i plebanii z pewnym niejasnym odcieniem poetyczności w *sennych widzeniach*... Rozsądna, miła, wesoła, podobać się może każdemu, a Nieczui wpadła w oko na seryo i zburzyła dawniejszy spokój jego serca. Zosia zdobywa się nawet na krok dość śmiały w stosunkach domowych szlachty polskiej XVIII. wieku: pisze list do ukochanego Marcina i to... bez wiedzy matki. W liście niema wcale czułości, to prawda; ale już sama odwaga zrobienia „kroku nagannego“, jak list swój nazywa, dowodzi w niej jakiegoś pierwiastku inicyatywy, przynajmniej w sprawach serca. Ale na tym nagannym kroku działalność jej się kończy; odtąd powierza całą rzecz rozumowi i odwadze Marcina, jak niemniej Bogu lub losowi, gdyż pod tym względem pojęcia jej, jak zresztą całego otoczenia, w którem żyje, nie były zbyt jasne. Historya jej niedługa. Wyszedłszy po wielu zwalczonych trudnościach, w przełamaniu których nie próbowała nawet sił swoich, za Imci Pana Nieczuję, żyła przez rok, jak każda młoda gosposia: odwiedzała z mężem sąsiadów, trudniła się gospodarstwem, miała szczególne staranie o ogródku — i była szczęśliwa. Po roku, dawszy życie dwojgu istot, zmarła.

Julia odznacza się również biernością, ale ma odcień odróżniający ją stanowczo od Zosi. Julia jest melancholijną marzycielką. Zawiedziona w miłości (kochanek o niej zapomniał), cierpiała wiele, łudziła się długo, tak, że mogła być obawa o jej zdrowie i rozum. Naczytawszy się romansów, które podsycały jej już i tak bujną fantazyę, daleka była od rozumienia świata rzeczywistego i jego stosunków i żyła życiem mary w ciało przyodzianej. To też nie sprzeciwiała się silnie, kiedy jej rodzice kazali wyjść za niekochanego i niekochającego, który z przesadnie zrozumianego tylko obowiązku przyjaźni poślubić ją zapragnął. Była dla niego cichą i potulną

żoną, ale marzyła ciągle i gotową była uciec się do czarów, byle odzyskać dawną utraconą miłość. Ciało nie mogło wytrzymać udręczeń moralnych i uwolniło wprędce ze swoich więzów tę duszę cichą i pokorną.

Barbarka jest istotą zupełnie inną. Żywa, wesoła, kapryśna, samowolna, chce nad wszystkimi przewodzić i jedynie fantazyom własnym dogadzać. Lubi zajęcia męskie: jeździ konno, strzela zające, w słowie i ruchach niczem się nie krępuje, ani obecnością ojca, ani ludzi obcych. Poróżniwszy się o jakąś drobnostkę z kuzynem sfrancuziałym, jakby jemu na złość, wychodzi za mąż za człowieka łagodnego i spokojnego, ażeby go osiodłać. Osiodłała go też wybornie; rządzi nim i domem według swojej woli i przy sposobności romansuje z owym kuzynem. Trwało to czas jakiś, czas w powieści dosyć długi, póki mąż, podburzony przez przyjaciela, nie pokazał się mężczyzną i schwytawszy ją na schadzce z Bartkiem, nie wtrącił do domowego więzienia, w którem kilka tygodni tylko chorując, umarła.

Oto trzy wybitniejsze postaci młodych kobiet, wszystkie trzy w kwiecie wieku na śmierć przez autora skazane. Powieściowe ich życie niewiele mieści w sobie faktów, a obracając się wśród najpospolitszej pospolitości, do ważnych uwag nie przedstawia pola.

Z kobiet starszych trochę ujemnej natury wyborna jest pod względem charakterystyki artystycznej *ochmistrzyni* w „Murdelionie“, osoba gadatliwa, pozornie moralna, czuła na brzęk monety i dla niej poświęcająca swój obowiązek czuwania nad młodą, powierzoną sobie osobą.

Takie są mniej więcej *normalne* osobistości, które upatrzył Kaczkowski w społeczeństwie polskiem XVIII. wieku i przedstawił w powieściach włożonych w usta Nieczui, tudzież w „Braciach ślubnych“, które się niewiele od nich różnią. Obok atoli tych postaci, występuja tu jeszcze mniej zwykłe, mniej pospolite, wyjątkowe. Do nich przedewszystkiem policzyć należy Starostę bachtyńskiego w „Swatach na Rusi“, pana z panów, dziwaka nad dziwakami, hulającego przez sześć dni w tygodniu a ostro pokutującego dzień jeden, trzymającego kapelę z Cyganów, których nie odziewa dlatego, ażeby się nie porozbiegali, podejmującego na swym dworze tłum szlachty z żonami i córkami, którzy w ten sposób odja-

dają i odpijają prowizyę od kapitałów, u starosty lokowanych. Starosta bachtyński śmiało stanąć może obok znanego w beletrystyce naszej Starosty kaniowskiego, z którym go łączą wszystkie rysy oryginalnego dziwactwa.

Drugą postacią oryginalną jest Murdelio. Charakter to gwałtowny, ambitny, umysł szeroki i świetny. Namiętności, podniecone wychowaniem źle pokierowanem przez francuskich metrów, wybujały w nim nad miarę, a nie trzymane w karbach, prowadziły nietylko do wybryków, nietylko do szaleństw, ale i do zbrodni. Sumienie, głuszone systematycznie, odzywało się w nim tylko chwilami, ale na postępowanie wcale nie wpływało. Posiadając zdolności, które go mogły zrobić wielkim, zużytkował je na czyny dosyć powszednie podówczas: na hulankę, rozpustę, pijatykę, na zrywanie sejmów, trzęsienie trybunałami; na zajazdy, porywanie niewiast; na wypędzanie i wieszanie dzierżawców, niechcących ustąpić z jego majątków, obdłużonych przez guwernerów. Pokochawszy pannę z dobrego szlacheckiego gniazda, przycichł na chwilę; ale gdy stary Wit na zbyt długie wystawiał go próby, zbardział nanowo, kochankę porwał i zawiózł na swój zamek. Gdy mu ją odebrano, ze złości i zmartwienia zachorował, a potem szalał jak dawniej. Panna wyszła za mąż, lecz wkrótce owdowiała; chciał ją poślubić, lecz ona, choć go kochała, jak się pokazuje później, zapamiętale, niewiadomo dlaczego (spokój bowiem dziadka Wita nie mógł być dla niej bardzo drogim), każe mu czekać lat dziesięć. Murdelio czeka... przywdziawszy habit franciszkana, pod którym wedle przysłowia, nie zawsze dusza mnicha siedzi. Murdelio hula i pije przy sposobności, jak smok bajeczny, a otoczony obłokiem tajemniczości, uważany przez niektórych za wcielonego djabła, płatając niespodziewane figle, miewa gwałtowne sceny ze swą dawną kochanką, którą wreszcie porywa; a oblężony w zamku, broni się zajadle. Nie mogąc podołać sile przemagającej, ucieka, a raczej znika tajemniczo, poczem znów mnichem zostaje i umiera. Że fantastyczna obsłonka, otaczająca Murdeliona, jest tylko formą, w której mógł go zrozumieć płytki Imć pan Nieczuja — to się samo przez się rozumie. Umysł jego zabobonny nie mógł przypuścić, żeby taki niezwykły charakter miał być przymiotem czysto ludzkim, bez przymieszki siły szatańskiej. Uderzony jego niecodziennym pokrojem, uwierzył gadaninie po-

spólstwa i takim Murdeliona przedstawił, jakim go pojął. A ponieważ postać ta zrobiła na nim wielkie wrażenie; ponieważ wplotła się w jego sercową historyą: opowiadał o niej z zamiłowaniem, z dokładnością i szczegółowością, z wyrazistością i plastycznością taką, że pomimo braki psychologiczne (dziesięcioletnie czekanie z racyi czterdziestoletnich oczu) Murdelio pozostanie kreacyą, najżywiej malującą się w naszej wyobraźni, najdłużej w niej goszczącą; a jakkolwiek niesympatyczną, nie pozbawioną przecież pewnego uroku, mianowicie pod względem artystycznym. „Murdelio“ bowiem jest to powieść, w której artyzm Kaczkowskiego wzniósł się najwyżej.

Trzecią osobistością zasługującą na wyróżnienie jest „Kitajgrodzki“ czyli „Mąż szalony“. Przedstawia się on jako człowiek nieszczęśliwy w miłości. Ubóstwiał swoją małżonkę, a gdy ta uciekła z jakimś niemieckim jenerałem, z rozpaczy został wojownikiem i pod imieniem „Rudego Sokoła“ był postrachem hajdamaków. Odznaczywszy się męstwem i rozumem, otrzymuje godność starosty samborskiego, żeni się po raz drugi, a miłość do żony objawia w niespokojnej, podejrzliwej zazdrości, która niewinną z początku istotę na myśl przeniewierzenia się naprowadza. Gdy się nieszczęście stało, Kitajgrodzki wpada w furyę, nie karze jednak winnych, lecz mści się na ich narzędziach, na pannie służebnej, wyświeconej z grodu, i na żydzie, spalonym na stosie. Kiedy żona osiadła w klasztorze, Kitajgrodzki wpada w lekkie obłąkanie, objawiające się w egzaltowanej pokucie religijnej i ciągłej myśli o zamordowanych ofiarach. I w obłąkaniu tem jednak staje się pożytecznym, uśmierza bowiem waśń dwu rodzin i do walki w sprawie ogólnej zagrzewa. W jednej z bitw umiera. Charakter ten, mający wiele stron artystycznych, nie został należycie wyzyskany przez Kaczkowskiego pod względem analizy psychologicznej i dlatego nas razi.

O dwóch kobietach, które się stały powodem wielu awantur i nieszczęść w życiu Murdeliona i Kitajgrodzkiego, nie można dużo powiedzieć. Stolnikowa Strzegocka, występująca z początku jako pełna taktu matrona, miłująca dziadka i prowadząca dom wzorowo, już w opowiadaniu Murdeliona przedstawia się jako kobieta lekkomyślna i płocha; potem, każąc dziesięć lat czekać kochankowi, daje dowód jakiegoś niezrozumiałego kaprysu; ostatecznie gdy ją z zamku Murde-

liona oswobodzono, gniewa się na swoich obrońców, że jej z ukochanym mieszkać nie pozwolili. Jest to szkatuła sprzeczności, kilku otworami opatrzona.

Anna jest taką drugą szkatułą. Ograniczona, uparta, a z gwałtownymi popędami, nie chciała pomimo próśb Strzeleckiego, błagać matki, żeby jej nie wydawano za Kitajgrodzkiego; a potem, choć zapewniała o swej uczciwości, choć cierpiała nad swoją słabością, nie mogła się jej oprzeć i przyjmowała u siebie potajemnie dawnego kochanka, narażając swe sługi na katusze. Oswobodzona przez śmierć męża, znowuż nie chce iść za Strzeleckiego i zostaje zakonnicą... Do takiej szkatuły trudno dobrać klucza... a zresztą niema podobno po co się fatygować.

Nie możnaby sobie wytłómaczyć całego zajęcia, jakie budziły powieści Nieczujowskie, gdybym nie wspomniał, że w wielu z nich nie charaktery główne, które były chybione, nie budowa całości, która była wielce luźna, ale figury podrzędne, wybornie narysowane i dobrze utrzymane, przywiązywały do siebie czytelnika. W „Braciach ślubnych“ takiemi figurami są: ksiądz-prorok, szachraj-kauzyperda Dzianott, przebiegły i zręczny totumfacki Grott. W „Mężu szalonym“, Handzia, Jarwan, Samojło więcej nas interesują, aniżeli sam Kitajgrodzki. W innych powieściach, w których charaktery naczelne istotnie odpowiednią odgrywają rolę, postaci drugorzędnego znaczenia swojem wykończeniem doskonale wypełniają całość, służą do skupienia efektów w głównem ognisku. Widzimy to mianowicie w Murdelionie, o którym Michał Grabowski powiedział, że „nietylko w powieściach polskich, ale w najlepszych zagranicznych, trudno o szykowniejszą budowę, o większą jedność, która bądźcobądź jest konieczną w organicznym utworze“ [1]). Zarówno pan Błoński, jak Lgocki, Zuzia, szlachta oszmiańska, Jur z Borowiczek, Gintowt, misyonarz, pan Fredro, jak inni, są tak żywi, tak naturalni, że się mimowoli przypomina „Odyseja“ albo „Pan Tadeusz“ — nie pod względem pomysłu wielkiego, ale pod względem plastycznego przedstawienia pojedyńczych postaci i połączenia ich w ru-

---

[1]) „Gazeta Codzienna“, 1854, N. 259. List V.

chome grupy. Dodajmy do tego wszystkiego sceny wszędzie ożywione, charakterystyczne opisy zaślubin, odpustów, narad, zabaw zapustnych, rozmów, burd; a z tych żywiołów, przy jakiej takiej fantazyi dopełniającej, potrafimy sobie uprzytomnić to ruchliwe, gwarne, ochocze chociaż nieraz pospolite i tępe umysłowo grono ludzi, których historyą Kaczkowski czarował współczesnych. Potrafimy również zrozumieć jednogłośne niemal uwielbienie krytyków, którzy zaczęli o wiele wyżej stawiać Kaczkowskiego od Rzewuskiego.

Z pomiędzy wielu sądów o Nieczujowskiej seryi opowiadań, podniosę dwa tylko, z których jeden wyszedł od człowieka, rządzącego się głównie uczuciem i fantazyą, a drugi od znawcy wytrawnego, kierującego się przeważnie rozumem.

Padalica Tadeusz (Zenon Fisz) tak pisał o Kaczkowskim w porównaniu z Rzewuskim *à propos* „Męża szalonego“: „Rzewuski dał nam wielkiej wartości typy polskie, odwzorował zdolnie kilka historycznych postaci; ale obrazy jego były jeszcze *za sztywne* i przy wypełnianiu ram powieściowych dorabiały się często *figurami podrzędnej wartości.* Rzewuski był przedewszystkiem malarzem *typów narodowych;* wydzielał je z epoki danej jak cegiełki z ogólnej społeczeńskiej budowy i zdawał się nie pojmować, że pod cechami charakterystycznemi ludu, czy plemienia, skrywały się jeszcze cechy człowieczej namiętności, uczuć i cały labirynt tajemnic duchowych, które wiek nasz dopiero studyować zaczął, skąd już tysiąc wziął obrazów i jak tajemnic oceanu zgłębić, ani wyczerpać nie zdołał. Pierwszy Kaczkowski przy malowaniu naszej przeszłości dopełnił w tym sposobie jej obrazy i w ramy obyczajowe potrafił ustawić człowieka, jakim musiał być wistocie człowiek. Co lekceważył Rzewuski i za podrzędne miał zadanie; to Kaczkowski zrobił pierwszym celem prac swoich, a form narodowych użył jak draperyj do wykończenia całości. Rzewuski w romansach swoich był *genialnym plastykiem,* nic nadto. Jego figury *mechanicznie* zdały się wypełniać swoje role; *oblicza* miały *piękne, ale bez wyrazu;* na nich powtórzyła się, że tak powiem, *idea piękności greckiej* (!). Kaczkowski nie gardząc najmniej metodą swojego poprzednika, potrafił nadto takie postacie natchnąć *moralnem życiem* (?); na miejsce typów *ogólnych* (?) porysował ludzi, wykończył ich oblicza, studyował

wyraz każdego; stąd obrazy jego zyskały na potędze moralnej i duch ludzki wyraził się w tem dziele“ [1]).

Następujący sąd Aleksandra Tyszyńskiego sprostuje w niektórych szczegółach zdanie Fisza, a w głównem orzeczeniu nawet mu zaprzeczy, zdaniem mojem bardzo słusznie; chociaż ton pochwalny i w nim przeważa: „Opowiadania Nieczui nie tem tylko się różnią od opowiadań Soplicy, iż bohaterką ich główną w miejsce litewskiej, jest szlachta sanocka, ale też tem, iż w miejsce określeń figur odosobnionych, dają obraz w *złączeniu ich;* iż są opisem nietyle tych figur, ile raczej *stosunków, zwyczajów, obyczajów,* słowem domowego towarzystwa ich wieku; iż za przedmiot opisów tych obierają nie jednostki w kraju głośniejsze, lub jakim szczególnym przymiotem odznaczone, lecz zwykłe; i że słowem dają nam w ten sposób obrazy powieściowe, *o stopień bliższe ogólnej domowej historyi danego kraju*, lub rzec można, *fragmenta historyi* o stopień do przedstawienia obrazów zwykłych krajowych posunięte. Kaczkowski nie dał nam jeszcze utworu tego rozmiaru i tej zasługi, jak jest *Listopad* [2]); lecz użyty i przestrzegany wiernie we wszystkich jego powieściach kształt autobiografii w samych opisach, uwagach, ustępach, monologu autora, znosi wszelką nitkę związku jego ze społecznością i obraz dany wyłączniej (niż nawet w owej ostatniej powieści) jako idący z wieku innego, nam przedstawia“ [3]).

Sądy te przytaczam dla charakterystyki czasu, ale rozbierać ich nie będę; czytelnicy z mojego przedstawienia pierwiastków składowych powieści Nieczujowskich sami mogą wywnioskować, o ile podzielam je lub odrzucam. Dodać więc tylko muszę, że wśród chóru uwielbień, odezwał się głośniej jeden tylko dysharmonijny akord z ust Lucyana Siemieńskiego, który zastrzegając ogólnikowo, że w utworach Kaczkowskiego jest więcej zalet niż wad, obszerny artykuł poświęcił na wy-

---

[1]) „Gazeta Warszawska“, 1855. Nr. 47.

[2]) Michał Grabowski przeciwnie uważa Murdeliona za utwór większej wartości, niż „Listopad“. Oto jego słowa: „Możemy powiedzieć, że do Murdelia nie mieliśmy *nigdy* powieści historycznej w całości dobrej. *Listopad, Zamek Krakowski* pomimo miejsc nieporównanych, mają drugie tak samo *niedostatecznego tchu poetyckiego*, jak i *Pamiętniki ks. Jordana*“. („Gazeta Codzienna“, 1854. List III, Nr. 132—137).

[3]) „Biblioteka Warszawska“, 1854, tom I. str. 381.

kazanie uchybień przeciw tradycyi i prawdzie historycznej, tudzież na ironiczne przedstawienie treści „Murdeliona“ i wyszykanowanie jego usterek psychologicznych. Występuje tu także przeciwko „kompromitującym eksklamacyom“ uwielbienia, które autora nie uczą, a nawet nie tłómaczą natury jego utworów. Najważniejszy zarzut, jaki robi Kaczkowskiemu, jest ten, że w jego powieściach prócz wzmianek o konfederacyi barskiej, wszystko obraca się w kole pospolitych pijatyk, burd jarmarcznych, zajazdów, procesów, konkurów, wykradzeń i t. p. Siemieński zwrócił jego uwagę na tę okoliczność, że jest jeszcze strona wyższej tradycyi, sięgającej w głębszą przeszłość, wyprowadzającej na widownię figury na pół historyczne, charaktery szlachetnie wzniosłe, umysły widzące szerzej i dalej, trzymające ster pojęć i ducha publicznego [1]). Zarzut ten niewłaściwie rozwinięty wskazaniem Senatorskiej zgody, Sejmiku w Sądowej Wiszni Pola, jako przykładów wyższej tradycyi, niewłaściwiej jeszcze zakończony optymistycznem zdaniem o społeczeństwie polskiem XVIII. wieku, dotykać mógł Kaczkowskiego w jednym tylko punkcie, t. j. w obraniu Nieczui, jako osoby, opowiadającej wypadki. Gdy się jednakże przyjmie Imci pana skarbnikowicza za narratora, niepodobna mu robić zarzutu, że opowiada o rzeczach małych, o zajazdach, pijatykach i wykradzeniach, gdyż jego umysł nie był zdolny wznieść się wyżej, a istotną artystyczną zasługą Kaczkowskiego jest właśnie to, że bardzo rzadko dał się porywać prądowi własnych myśli i przekraczał granice inteligencyi Nieczujowskiej. Gdyby Siemieński zastosował zarzut swój tylko do „Braci ślubnych“, w których sam autor uległ pod naciskiem długiego przyzwyczajenia i zasklepił się dobrowolnie w ślimaczej skorupie pojęć szlachcica XVIII. w., łatwiejby się nań można było zgodzić; gdyż jakkolwiek nie możemy rozkazać malarzowi szkoły niderlandzkiej, żeby malował sceny historyczne, wolno nam przecież wyrazić zdanie, że wolimy „kazanie Skargi“ od obrazka przedstawiającego „gęsi zarżnięte“.

Nie mając tedy pretensyi do autora „Ostatniego z Nieczujów“ — za to, że opowiadał nam o wypadkach małej wagi,

---

[1]) W „Czasie“, 1854; przedrukowano to w „Kilku rysach z lit. i społecz.“, 1859, t. I, str. 169—212.

że przedstawiał życie domowe zamiast publicznego; cenimy jego drobne obrazki, cenimy takie piękne malowidło jak „Murdelio“ i zaznaczamy ich wartość artystyczną. Zanotujemy tylko fakt, że Nieczuja nie mógł dać nam obrazu całego społecznego i politycznego życia narodu; że nie potrafił go ocenić, jak się należy, gdyż zbyt ściśle zrósł się ze swem otoczeniem, pełnem przesądów i ciasnych pojęć.

Kaczkowski uczuł to sam. Wróciwszy z podróży za granicę, odbytej w r. 1855 dla wypoczynku po natężonej pracy powieściopisarskiej, która fizycznie wielce go osłabiła, zaczął powoli Imć pana Nieczuję usuwać na bok, zostawiając tylko starą zasłużoną firmę; zaczął go edukować w szkole większych wypadków, a w końcu całkiem się z nim rozstał i na własną rękę zawód swój prowadził.

Obce uwagi, własne rozmyślanie, dokładniejsze a naoczne rozpatrzenie się w stosunkach zagranicznych, rozmowy ze znakomitościami polskiemi i francuskiemi w Paryżu, rozszerzyły widnokrąg poglądów Kaczkowskiego, naprowadziły go na myśl malowania wypadków ważniejszych niż dotąd; spowodowały pewną zmianę w artystycznem obrobieniu, chociaż nie zmieniły *radykalnie* jego oceny przeszłości.

Wprawdzie Imć Pan Nieczuja, który tak swobodnie i tak wesoło rozprawiał o hulankach i pijatykach szlachty sanockiej po roku 1772, już w „Hołobuckim Staroście“ gorzkiemi zalewa się łzami ze współczucia lub wstydu nad aktorami, którzy natenczas role odgrywali w ognisku kraju, w Warszawie; wprawdzie wyznaje tu z boleścią, że naród, który przez wiek cały zaniedbał się w naukach i wszelkiej nowszej oświacie, w pojęciach swoich i obyczajach *zakamieniał* i nietylko do przyjęcia, ale nawet do zrozumienia jakichkolwiek nowości nie był zgoła przygotowany; wprawdzie twierdzi, że czasy Stanisława Augusta przedstawiają obraz straszny i przerażający: — lecz przyczynę złego widzi jedynie i wyłącznie w „szale pijanym, w którym zdecydowano odrazu, że wszystko jest nicpotem i że potrzeba koniecznie nowości“. Francuszczyzna tedy, peruka i fraczek, były winne temu, że zwodzicielstwo obrzydłe nazwano galanteryą, przeniewierstwo żony — intrygą, utrzymywanie metresy — rozrywką; że libertyna i niedowiarka nazywano mocną głową lub filozofem; że te czasy, w których wszelka moralność podkopana została do gruntu, a najohy-

dniejsze zepsucie wszędzie bujało, mianowano epoką powszechnego progresu i przeobrażenia. Francuszczyzna też, fraczek i peruka były winne, że ładu w kraju nie było, że administracya dóbr koronnych zostawała na łasce bylejakich indywiduów, że straszliwa możność przekupywania dostojników Rzeczypospolitej stawała się rokrocznie jeszcze straszliwszą... Jedyny pierwiastek zdrowy miała stanowić szlachta, żyjąca po staroświecku, nie mieszająca się do spraw krajowych. Dziwno tylko, że ta poczciwa szlachta tak sprywatniała, tak się zadomowiła, że tylko lamentować umiała nad okropnością położenia... Takie jednostronne i płytkie przeciwstawienie dwu światów czytamy w „Staroście Hołobuckim". Obrazy zepsucia, lekkości obyczajów, przeniewierstwa, szachrajstwa w modnym i eleganckim świecie, i na dworze królewskim, przemagają oczywiście, lecz na czytelniku obznajmionym z dawniejszą i współczesną Kaczkowskiemu beletrystyką, nie robią żadnego prawie wrażenia, jako rzeczy znane. Ciche domowe życie ziemiańskie i historya zajazdu natomiast przez samego Kaczkowskiego były poprzednio daleko plastyczniej, daleko wyraziściej przedstawione, ażeby słabe odbicie ich w „Staroście" mogło się podobać. — Podniesienie tedy jednego ze szczegółów zarządu krajem — nadanie starostwa za zbiory biblioteczne i archeologiczne — starostwa, które potrzeba było siłą komu innemu odbierać; stanowcze wskazanie słabości władzy wykonawczej: oto jedyna zasługa tej powieści. Charaktery nie przynoszą żadnych cech nowych; są poprostu zwykłymi komunałami, w które beletrystyka nasza obfituje podostatkiem.

W „Grobie Nieczui" obrany został czas może najciekawszy pod względem społecznym i psychologicznym (1793 do 1797). Dawny porządek rzeczy łamał się a powstawał nowy już nietylko co do zewnętrznych życia warunków, lecz co do idei i całego niemal duchowego rozwoju. Wielkie wypadki na Zachodzie stają się tłem, na którem uwidoczniają się stosunki krajowe. Partye konserwatystów i postępowców wszelkich odcieni, a mianowicie radykalnych, silną ze sobą staczają walkę. Naród zaczyna poczuwać możność pochodu o własnych siłach; — lecz samolubne knowania lub apatya arystokracyi, nędzny stan ludności wiejskiej i t. p., stają na zawadzie. Parokrotne zrywanie się do walki, utworzenie legionów były dowodem gorączki umysłów nie liczących się z rzeczywisto-

ścią, ale były zarazem szkołą szerszych poglądów, wytworzonych przez rewolucyą francuską. Lepiej zapewne było pozostać w kraju i pracować na przyszłość; ale wybierając z dwojga złego, lepiej już hartować ciało i dosługiwać się sławy wojennej, niż próżnować, uwodzić wiejskie dziewczęta, szachrować końmi, upijać się, grać w karty — jak to było później.

Kaczkowski nie przedstawił nam ruchu postępowego w teoryi i praktyce krajowej. W „Grobie Nieczui“, Staszic np. ani razu nie wchodzi na scenę, Hugo Kołłątaj zaledwie wzmiankowany; inni sławni działacze z nazwisk tylko znani. Całe młodsze pokolenie uosobione wyłącznie w Rudnickim i Flawiuszu, dwu postaciach uczciwych, szlachetnych, ale zaplątanych w drobne życia prywatnego przygody, nie wypowiadających nawet swoich zdań o narodzie i państwie. Wojenka natomiast zagraniczna została z predylekcyą przedstawiona. W niej dwaj dawni przeciwnicy, Rudnicki i Flawiusz podają sobie ręce jak serdeczni przyjaciele. „Połączył ich — objaśnia autor — tylko trud krwawy, praca i poświęcenie się dla jednej wspólnej a *tak wzniosłej idei*, że wobec niej zniknęły i musiały zniknąć wszystkie te drobnostkowe różnice uczuć i myśli, które w nieszczęściu i w *bezczynności* urastają do rozmiarów przepaści; ale wspólnem natchnieniem nikną zupełnie, tak jak w wieku dojrzałym nikną dziecięce wspomnienia“. Dla owej wzniosłej idei każe Kaczkowski Imci Panu skarbnikowi podzielać choć w części, a nawet, mówiąc wogóle i nie zwracając uwagi na niektóre tylko *słowne* zastrzeżenia, — w zupełności nadzieje i dążenia młodej generacyi. Kontuszowego Polonusa pasuje Kaczkowski w końcu dzieła na prawdziwego bohatera, który odbył wszystkie kampanie od 1797 do 1813 roku i zrównał wszystkim wojennym znakomitościom owego czasu. Tak więc osoby występujące w „Grobie Nieczui“ podnoszą się lub rehabilitują tylko na wojnie. Jest to dla nich jedyna jeszcze forma, w której się mogą, a raczej umieją odznaczyć. Wewnętrzna praca organiczna, któraby za pośrednictwem uwłaszczenia włościan, wykształcenia mieszczaństwa, podniesienia wszystkich gałęzi produkcyi i przeróbek przemysłowych, rozszerzenia i spotęgowania wiedzy, dążyła ku lepszej przyszłości, jest rzeczą dla nich zupełnie nieznaną; w „Grobie Nieczui“ niema o tem ani słowa. Idea ta, płodniejsza podobno od chwalonej przez Kaczkowskiego, nie stała się jeszcze

wówczas popularną, to prawda; ale istniały już głosy, przemawiające za nią — choćby w książkach i postępowaniu Staszica, Czackiego i kilku innych.

Stosunek życia prywatnego do publicznego dobrze przedstawił Kaczkowski na początku powieści. Smutek a nawet rozpacz przygnębiła skarbnika po bolesnym końcu wypadków 1794 r. Odosobnił się od ludzi, nie chciał przyjmować nikogo popadł w czarne rozmyślania i krzepił się jedynie modlitwą i słowy pisma św. Cóż go pobudza do wejścia napowrót między ludzi? Stosunki życia codziennego — wydanie za mąż siostrzenicy. A potem? Potem już odzywa się w nim chęć do życia, do pracy; ale umysł, przywykły do zapasów wojennych, widzi tylko jeden jedyny środek zapełnienia próżni wewnętrznej — walkę na miecze. Podobny proces duchowy zachodzi w Rudnickim i Flawiuszu. Inne osoby, albo mają cechy dodatnie tylko w życiu prywatnem, albo też odznaczają się niezaradnością, plotkarstwem, kaprysami, żądzą hołdów i pochlebstw. Świat kobiecy zupełnie bierny. Z kilku młodych dziewic jedna Melania tylko zyskuje sympatyą czytelnika swoją szlachetnością, swoim heroizmem — choć tylko w zakresie życia prywatnego. Ze starszych niewiast zasługuje na uwagę kasztelanowa kamieńska, dawna polska matrona: rubaszna, poczciwa i szanowana. Dwie podkomorzyny, lwowska i sandomirska, z których pierwsza jest skąpa i plotkarka, a druga gadatliwa, kapryśna i niezdecydowana — są to figury podrzędne, wybornie traktowane, ożywiające jednostajność życia salonowego, z którem nas zapoznaje Kaczkowski.

Tak więc i w „Grobie Nieczui“ drobne sprawy codzienne stoją na pierwszym planie, a z wielkimi wypadkami dziejowymi mimochodem niejako dopiero przy końcu powieści się zapoznajemy. Obraz, choć namalowany z talentem, oczywiście traci na tem bardzo wiele, ponieważ zamiast być historycznym, staje się w znacznej części rodzajowym tylko, a to tem bardziej, iż stosunki, w nim przedstawione, mało co się różnią od stosunków dzisiejszych, albowiem Kaczkowski nie usiłował już tu uwydatnić kontrastu pomiędzy starym trybem życia a nowym, jak to było jeszcze w „Staroście Hołobuckim“, ani kontrastu pojęć przestarzałych szlacheckich z nowemi ideami; lecz powlókł wszystkie osoby wraz z ich poglądami szarym, jednostajnym pokostem salonowym, który jest charaktery-

styczną cechą ludzi, zakrywających starannie wszystkie ostre kanty swego umysłu, ażeby tylko żyć ze sobą w jakiej takiej, choćby pozornej zgodzie.

Dopiero w „Anuncyacie“ wszedł Kaczkowski na szerszą arenę dziejową. Konfederacya barska, której poprzednio podnosił pojedyńcze jeno momenta („Bitwa pod Widawą, pod Domaradzem“) wydobyła się teraz na plan pierwszy, chociaż nie w głównych przedstawicielach swoich, lecz tylko w jednym z podrzędniejszych działaczy. Jeneralność, zarząd występuje raz tylko na scenę widomie; później słyszymy tylko o niej jako o tajemniczej władzy, niepozbawionej wprawdzie pewnej siły, niezbyt jednakże energicznej. Józef Bierzyński człowiek zdolny, zręczny, mężny, ale przejęty widokami ambicyi osobistej, nie słucha rozkazów Jeneralności i na własną rękę wojnę prowadzi. Nie przebierając bardzo w środkach, staje się potężnym; gromadzi około siebie oddział ludzi bezwarunkowo sobie posłusznych; odnosi świetne zwycięstwa; wsławia się po całej Polsce. Naraz rozkłada się obozem blizko zamku kasztelana i długie trawi tu miesiące bezczynnie, zalecając się tylko córce pana zamku, Anuncyacie, z którą go dziecinna jeszcze łączyła znajomość. Sądził, że dość już odniósł zwycięstw, dość widomych śladów męstwa na swojej twarzy zapisał, by kasztelan zgodził się na oddanie mu córki za żonę. Kasztelan jednak dziwił się bezczynności Bierzyńskiego i oczekiwał od niego większych dowodów poświęcenia dla sprawy. Bierzyński tymczasem już wstąpił na pochyłość, po której mógł się stoczyć w przepaść: rozkazy Jeneralności lekceważył i prowadził układy z Wesslem w celu otrzymania od króla jakichś dóbr za odstąpienie sprawy konfederacyi. W tym czasie zaszła bitwa, która się fatalnie dla Bierzyńskiego skończyła; duma jego została zgruchotana, urok wojennej sławy prysł. A gdy wszyscy ludzie odbiegli od niego, gdy nie znalazł ani jednej duszy, któraby w „Złotym kluczu“ współczuciem dla niego biła; wtedy bohater nasz ukorzył się i chcąc zrehabilitować honor swego imienia, skażonego potępiającym wyrokiem Jeneralności, zaczął pracować po cichu pod zmienionem nazwiskiem dla dobra konfederacyi. Powstał jako rycerz nieznany z zakrytą przyłbicą i odznaczył się w wielu bitwach. W ostatniej gdy się miał rozstać z życiem, zapewnił się na wieczność całą o miłości Anuncyaty.

Taki bohater pozostawia nas obojętnymi i nie może się bynajmniej przyczynić do utrwalenia uroku, jakim dawniej konfederacyę barską otaczano; ale też autorowi wcale o to nie szło. Osądził on, że urok ten polega w części na złudzeniu, w części na projektach, które mieli przywódcy konfederacyi, w rzeczywistości atoli, w czynach widział jasno słabość, brak jedności, brak sił, brak istotnego na rozumnej ocenie okoliczności opartego zajęcia się sprawą ogólną. To więc, co mogło dodać uroku — Jeneralność — pozostawił w półświetle; a wszystkie promienie artystycznego słońca skupił na jednostce zdolnej wprawdzie, lecz nieumiejącej zużytkować zdolności swoich na rzecz podjętej sprawy: jednostki ambitnej, lecz bardzo mizerne ambitnemu usposobieniu stawiającej cele; jednostce mężnej osobiście, umiejącej dowodzić małym oddziałem, lecz dalekiej od powzięcia i przeprowadzenia wielkiego planu. Kaczkowski pisząc „Anuncyatę“, odrzucił już w znacznej części Nieczujowskie poglądy na konfederacyę i na szlachtę ówczesną. Postać też Bierzyńskiego wystawia jako jednookiego wśród ślepych. „Pomiędzy szlachtą ówczesną — powiada — umiejącą czyny spełniać, ale rzadko się *zastanawiać* nad nimi, umiejącą czuć głęboko i żywo stanowiące o sprawie publicznej zdarzenia, ale *nie znającą się* wcale na tem, co jest *polityczna rozwaga*, Bierzyński zajaśniał jak lampa oliwna“. Mówiąc o dworszczyznie, szeroko i długo opisuje jej butę, ambicyę niepohamowaną, połowiczność cnót i t. p.; zalety jej wzmiankuje króciutko, a w końcu powiada: „My sami nawet, mówiąc przez usta którego z tamtowiekowej szlachty, unosiliśmy się z miłością nad temi patryarchalnemi akademiami młodzieży (jaką znajdowała na dworach wielkich panów), wyliczając wszystkie niezliczone ich cnoty i ani myśląc o wadach. Była to jednak połowa prawdy, która mogła wystarczyć gdzieindziej, lecz nie wystarczy tam, gdzie koniecznie idzie *o całą*“. Oto jest słowo zagadki. Kaczkowski chciał w „Anuncyacie“ powiedzieć całą prawdę i dlatego wybrał na jednego z przedstawicieli konfederacyi — Bierzyńskiego...

Anuncyata sama jakkolwiek z powodu swej kobiecości nie mogła się tak uwydatnić jak Bierzyński, przewyższa go jednak pod względem moralnym. Jest to dziewica dzielna, jeden z najpiękniejszych charakterów nietylko w powieściach

Kaczkowskiego, lecz w całem naszem powieściopisarstwie. Ukształcona, zakreślająca okiem swego ducha szerokie koło wyobrażeń, bolejąca nad nierównością stanów, jest energiczną i śmiałą. Gdy Bierzyński, przeniewierzywszy się sprawie konfederacyi, osiadł na „Złotym kluczu“, nie chciała temu uwierzyć a uwierzywszy, miłość swoją stłumiła i wówczas dopiero pozwoliła uczuciu zapanować w swem sercu, gdy się przekonała, że jej ukochany na dobrą drogę powrócił. Nie była to marzycielka jak Julia np., ani *hic mulier* jak Barbara, ale był to anioł cierpliwości na ziemi, duch pokoju i zgody, kobieta z całym urokiem kobiecości, ale z umysłem jasnym i silnym, z charakterem hartownym. Jeden tylko rys rażący dopatrzyć w niej można: oto brak zdecydowania się w stanowczych chwilach, a mianowicie przewaga, którą na nią wywierały tak liche osobistości jak Gałecki lub ksieni i to w przedmiocie dla niej najważniejszym, bo względem Bierzyńskiego. Dopiero w scenie przedostatniej z ksienią, kiedy wysyła służącą Martę z pieniędzmi dla zrehabilitowanego Bierzyńskiego, pokazuje się dziewicą samodzielną, nie kokietującą z niebem, ale śmiało do życia się wydzierającą.

Około tych dwu głównych postaci, które nie skupiają w sobie akcyi, lecz na dwie połowy je rozdzielają, grupuje się kilka osób wybornie narysowanych. Stary kasztelan Mączyński, starosta Gałecki, stolnik Szadkowski, są to osobistości oryginalne, tchnące życiem, wysoce plastyczne. Szlachetny Lenartowicz należy już do mniej udatnych, gdyż przedstawiony zbyt blado, dopiero przy końcu mężem się okazuje. Pierwiastek grubo komiczny, uosobiony w kapitanie Wścieklicy i jego Jukundzie, rozśmiesza na chwilę, lecz w końcu niesmak po sobie zostawia. Żywioł ludowy z naciskiem wprowadzony dla wskazania dwu prądów przeciwnych: apatyi, patrzącej tylko własnych korzyści najbliższych, i szczerego zajęcia się sprawami kraju w oświeconym synu apatycznego ojca, nie wywiera wpływu na przebieg wypadków i mimo staranie autora nie zwraca na siebie uwagi.

Układ artystyczny bardzo wiele pozostawia do życzenia. Szkicowość, luźność a skutkiem nich brak jednego punktu, około którego skupiałyby się wszystkie sytuacye i wypadki, oto wada najgłówniejsza, będąca źródłem wielu innych. Sceny więc następują po sobie dowolnie, nie zaś z konieczności;

niema między niemi innego związku prócz spółczesności lub kolejności; jedna nawet (scena rozmowy króla z Wesslem) jest zupełnie zbyteczna; w innych słyszymy potrzykroć o tym samym wypadku. Chwila, w której Anuncyata dowiaduje się, że Bierzyński osiadł na Złotym kluczu wybornie naszkicowana, ale tylko naszkicowana; prawdziwy artysta wyzyskałby ją daleko silniej. Pomimo jednak te usterki więcej w „Anuncyacie“ życia, więcaj figur oryginalnych, aniżeli np. w „Grobie Nieczui“; natomiast o wiele mniej aniżeli np. w „Murdelionie“. Refleksye zajmują tu zbyt dużo miejsca i szkodzą a nie pomagają rozwojowi akcyi. Styl też nie ma tej barwności i oryginalności co w Nieczujowych opowieściach. W miarę rozszerzania się historycznych poglądów, w miarę przewagi wielkich idei dziejowych nad drobnostkami życia, artyzm Kaczkowskiego słabł i malał. Wprawdzie już dawniej, bo w „Mężu szalonym“ a szczególniej w nieskończenie nudnych „Braciach ślubnych“ dawały się czuć ważne braki w układzie i uszeregowaniu wypadków; ale w nich małoznaczność wypadków nie kazała umysłowi naszemu domagać się czegoś więcej nad galerye malowniczych obrazków. Gdy atoli treść powieści nabierała wagi, pragnęliśmy, ażeby słowo wyrównało czynom. Tymczasem stało się inaczej. Bezbarwność i pospolitość wyrażeń i uwag, luźność scen, brak skupienia efektów zwiększały się zarówno w „Staroście Hołobuckim“ jak w „Grobie Nieczui“ i „Anuncyacie“. Ta ostatnia powieść czyta się bezwątpienia daleko przyjemniej niż „Mąż szalony“ lub „Bracia ślubni“; lecz tę własność zawdzięcza bohaterce swojej i niektórym znamiennym postaciom, nie zaś artyzmowi scen i stylu. „Anuncyata“ z tego względu zajmie drugie miejsce zaraz po „Murdelionie“; ale pomimo większego swego znaczenia nie odbierze mu pierwszego.

Wreszcie doszedł Kaczkowski do zupełnego bankructwa pod względem artystycznym w powieści „Sodalis Marianus“, której bohater jest słabą kopią Józefa Bierzyńskiego, Wiszowaty — Męża szalonego a inne osobistości są takiemi lichotami, że o nich długo mówić nie warto. Toż samo powiedzieć można o układzie, zachowującym formę kroniki, i bezbarwnem scenowaniu.

V.

Ten sam objaw ujrzymy w powieściach spółczesnych Już w „Katonie“ zauważyliśmy przewagę refleksyi nad obrazowością, rozumowania — nad kreśleniem postaci pełnych, żywych, plastycznych. Powróciwszy po paru latach do odtwarzania współczesnych stosunków w powieści, Kaczkowski poszedł tą samą drogą, co i w „Katonie“. Umysł jego opanowały ważne kwestye: związek teraźniejszości z przeszłością, kierunek demokratyczny i arystokratyczny, znaczenie i wpływ poezyi zwątpienia na społeczeństwo, program pracy organicznej na dziś. Myśli te, nie opuszczając go ani na chwilę, sprawiły, że poczuł wstręt do przedstawiania drobnych wypadków życia codziennego, małych intryg i komeraży, lichych śmieszności i lichych cnót, zawodów miłosnych powszedniej duszy i dziecinnych boleści rozpieszczonego próżniaka; a przemyśliwał nad tem, jakby owe kwestye palące przed czytelnikami rozwinąć w sposób o tyle przynajmniej zajmujący, żeby się od nich nie odwrócili ze wstrętem. Powziął tedy zamiar odmalowania w powieści nie małostek indywidualnych, ale wielkich prądów społecznych, o ile się one oczywiście w pewnej grupie indywiduów uwydatnić dadzą. Kaczkowski już w roku 1854 zaczął drukować swą „Dziwożonę“, w której zamiar swój urzeczywistniać rozpoczął, drugi zaś wielki utwór „Wnuczęta“ wyszedł w Petersburgu w r. 1855; a napisany był także w roku poprzednim, jak o tem wiemy z ówczesnych doniesień dziennikarskich. Należy więc Kaczkowskiemu przyznać w zupełności samoistność wielkiego pomysłu, w którym chciał objąć i przedstawić najwydatniejsze grupy społeczne w czasach siebie najbliższych, chciał zrobić bilans stron dodatnich i ujemnych w gospodarstwie narodowem, ażeby ludzie przyjrzeli mu się dokładnie i przedsięwzięli jakieś usiłowania w celu zaradzenia złemu.

W „Dziwożonie“ starał się przedstawić dwa typy młodzieży przed r. 1846, „typy tych sławnych marzycieli społecznych, którzy za młodu obiecywali tak wiele, którzy tyle niezaprzeczonych posiadali zdolności; którzy wszyscy, jeżeli zawczasu z błędnego koła niewczesnych sporów o *czcze teorye* lub *martwe przesądy* nie wyleźli — i nic zgoła nie ziścili i sami

się zmordowali". Obrazy ich pochwycić i postawić na torach przyszłych pokoleń jako drogoskazy odwracające ich kroki od zdradliwych topielisk serca i rozumu — oto, wedle wyznania samego Kaczkowskiego, cel jego powieści. Usiłował być bezstronnym i zarówno demokratycznej jak arystokratycznej partyi jednakową sprawiedliwość wymierzyć. Usiłowania te jednak, widoczne w wyrażeniach pochodzących od autora, nie były dość silne, ażeby się odbić artystycznie w przedstawionych postaciach.

Kamil Łaski, reprezentant idei demokratycznej, jest to młodzieniec zapalony, wichrowaty, nierozważny, dla marnej demonstracyi narażający całą niemal przyszłość swoją, w wyrażeniach niewybredny, gryzący: — dotąd bardzo dobrze i na taką charakterystykę godzimy się chętnie. Ale Kamil uczucie „umieścił w mózgu", nie zdolen jest kochać prawdziwie, serdecznie, tylko fantazyować w miłości i w przyjaźni, patrzeć jedynie własnego zadowolenia... Przymioty te napotykały się bezwątpienia w niejednem indywiduum; ale indywiduum to mogło być zarówno demokratą jak arystokratą. Gdyby Kamil nie miał być „typem", nie potrzebowałbym i przeciwko temu protestować; atoli według zapewnienia Kaczkowskiego, to typ naprawdę, to przedstawiciel wielkiej masy młodzieży, więc protestować muszę, gdyż przypomniawszy sobie choćby tylko Konarskiego i Wiśniowskiego, widzę w charakterystyce nieprawdę. Nie dosyć na tem. Postępki Kamila są zawsze występkami; gdy tymczasem czyny Edmunda, przedstawiciela arystokracyi, rozważnego i salonowo ukształconego, czyny choćby najbrzydsze, są tylko zapomnieniem się. Gdy Kamil podejrzywa np., jest nikczemnikiem: gdy Edmund nazywa go *niczem, synem pogańskim, zdrajcą, łajdakiem,* postępuje słusznie i ma jeszcze do niego urazę. Kamil, który miał zawsze plany wielkie obejmujące całe społeczeństwo, jest w każdym kroku niepraktycznym, zraża się lada przeszkodą, rozczarowywa się natręctwem i oszukaństwem chłopów, nie może pracować w małym zakresie. Jest waryatem, który poznawszy całą nikczemność kobiety nie może się od niej oderwać; pomimo doświadczenia nabytego za granicą, pomimo wielkiego rozwinięcia umysłu daje się złapać jak wróbel na plewy i robi „dziwnie głupią minę", gdy mu dawna kochanka Adela pocałunku odmawia. Skończył na tem, że wziął ślub z 28-letnią piękno-

ścią, jak ona sama liczyła; i gdyby nie to, że najdziwniejszym w świecie wypadkiem „dziwożona“ Adela jadąc w tym samym powozie co Kamil nie podruzgotała sobie w jarze pogańskim kości, byłby został *szczęśliwym* jej małżonkiem. Kamil pomimo upadku był zupełnie zdrów i tegoż jeszcze wieczora pojechał na Zachód, a z Paryża napisał do opiekuna list, w którym go żegna na zawsze, a ojczyźnie swojej srogie posyła przekleństwo.

Autor tak dalece upośledził Kamila, że mu nawet odmówił zgrabnych ruchów i pewności siebie. Że Kamil w początku powieści jest nieśmiały i niezgrabny, pojmujemy to doskonale; nie żył on bowiem na wielkim świecie, a pogrążony w marzeniach życia wewnętrznego, nie miał sposobności ani czasu do nabierania gracyi. Ale od tego czasu upłynęło lat blisko 12; Kamil przeszedł wiele przygód, bywał w świecie, wykształcił się w Paryżu, miał stosunki z eleganckim stanem bogatego mieszczaństwa; a jednak wobec Edmunda i Adeli jest tak samo nieśmiałym i niezgrabnym jak przed laty 12...

Kamil tedy skończył na przekleństwie. A Edmund? Edmund zażywszy niezbyt edenowych rozkoszy z Adelą, która go oszukała dla jakiegoś huzara, zmarnowawszy majątek na podróże dla rozrywki lub zabicia nudów i na zbudowanie pysznego pałacu; słowem przepędziwszy młodość bez żadnej myśli o całości społeczeństwa, staje się ideałem, powraca na łono religii, żeni się z Hanią biedną (t. j. pozbywa się przesądów) i pracuje na roli jak najzacniejszy, najrozumniejszy obywatel. Idee więc arystokratyczne torują „ścieżki pańskie“, a demokratyczne wiodą do znienawidzenia kraju...

Dla demokratów nie był Kaczkowski łaskawszym i we „Wnuczętach“. Przedstawił tu Drabika, człowieka propagującego teorye o równości stanów, o potędze ludu; wywnętrzającego się z wielką miłością dla chłopów a ciągnącego z nich lichwę; samoluba i epikurejczyka, dbającego przedewszystkiem o trzos i podniebienie, używającego swych zdolności na motanie różnorodnych intryg, w których widzi jakąkolwiek korzyść dla siebie; człowieka słowem popisującego się wielkimi frazesami, a podłego we wszystkich postępkach.

Później Kaczkowski widział dwa tylko sposoby, złączone ze sobą ściśle, mogące wykierować demokratę na po-

żytecznego członka społeczeństwa: religię i pożycie wśród *szlachty z dobrego gniazda.* Pierwszy sposób zrobił z księdza Wikarego w „Stachu z Kępy“ zapalczywego trochę, ale szlachetnego i gorliwego propagatora oświaty wśród ludu, oświaty, kontrolowanej wprawdzie przez dziedzica, niemniej jednak zbawiennej. Drugi sposób powołuje Stefana (w „Bajroniście“), dziecię wieśniacze, na małżonka arystokratycznej panny i właściciela znacznego majątku; a demokratycznemu doktrynerowi Skibie w „Rozbitku“ każe się ciągle wyszlachetniać i niezmordowaną pracą wetować szkody, zadane gospodarstwu szlacheckiemu niedojrzałemi lub zgubnemi ideami. Najlepszą z tych postaci jest bezwątpienia Skiba, którego portret wykończył Kaczkowski we wszystkich prawie szczegółach. Najzacniejszemi przejęty uczuciami, wszystko widzący jasno w teoryi, umiejący wytłómaczyć sobie każde zjawisko, jest niedołężnym w praktyce do najwyższego stopnia. Był to czysty teoretyk, zmuszony okolicznościami do praktycznej pracy na roli; popełniał w niej ciągłe błędy, lecz miał tyle odważnej szczerości, że się przyznawał do pomyłek, a tyle cierpliwej energii, że nie rzucał raz rozpoczętej roboty, ale poprawiał ją, modyfikował dopóty, póki jej należycie nie wykończył. Gdy i wówczas jeszcze nie odpowiadała celowi, rozpoczynał na nowo. Naraziwszy swojemi teoryami dom, w którym był nauczycielem, na wielkie, okropne straty w 1846 r., wszystkie siły wytężał, byle je choć w części naprawić. Smutne tedy doświadczenie przyłączyło się tu do wpływów życia szlacheckiego, ażeby charakter Skiby podnieść i uszlachetnić, nie rugując jednak w gruncie z jego głowy demokratycznych przekonań.

Obecnie w sprawie przekształcenia charakterów uznajemy za najważniejsze doświadczenie, o którem Kaczkowski mimochodem tylko wspomniał, a które najlepszym jest probierzem praktyczności pomysłów; dodajemy nadto ścisłą wiedzę, która wszelkie ekscentryczności, wszelkie jednostronne zapatrywania wygładzić umie. Kładziemy też szczególny nacisk na wiedzę, gdyż ona jedynie potrafi do ładu doprowadzić straszliwy chaos pojęć, wśród społeczeństwa naszego panujący.

We „Wnuczętach“ wystawił Kaczkowski powolne osłabianie się siły ducha i energii życiowej w trzech po sobie następujących pokoleniach. Najstarsza generacya uosobiona

w Demborogu, zapalonym arystokracie, człowieku uczciwym ale przesądnym, niegdyś tęgim żołnierzu, który widział czasy wielkich powszechno-dziejowych wypadków. Tem wszystkiem był dawniej: w powieści występuje to jako impetyk, to jako tetryk, dożywający ostatnich chwil swoich w gadatliwości nieskończonej, a powtarzającej ustawicznie jedną tylko zwrotkę o upadku młodego pokolenia. Widzi on ruinę majątkową, ale jej nie umie zaradzić inaczej jak ucieczką do skarbu zostawionego przez przodków dla użycia w wypadkach nadzwyczajnych; a gdy skarbu tego nie znalazł, ginie. Druga figura przedstawiająca najstarszą generacyę, szef Niemira, używający ogromnego poważania, nie mający wielkiego afektu do herbu, lecz zważający pilnie na dobre gniazdo, nie sprzeciwiający się wprawdzie wprost miłości syna, ale kładący nacisk na posłuszeństwo winne ojcu, — pozostawiony został na boku.

Następne pokolenie przedstawia już większe zepsucie, większe samolubstwo, a w najlepszym razie brak celu życia i zatem idące próżniactwo. Najsympatyczniejszą w tem pokoleniu osobistością jest Tadeusz Niemira, synowiec szefa, trochę Cyrulik sewilski a trochę Don Kiszot. Rozum ma niezmiernie trzeźwy, w wielu kwestyach dobrze widzący; charakter — szlachetny i energiczny. Nie ma jednak przed sobą nic, do czegoby się silnie przywiązał; stąd jego dalekie podróże po Europie, Azyi i Afryce, stąd szukanie ciągłej zmiany i gorączka ruchów. Gdy się znajduje w kraju, jest wujaszkiem całego świata, ale nie widać wcale, żeby się majątkiem i poddanymi swymi zajmował choć trochę. Umysł to koniec końców tak kapryśny i niejednolity jak historya powszechna prawd i błędów ludzkich, ceni na równi Woltera i księdza Chołoniewskiego, Schillera i traktat o fabrykacyi wódki; nieporządna i niesystematyczna lektura odbiła się w urządzeniu mieszkania i w postępowaniu. Radząc wszystkim jak najlepiej, sobie samemu pomódz nie potrafił. Racibor, znany z nieszczęśliwej miłości, smutku i szlachetności, zasypany śniegiem wówczas, gdy dla poratowania rodziny Demborogów wiózł pieniądze, jest figurą mającą wszystkie rysy dodatnie, ale bardzo bladym pociągnięte kolorem. Amilkar, syn starego Demboroga jest znudzonym i znarowionym angielszczyzną egoistą, marzącym jedynie o używaniu, nie dbającym o jutro, projektującym tysiąc rzeczy na godzinę. Zadłuża się ciągle a o spła-

cie długu ani myśli; gotów córkę poświęcić, ażeby komfort sobie zapewnić. Obok tej nadętej próżności staroszlacheckiej staje godnie próżność świeżego pokroju — pan baron, zdzierający trzy kapelusze rocznie na wsi a 52 w stolicy na grzeczne ukłony dla wszystkich, a szczególniej dla tych, co mają tytuły książąt i hofratów. Jest on jednakże czemś zawsze zajęty: oprócz spekulacyj handlowych i pieniężnych, gospodaruje wzorowo, a nawet trudni się cudzymi interesami; ma zaszczyt być członkiem kilku gospodarskich towarzystw, kilku banków, towarzystw uczonych, miłosiernych a w różnych ochronkach i kasach zapomogi dla ubogich jest nawet prezesem. Wszystkich tych szczegółów dowiadujemy się z rekomendującej go charakterystyki: lecz w akcyi występuje tylko jako nadęty, niezgrabny i śmieszny egoista; wedle zapewnień szefa Niemiry — najpodlejszy to szachraj.

Najmłodsze wreszcie pokolenie nietylko już nie ma celu życia, ale skarlało zarówno fizycznie, jak moralnie i umysłowo. Niedołężny, niezaradny, wrażliwy syn szefa, Adaś, nie może postawić kroku bez cudzej porady. Papinkowaty Lolo jest maminym synkiem bez hartu ducha, bez woli, powiedziećby nawet można, bez mózgu. Są to wprawdzie chłopcy grzeczni, ogładzeni, cnotliwi; umieją się nawet pojedynkować; ale do działania jakiegobądź zupełnie niezdolni. A ten, który jest do niego zdolny, Edward, dorobkiewicz, wnuk kuchty-złodzieja, należy do kategoryi ludzi bez sumienia. Nieszczególna to zresztą zdolność. Intrygant nibyto przebiegły, we własne łapie się sieci; zaślepiony namiętnostką, poświęca dla niej, nie wiadomo po co, i swój egoizm (wystawia się bowiem na upokorzenia) i majątek i stosunki. Nibyto wykształcony, a największe popełnia omyłki w zarządzie domowym, zaprowadza reformy gospodarskie, które go rujnują, daje się oplątać nietylko Drabikowi, nietylko Kopytkiewiczowi, ale nawet Ernestynie, istocie nerwowej i ekscentrycznej.

Albo bierność albo podłość — oto cechy młodego pokolenia galicyjskiego przed 1846 r. wedle Kaczkowskiego. Skutkiem tego majątki upadały i z rąk szlachty przechodziły na własność przekupniów, nie związanych z ziemią żadnymi węzłami. I tu jak co do demokracyi powiedzieć można, że tak było w pojedyńczych wypadkach, ale że straszny i przerażający stan umysłów i nagromadzonych bogactw nie mógł cha-

rakteryzować ogółu. Kaczkowski był przeciwnikiem dorobkiewiczów jak wszyscy ówcześni powieściopisarze; widać to ze sposobu, w jaki wystawia barona i Edmunda. Nie zastanowił się więc nad tem, że bez idei dorobku niema właściwie cywilizacyi; gdyż (mówiąc tylko o jednem jej szczególe) wszystkie rody znakomite dorobiły się kiedyś znaczenia i majątku. Że dorobek ten zawdzięczały mieczowi lub dyplomacyi, to w niczem nie zmienia kwestyi. Różnica czasów dostatecznie usprawiedliwia różnicę środków. Dorobek z szydła czy z łokcia równie jest dobrym, równie szlachetnym, chociaż niekiedy nie tak wzniosłym jak dorobek z miecza, byle tylko człowiek pozostawał tym samym, t. j. cnotliwym. Bardzo często tak nie jest, gdyż człowiek, zajęty zbieraniem grosza, staje się nieczułym samolubem, albo przebiegłym szalbierzem. Ale zważmy także, że długa niewola włościan była skutkiem przewagi oręża, a ucisk i nadużycia, któremi wojownicy sławy się dobijali, mogą być w pewnej mierze na równi postawione ze zdrożnościami nowożytnego przemysłu i handlu. Jeżeli więc szlachcie dzisiejszej jako ogółowi nie wytykamy gwałtu, za pomocą którego przodkowie jej doszli do majątku; nie wytykajmy podłości i szachrajstwa *ogółowi* dorobkiewiczów. Nie przeszkadza to jednak artyście wystawiać ludzi złych i zepsutych, nie przeszkadza moraliście gromić błędy i zdrożności, byle obaj, opierając się na faktach pojedyńczych, nie uogólniali ich i nie nadawali im znaczenia reguły powszechnej. Statystyka kryminalna przekonywa nas, że tylko pewien procent społeczeństwa należy do liczby większych i mniejszych zbrodniarzy; nie bądźmyż surowsi od nieubłaganych cyfr i nie zarzucajmy zbrodni tym, którzy ulegają tylko słabościom, nie nazywajmy grzechem tego, co jest tylko śmiesznością; a prawda i sprawiedliwość nic na tem nie ucierpi.

W „Bajroniście“ marzycielstwo bezcelowe i bezczynne zostało osmagane. Epoka, w której bajronista Miron żył i mógł działać od r. 1825—1837, była najświetniejszą chwilą rozkwitu i wzrostu poezyi narodowej. Kaczkowski nie dotknął tej myśli ani jednem słowem; o zasługach tylko Brodzińskiego, niby nieocenionych należycie, napomknął przez usta Mirona w kilku nieumotywowanych ogólnikach, że „jego zasługi przeszły dzisiaj w wielkiej części na jego następców, którzy z jego spuścizny zręczniej a może i głośniej umieli korzystać“, że główna

idea nowego zwrotu w poezyi w Brodzińskim tylko była całkiem czysta i swoja; a u późniejszych, choć niezawodnie wznioślejszych i większych twórców, jest już połowa prawie naleciałości obcych i że tylko nieznajomość poetów angielskich i niemieckich może nie widzieć tych strumieni uczucia i myśli, które z gór obcych przeprowadzono w rzek naszych koryta. Szczególne to i doprawdy zadziwiające zamiłowanie bajronisty w utworach spokojnego wsi śpiewaka! Trzeba do tego dodać, że słowa powyższe pisał Miron już po wydaniu „Pana Tadeusza“.

Miron był naturalnie potomkiem starożytnej rodziny. Dzieckiem, odznaczał się dziwną fantastycznością, duszą pełną przeczuć i widzeń cudownych. Wychowanie odebrał staranne i z pozoru bardzo systematyczne. Ojciec jego, człowiek zasad surowych, z początku arystokrata, później wraz z przemianą na chrześcijańsko-postępowego odznaczający się pobłażaniem, nie wywarł nań żadnego wpływu. Toż samo Chrewta, ideał żelaznej konsekwencyi i wytrwałości, nieposzlakowanej uczciwości i wielkiego hartu duszy, umysłu szerokiego i trzeźwego, pomimo, że się zajmował edukacyą Mirona, żadnego ze swoich przymiotów i zasad w nim nie zaszczepił. Jeden tylko łzawy guwerner de Toutrien przelał nań swą uczuciowość, która się zamieniła następnie w kapryśną żądzę hołdów pod działaniem utworów Byrona. Kaczkowski więc, jak się zdaje, uważał oględne i systematyczne wychowanie za rzecz bardzo małej wagi w ukształceniu duszy człowieka, gdyż tylko usposobienie naturalne i atmosfera duchowa czasu może mieć pod tym względem według niego decydujące znaczenie, tak jakby edukacya nie była jednym z przejawów atmosfery duchowej.

Jako młodzian, Miron jest próżniakiem, marzycielem, pochlebcą w razie potrzeby: ma być dowcipnym, lecz ani w rozmowach, ani w listach jego dowcipu nie widać; co więcej grzeszy nawet brakiem przenikliwości, jak się to pokazuje z rozmowy z senatorową, która potrafiła weń wmówić, że tylko sposobem próby obrała go za cel swoich zapałów... Lubi się bawić w jakiemkolwiek towarzystwie i wszystkich kocha z początku; a dziecinna miłość dla Minki w ogniu bojowym z r. 1831 zupełnie się wypaliła. Zawód ogólny dotknął i jego, chociaż doprawdy trudno zgadnąć, dlaczegoby w nim mianowicie doszedł do punktu, w którym się rozpacz poczyna. Że

miał serce czułe a umysł fantastyczny, to prawda: ale i to także prawda, że był lekkomyślny i samolubny; a na takie natury tylko zawody osobiste oddziaływają. Potrzeba mieć jawnych lub urojonych nieprzyjaciół, ażeby z podobnem do Mironowego usposobieniem zostać bajronistą. Tymczasem jedyny Mirona osobisty zawód stanowi nieszczęśliwa miłość dla Talii; lecz on, co parę innych miłości tak lekceważył, nie mógł się ugiąć pod jego ciężarem; tembardziej, że, jak się później przekonywamy, cenił w Talii tylko wdzięki zewnętrzne, nie zaś przymioty duszy. O Mironie i wszystkich jemu podobnych umysłach mówi Chrewta: „Ci ludzie rzuceni są na tę ziemię tak jak losy fantowej loteryi rzucone do urny. To jest *nihil*, mości dobrodzieju. Przy niektórych loteryach nihile są ozdobione daleko piękniej niżeli losy wygrywające — on należy do takiej loteryi: ozdoby z wierzchu, ale pusto we środku. Jest to beczka, która jest pełna różnego złocistego rupiecia, ale ta beczka nie ma ani dna ani wieka; co dzisiaj wrzucisz wiekiem, dnem do jutra wyleci i nie zostawi po sobie śladu. Jest to zresztą kocioł z gorącą wodą, pod którym pali się ustawicznie; cokolwiek weń wrzucisz, będzie się zaraz gotować, ale też i rozgotuje się zawsze na miazgę i wyparuje za dobę“. Otóż taki charakter, pozbawiony zdolności do jakiegokolwiek czynu, trawi się wewnętrznie, ubiega się za uciechami, czuje nudę okropną, tuła się bezcelowo po całym świecie, nigdzie ani spokoju, ani pokarmu dla duszy znaleźć nie mogąc, zgrywa się, goni marę dawnej miłości i, zrobiwszy w końcu dobry uczynek, umiera.

Andrzej Edward Koźmian nie widzi w Mironie istotnego bajronisty. „Młodzież — powiada — na którą duch Byrona wpłynął, inną była; nie była ona wcale marzącą jak Miron na zamku, romansową i kochającą, jakim się okazuje w salonach lwowskich; lecz była pełna dumy, goryczy, niepokoju ducha, pełna szyderstwa i żalu do świata“ [1]). Istotnie, zdaje mi się, że Kaczkowski popełnił omyłkę. Miron jego nie jest reprezentantem całego byronowskiego kierunku, lecz jednostką mierną, albo co najwięcej średnich zdolności, która wyłącznie przez kaprys autora musiała nosić cierniową geniuszu

---

[1]) „Dziennik Warszawski“, 1856, Nr. 57. Korespondencya „Z nad Bystrzycy“.

koronę .Bardzo to trudno przedstawić poetę, którego dzieł nie znamy, który był zatem poetą tylko dla małego kółka znajomych i przyjaciół. Potrzeba wszystkie okoliczności jego życia tak dokładnie obmyśleć, ażeby prawda wewnętrzna jego natury, a więc, jeżeli nie gienialność, to wielki talent przynajmniej — nie stanęła w kolizyi z tem prostem pytaniem: gdzież są owoce sławionego geniuszu, czy talentu?... Nie może tu być oczywiście mowy o samem tylko tak zwanem usposobieniu poetycznem, które bywa udziałem ludzi, z wierszami nic nie mających wspólnego, ale o rzeczywistej poetycznej działalności, która nie mogła, lub nie chciała występować na zewnątrz.

Chwila ta, w której tworzył Kaczkowski, jako odznaczająca się przewagą beletrystyki w literaturze, obfitowała w powieści, przedstawiające poetów i artystów. Kraszewski pisał swoją „Powieść bez tytułu“, Korzeniowski „Garbatego“, Morzkowska „Nowego Gladyatora“, Niewiarowski „Laokoona“, że pominę kilku innych pisarzy o wiele mniejszego talentu, znaczenia i wpływu. Podnoszono nieznanych artystów do ideału, opisywano ich walki wewnętrzne i rozterki z otaczającym światem, zimnym, egoistycznym a czasami brudnym; wieńczono laurami nikomu nieznane talenta z takim entuzyazmem, z jakim nikt nie wieńczył znanych powszechnie. Pośród nich odznaczył się wielką szlachetnością i tęgością charakteru „Garbaty“ Korzeniowskiego: inne były to mniej więcej patologiczne objawy słabości, niedołęstwa, a jeden nawet — zepsucia. Wszędzie atoli rozbiór duchowej, wewnętrznej istoty tych artystów był powierzchowny i płytki, albo też tak mglisty, niejasny i niekonsekwentny, że nikogo nie mógł przekonać o ich gienialności a nawet o wielkim talencie, lecz tylko — z wyjątkiem „Garbatego“ — o płaczliwej lub butnej pretensyonalności.

Kaczkowski nie był szczęśliwszym od swoich poprzedników i następców w skreśleniu i umotywowaniu wewnętrznej natury bohatera; lecz wskutek przewagi wyższego nastroju nad drobnostkami salonowemi i wskutek odmalowania kilku oryginalnych figur, takich jak Chrewta i Regimentarz, nadał swojemu utworowi cechę wyróżniającą go od wszystkich innych tego rodzaju. Inne (a mianowicie Kraszewskiego), przewyższają go w szczegółach życia potocznego, w rysunku

postaci średniej, albo żadnej inteligencyi; lecz pod względem tonu całości muszą mu ustąpić.

Pomijając „Stacha z Kępy“, jako utwór mniejszej wagi, w którym Kaczkowski zalecał wieśniakom słuchać pana i plebana a nie piąć się do wyższego stanu; pozostaje mi powiedzieć słów kilka o „Rozbitku“. Wszystkie żywioły, składające tę powieść, znane są z poprzednich utworów. Główny bohater Karol, który słuchając nauk doktrynera demokratycznego Skiby, brał udział w zwichniętym a zużytkowanym przez rząd austryacki ruchu roku 1846, przebywszy dwa lata więzienia, nie staje się wprawdzie zwolennikiem zasad ściśle arystokratycznych, ale szuka podstawy w rozwoju szlachetczyzny i ideę pracy organicznej na roli, zalecaną w „Dziwożonie“, wprowadza w praktykę. To też dom w Zawisłoczu był wzorem dla innych. „Na dnie ich życia siedziała skrzętna, wyrachowana praca; lecz nad nią unosił się uszlachetniony duch ludzki w całej swojej swobodzie i wspaniałości“.

Przedstawicielem arystokracyi niepoprawnej, pogrążonej w przesądach, choć uczciwej i szlachetnej, jest hrabia Izydor, który zna dobrze dążenia postępowe, ale nie może się z niemi pogodzić i zżyć. Stąd istnienie jego jest szeregiem nudów nieznośnych. Wierzy on w „krew“, choć oczywiście najnowszej teoryi dziedziczności nie zna, a gdyby ją znał, to pewnieby potępił jako owoc mrzonek postępowych. Wie, że zginąć musi, lecz się tem wcale nie zraża i przyjmuje ten cios jako przejściową fazę zmiennego losu; do pracy wśród zmienionych warunków, do pracy drobnej, mrówczej nie czuje ni siły, ni pociągu. Woli się we wspomnienia dziejowe zawinąć i z godnością rycerza, choć nie z jego walecznością i energią, czekać przeznaczenia.

O świecie kobiecym we współczesnych powieściach Kaczkowskiego mimochodem tylko wspomniałem, gdyż on istotnie w wielkim jego bilansie społecznym nie stanowi znacznej pozycyi. Jako istoty bierne służą kobiety albo własnym jedynie namiętnościom, albo też stają się nagrodą szlachetnych mężczyzn; same przez się nic nie znaczą. Dzielą się one na dwie wielkie grupy: zalotnych intrygantek i truś niewinnych.

Pierwowzorem pierwszej grupy jest Kamila w powiastce „Kato“; bliższe jej określenie podał Kaczkowski w Adeli („Dziwożonie“). Jest to rozpustnica, myśląca wyłącznie o do-

godzeniu zmysłom i zachciankom, jest to intrygantka zręczna i bezczelna. Tegoż samego rodzaju jest baronowa we „Wnuczętach“; a starszą odmianą — marszałkowa w „Dziwożonie“, senatorowa w „Bajroniście“ i inne.

Drugą grupę reprezentuje Hania w „Dziwożonie“, istota cicha, skromna, niewinna, ale zarazem gąska parafialna bez szerszych myśli i uczuć gwałtowniejszych. Jej odmianę stanowią: Mania we „Wnuczętach“, Hermina w „Bajroniście“, Józia w „Rozbitku“. Cechą ich najogólniejszą — mdła uczuciowość i słaba inteligencya.

Odrębne miejsce zajmuje Talia, która przedstawia ten sam typ, co Melania w „Grobie Nieczui“: zręczna, salonowo wykształcona, dobra muzyczka, pełna uczucia, ale ostatecznie słaba, bez żadnej energii, jak to się najlepiej okazuje w scenie z mężem, gdy ten zastał ją razem z Mironem. Emancypacyjne do pewnego stopnia idee przedstawia Ernestyna we „Wnuczętach“; cała jej jednak emancypacya zasadza się na pogardzie opinii światowej i na wrzącem, niespokojnem uczuciu.

Wogóle można zauważyć, że postaci kobiece nie mają u Kaczkowskiego dobitnej charakterystyki; autor, zdaje się, tak jak jego Miron, uważa kobiety za wieczne zagadki i nie sili się wcale na wyjaśnienie ich natury. Nie lubując się w przedstawieniu namiętności, nie mógł też rozwinąć przed nami obrazu ani jednej istoty niewieściej ze świata współczesnego, któraby żywą plastyką wrażała się w naszą pamięć i silny w niej ślad pozostawiła. Jako moralista, nie widział Kaczkowski potrzeby wprowadzania kobiety w świat samoistnej działalności; idea też pracy kobiecej nie pojawiła się u niego wcale. Tylko w rodzinie, tylko z mężem stanowi kobieta według niego, jakąś pozycyę w bilansie społecznym.

Wielka doniosłość kwestyj, podjętych przez Kaczkowskiego w powieściach współczesnych, zaszkodziła ich stronie artystycznej. Refleksye, rozumowania, rozprawy na temat abstrakcyjny zajmują w nich miejsce naczelne; charaktery zaś, sceny, akcya nieśmiało się ruszają, jakby zawstydzone swą rolą. Takie obszerne utwory, jak „Dziwożona“ lub „Wnuczęta“, które w pierwszem wydaniu po cztery spore tomy obejmowały, są osnute na treści powieściowej nadzwyczaj szczupłej, dającej się opowiedzieć w krótkości. To więc, co rozwlekłością nazywamy, oczywiście musiało tę malutką treść rozdąć

do żądanych rozmiarów. Szerokie, drobnostkowe, a suche zazwyczaj opisy miejscowości, mieszkań i osób; powtarzanie kilkakrotne relacyj o tymże samym wypadku; dysputy nie zostające w bezpośrednim stosunku z główną powieści osnową a przeciągane aż do znużenia: oto środki, za pomocą których dokonywało sią owo rozdymanie.

Powtóre Kaczkowski, zaprzątnięty abstrakcyjnemi myślami, nie przywiązywał wielkiej wagi do kreślenia charakterów, które miały być tylko uosobieniem pewnych idei i przekonań lub ich braku. Cóż go obchodziły szczegóły charakterystyczne, będące wynikiem duchowego ustroju *jednostki,* kiedy mu szło przedewszystkiem o odmalowanie a raczej odrysowanie *ogółu?* Z tej samej przyczyny nie obmyślał należycie scen, lecz je zupełnie przygodnie, jak mu się same nastręczały, przedstawiał. Pod względem korzystania z nich miał on bezwątpienia więcej rozwagi, aniżeli najlepsi nawet nasi powieściopisarze; ponieważ jednak brakło mu talentu umiejętnego zużytkowywania szczegółów charakterystycznych, scenowanie jego jest raczej nużące, niż ożywiające, trwa bowiem długo, a nie przedstawia dla imaginacyi koniecznej świeżej karmi. Brak żywotności w przedstawianych figurach sprawia, że i sceny martwemi się wydają, tak że np. we „Wnuczętach“ dwie tylko pozostają w umyśle: scena czytania testamentu i otwarcia skarbu, tudzież scena śnieżnej zawiei i śmierci Racibora. W tym samym mniej więcej stosunku wyrazistości znajdują się sceny w innych powieściach współczesnych Kaczkowskiego.

Potrzecie układ powieści po większej części jest wadliwy. Przerywanie opowiadania i nawracanie ku niemu po pewnym przeciągu czasu, w którem mówiło się o czem innem; brak proporcyi pomiędzy pojedyńczemi częściami i nieumiejętność w skupieniu efektów: są to wady najogólniejsze powieści Kaczkowskiego ze stosunków spółczesnych, wady obniżające a nawet unicestwiające interes i wrażenie, jakie utwory jego z powodu myśli przewodnich wywrzeć były mogły. To też nigdy one nie miały takiego powodzenia jak opowiadania Nieczujowskie i podlegały mniej więcej surowej krytyce. Spółcześni nie umieli zazwyczaj ocenić ważności przedstawionych przez Kaczkowskiego kwestyj; żądni byli natomiast ładnych obrazków; ponieważ ich nie znajdowali, lekce-

ważyli zatem utwory, które artystyczną obsłonką gardziły. Najmniej zarzutowi temu mógł podlegać „Bajronista“; w nim bowiem dyskusye wynikały z samej natury bohatera, a oprócz tego nie brakowało oryginalnych i nieźle utrzymanych charakterów, które się w odpowiednich scenach ukazywały. Sytuacye, co prawda, są tam powszednie; a co więcej jednostajne, gdyż składa się na nie życie domowego zacisza, bal, gra w karty, pojedynek; ale też znajdują się rzeczy malownicze a nowe: np. jazda Mirona na koniu po galeryach zamkowych. Najsłabszym artystycznie jest „Rozbitek“, w którym niepodobna nawet dopatrzyć jakiegoś porządnego układu. Ażeby dać pojęcie, jak się Kaczkowski zaniedbał w artyzmie, dość przytoczyć, że w połowie trzeciego tomu, t. j. już przy końcu powieści sam oświadcza, iż charakteru bohaterki głównej, Józi, jeszcze nie znamy i wtedy dopiero przedstawia nam dzieje jej rozwoju. Mało co lepiej wyszedł na staranności autora bohater Karol. I tak „Rozbitek“, utwór Kaczkowskiego dojrzały pod względem *myśli i przekonań*, przedstawia się nam jako wyborny okaz *suchot artystycznych*.

VI.

Od roku 1860, kiedy się po raz pierwszy ukazali „Żydowscy“ [1]), Zygmunt Kaczkowski zaprzestał pisać powieści, a oddał się publicystyce. Grono przyjaciół jego postanowiło założyć dziennik polityczny we Lwowie i powierzyć kierunek jemu i Ludwikowi Skrzyńskiemu. Założenie dziennika wymagało najprzód podróży do Paryża i Warszawy, albowiem nowe pismo nie miało być „przedsiębiorstwem publicystycznem we właściwem takim przedsiębiorstwom znaczeniu, tylko widomym sztandarem nie mogącego jawnie wystąpić politycznego stronnictwa, które się składało z 72 najznamienitszych obywateli kraju, a którego celem było utrzymanie agitacyi w granicach

---

[1]) Wydanie książkowe tej „kroniki rodzinnej“ wyszło dopiero w r. 1872 (Lwów, nakład F. H. Richtera, 2 tomy). Autor, pisząc słówko wstępne do tej edycyi, dobrze scharakteryzował jej publicystyczne tylko znaczenie, a w końcu nawet zauważył, „że gdyby to wszystko wykreślił, co mu się dzisiaj wydaje przestarzałem lub źle napisanem, z całej książki zaledwieby kilkanaście kartek zostało“. Sąd to zbyt surowy, samemu jedynie autorowi dozwolony.

legalności i niedopuszczenie do kroków gwałtownych". Wróciwszy z podróży w pierwszych dniach grudnia 1860 r. do Lwowa, Kaczkowski z d. 1 stycznia 1861 zaczął wydawać ten dziennik p. t. „Głos". Wkrótce jednak zarówno on, jak i Skrzyński i kilku innych, co przy nich wytrwali, spostrzegli, że przedsięwzięli rzecz niemożliwą; kiedy bowiem z jednej strony agitacya rewolucyjna we Lwowie wzięła wtedy do tego stopnia górę nad wszystkiem, iż potrafiła redaktora i zwolenników „Głosu" okrzyczeć jako odstępców i zdrajców; z drugiej strony towarzysze Kaczkowskiego zaczęli się wobec tej agitacyi coraz więcej chwiać i rozpierzchać. Pod koniec czerwca zaledwo kilku wytrwało przy wywieszonym sztandarze; wówczas Kaczkowski, widząc, że cel wydawnictwa został chybiony, postanowił zginąć z honorem, „choćby i łba przytem nadstawić". Umieścił więc w dzienniku namiętną korespondencyę z Warszawy; rząd austryacki zamknął dziennik, a redaktora uwięził w początku lipca.

Więzienie ciężkiem nie było; pozwalano czytać i pisać; tylko nie wolno było otrzymywać listów ani rękopismów. Wśród takich to okoliczności dokonał Kaczkowski pracy, rozpoczętej w r. 1859, p. t. „Kobieta w Polsce". Pierwszy jej tom oddał był do druku Spółce żytomierskiej jeszcze w początkach r. 1861; drugi zaś, w znacznej części z pamięci, napisał w więzieniu. Pierwszy tom wydrukowano w Żytomierzu 1862 r., ale w obieg księgarski nie puszczono; tom drugi ocenzurowano 3 kwietnia 1862, lecz już do druku nie oddano z powodu, iż składy i księgarnia Spółki zostały zamknięte. Dopiero w r. 1895 Kazimierz Grendyszyński, księgarz w Petersburgu, nabywszy egzemplarze tomu I-go i rękopism II-go, ogłosił oba i w świat puścił. Jakkolwiek dzieło to, pisane tak dawno, ma liczne usterki pod względem i faktów i poglądów, jest jednakże do dziś dnia jedyną pracą obejmującą całość historycznego rozwoju losów kobiety naszej, pisaną pięknie i wymownie, pełną uwag i poglądów wartych rozwagi [1]).

Po wyjściu z więzienia w grudniu 1862 roku, Kaczkowski, lubo dawniej był przeciwnikiem ruchawki rewolucyjnej, po jej wybuchu, któremu zapobiedz nie było oczywiście w jego

[1]) Szczegółowszą charakterystykę tej pracy podałem w przedmowie do drugiego tomu „Kobiety w Polsce".

mocy, uważał sobie za obowiazek wziąć w niej udział. W samej walce nie uczestniczył, ale udał się do Wiednia i założył rodzaj biura dyplomatycznego. Niechętni mu, na podstawie błahych w najwyższym stopniu dowodów, oskarżyli go o zdradę. Dowiedziawszy się o tem, wyjechał Kaczkowski 26 grudnia 1863 r. do Lwowa i przez cały miesiąc domagał się sam zwołania jawnego sądu, ale napróżno. Podczas jego nieobecności we Lwowie, naczelnik lwowskiego okręgu, bez upoważnienia i wiedzy rządu narodowego i pełnomocnego komisarza na całą Galicyę, zwołał sąd tajny i rozstrzygnąwszy równość głosów swoją własną afirmatywą, wydał wyrok skazujący autora „Rozbitka“ na wygnanie r. 1864. Wyrok ten został następnie skasowany i rzecz cała do ponownego osądzenia Karolowi Ruprechtowi oddana. Ten rozpatrzywszy się w doręczonych sobie papierach i nie znalazłszy w nich materyałów dostatecznych do wytoczenia oskarżenia, urzędu prokuratora nie przyjął, roli oskarżyciela z tych samych powodów nikt inny podjąć się nie chciał, sąd, mogący sądzić prawnie, zwołanym być nie mógł, gdy oskarżenia nie było; to też Kaczkowskiemu doręczono 6 grudnia 1864 roku urzędowy paszport dla wolnego powrotu do kraju. Autor nasz, zebrawszy dokumenta, ogłosił je wraz ze swemi objaśnieniami w broszurze zatytułowanej: „Rewolucyjne sądy i wyroki“ (Paryż. 1866).

Kaczkowski do Galicyi nie wrócił, lecz osiadł w Wiedniu. Jak dawniej Michał Wiszniewski, tak teraz on oddał się operacyom finansowym; był atoli szczęśliwszym od tamtego: dorobił się znacznej fortuny, a jakkolwiek podczas głośnego krachu w r. 1873 dużo stracił, pozostało mu jednak tyle, że przeniósłszy się do Paryża, mógł dalej przedsiębiorstwa prowadzić i zająć tam w świecie bankierskim jako Mr. de Pomian wybitne stanowisko. Nieznane są nam szczegóły tej strony działalności Kaczkowskiego, a byłyby one wielce ciekawe ze względu na to, żeby nam częściowo przynajmniej wyjaśniły, jakim sposobem ziemianin i literat mógł zostać finansistą i mieć powodzenie.

Od r. 1866 przez lat 12 nic nowego Kaczkowski drukiem nie ogłosił; to też interesujący się rozwojem literatury ojczystej niezmiernie byli zaciekawieni, gdy „Gazeta Polska“, w r. 1878 obudziwszy z długoletniej drzemki literackiej głośnego niegdyś powieściopisarza, ogłosiła, że zacznie drukować nowy jego

utwór pod dość zagadkowym napisem: „Graf Rak“. Istotnie ciekawą było rzeczą, jak się przedstawi umysł niepospolity po tylu latach trudów, cierpień, radości, a wogóle doświadczeń wszelakiego rodzaju; jak patrzyć będzie na zmienione pod bardzo wielu względami stosunki społeczne; jak traktować zechce ten świat wyobraźni, te kształty, duchem artysty i myśliciela do życia powoływane, które tyle szlachetnych rozkoszy ludziom przynoszą...

Gdy po długiem oczekiwaniu ukazały się pierwsze numery z „Grafem Rakiem“, można było wprawdzie zauważyć, że autor widocznie jest zmęczonym, znużonym, wychłodłym, ale zarazem niepodobna było nie przyznać, że myśl jego rozpatruje się w widnokręgach szerokich, szerszych nawet od tych, jakie dawniej ogarniała; że talent jego skupił się i ześrodkował, pozbywając się rozwlekłego gawędziarstwa o rzeczach powszednich, a potęgując treściwe, faktyczne niemal przedstawianie osób i wypadków. Rozpoczęcie powieści było zajmującem i efektownem, pomimo, że autor na efekt wcale się nie wysilał, opowiadając sposobem prostym to, na co patrzył. Ta scena pełna tragiki, w której wśród obozu, rojącego się od ludzi, wystąpił ojciec zrozpaczony, wołając o synów swoich, co wbrew jego życzeniu do armii włoskiej się udali, i ten drugi człowiek obojętny, szyderczy, co z ironią na rozpacz jego patrzał, ta scena, powiadam, należy do najświetniejszych, jakie Kaczkowski kiedykolwiek utworzył. A dla ocenienia jej pamiętać trzeba, że to się dzieje podczas przygotowującej się wojny Włochów z Austryakami, że potem indywidualne cierpienia, indywidualne uczucia łączą się tu misternie z cierpieniami i uczuciami ogólniejszego znaczenia; stąd wrażenie potęguje się, bo scena owa porusza najróżnorodniejsze a przytem najdźwięczniejsze struny serca...

W miarę atoli, jak powieść rozwijać się zaczęła, przestała zajmować; od chwili, w której „Graf Rak“ wdał się w rozmowę z autorem, a za jego pośrednictwem z czytelnikami, ujawniły się dawne braki talentu Kaczkowskiego. Autor wziął do obrobienia temat wielki i ważny, pojął go głęboko i zasadniczo: i wpadł w najsuchszy, jak tylko można, dydaktyzm. Wykład astronomii pozytywnej i hipotetycznej, prowadzony bezwątpienia z talentem, zapełniał po kilka numerów z rzędu i stanowił bądźcobądź twardy do zgryzienia orze-

szek — nietylko dla mlecznych, ale i dla dojrzałych zębów. Zapewne, wykład ten miał swoje znaczenie w powieści, nie był wtrącony bezcelowo, nie rozpływał się w rozumowaniach oderwanych, lecz szedł z biegiem akcyi — do pewnego stopnia przynajmniej; mimo to przecież, zarówno pod względem artystycznym jak i filozoficznym, za chybiony poczytanym być musi.

Pod względem artystycznym ma on charakteryzować osobę główną w powieści, „Grafa Raka". Człowiek ten — to typ najnowszy w społeczeństwie europejskiem, jakiego ani starożytność, ani średnie wieki, ani nawet pierwsza połowa stulecia naszego nie znały. Niezmiernie bogaty, znający mechanikę stosunków ludzkich na wylot, zwłaszcza w zakresie przemysłu i handlu, lubiący żyć z komfortem, wierzący wyłącznie tylko w potęgę rozumu, a lekceważący porywy serca i fantazyi, ukształcony w wysokim stopniu — a w dodatku specyalista. Tak jest, specyalista; nie ma on wprawdzie stopnia doktora, nie wygłasza prelekcyj na żadnym uniwersytecie, nie nurza się w pyle książkowym i owszem, żyje i używa życia; a pomimo to zna jedną naukę doskonale, stosunkuje się z ludźmi uczonymi całej ukształconej Europy i w razie potrzeby mógłby zastąpić jakiego docenta. Nie mogąc wśród olbrzymiego rozgałęzienia drzewa umiejętności w naszych czasach oddać się naukom wszystkim, wybrał dla siebie z taktem nietylko wielkoświatowym, lecz i filozoficznym naukę, która od epoki Kopernika zrobiła przewrót we wszystkich naukach nietylko przyrodniczych, ale i historycznych, naukę najbardziej skończoną z pomiędzy nauk przyrody — astronomią. Zna on w niej najnowsze rezultaty i teorye, a idea walki o byt, przeniesiona z ziemi na niebo, stanowi oś, około której wszystkie jego rozumowania się obracają...

Dotąd wszystko jest w porządku. Powieściopisarz stworzył postać nową, oryginalną, pełną prawdy, mogącą zainteresować nawet najwybredniejszy umysł w naszej mianowicie literaturze, gdzie taki rozpaczliwy brak charakterów wyższych czuć się daje. Jest to figura znakomita, pod pewnym względem — nawet skończona. Ale cóż? Postać ta w pomyśle i w kilku scenach prezentująca się wyśmienicie, staje się nudną przez maniacką niemal żądzę produkowania swej wiedzy astronomicznej wobec czytelników. Że tak w rzeczywistości

bywa, że istotnie człowiek zamiłowany w nauce, napotkawszy powolnego słuchacza, który go choć trochę rozumie, wypowiada głośno swe myśli, to jeszcze nie racya, ażeby te głośno wypowiedziane myśli powtarzać w utworze artystycznym. Charakterystyka bowiem człowieka wskutek tak rozwlekłego traktowania zamiast stawać się wyraźniejszą i dobitniejszą, rozpływa się we mgłę, bo się staje tautologiczną. Artystycznie rzecz biorąc, daleko lepiej przedstawiłby się nam „Rak“, gdyby więcej działał i gdyby to, co mówi, miało cechy zwięźlejsze, bardziej skoncentrowane, słowem — gdyby rozmowa nie przemieniała się w rozprawę.

Pod względem filozoficznym astronomia „Grafa Raka“ miała przy współudziale krytycznym autora i życia dowieść niesłuszności pretensyi nauk przyrodniczych wogóle, a astronomii w szczególności do przepisywania trybu postępowania istotom ludzkim, miała być obroną wolnej woli, cnoty, sprawiedliwości i wszelkich zresztą pojęć i uczuć, składających się na wytworzenie moralności wśród ludzi. Kaczkowski poszedł za dość pospolitym dzisiaj poglądem, jakoby zdobycze nauk przyrodniczych, wykładane materyalistycznie, stanowiły bezpośrednią przyczynę tak zwanego materyalizmu praktycznego, którego naczelną zasadą jest interes własny, jakimikolwiek środkami, byleby tylko prawnymi, poszukiwany i osiągany. Tymczasem jest w tem dość gruba pomyłka. Jeżeli bowiem wogóle oskarżanie nauk teoretycznych o złe skutki praktyczne jest niezbyt uzasadnionem, to co do teoryj materyalistycznych w szczególności pamiętać trzeba, że zwolennicy ich od najdawniejszych czasów zalecając jako cel życia — rozkosz, użycie itp. nie sformułowali go przecież w postaci interesu osobistego. Wiadomo, przecież, że pierwszy Adam Smith, bynajmniej nie materyalista, nietylko formułę ową wypowiedział, ale co ważniejsza za podstawę ekonomiki ją przyjął. Odtąd aż do najnowszych czasów, ekonomika to, a nie nauki przyrodnicze lub materyalizm teoretyczny, zbudowała cały system postępowania społecznego, wyłącznie na interesie własnym oparty. Jeżeli zaś niektórzy materyaliści w naszej epoce przyjęli tę formułę, to ulegli tylko silnemu prądowi datującemu bezwiednie i praktycznie od chwil niepamiętnych, a świadomie i teoretycznie od końca zeszłego stulecia; zatem mając już robić zarzut jakiejkolwiek nauce teoretycznej, prędzej mo-

żnaby się z nim zwrócić do ekonomiki niż do astronomii. Dzisiaj i w ekonomice zaczynają się spostrzegać uczeni, że za podstawę nauki wzięli niedowiedzione przypuszczenie, że głównie dla największego uproszczenia badań przyjęto jeden tylko z czynników woli ludzkiej, ale, że w rzeczywistości dzieje się inaczej, bo tam biorą udział wszystkie jej czynniki...

Z historycznego więc punktu widzenia Kaczkowski nie ma słuszności, przedstawiając nauki przyrodnicze jako źródło materyalizmu praktycznego; walczyć atoli mógł na gruncie dzisiejszych stosunków, i tak też zapewne pojął swoje zadanie. Ale i tu w rozumowaniach okazał się słabym i o ile zna dobrze astronomią, o tyle psychologią, do której w latach dawniejszych miał wstręt wielki, dość powierzchownie obejrzał. Przez cały ciąg opowiadania zbiera się na odpowiedź swemu astronomowi; ale zawsze coś mu przeszkadza, a gdy ją wreszcie mógł wygłosić, ograniczył się na tym jedynie aforyzmie, że nie można stosunkami natury martwej mierzyć stosunków ludzkich, bo ludzie, „mają od natury wyryte w swem przyrodzonem uczuciu i w swojem sumieniu całkiem inne filozoficzne zasady“. W tem właśnie sęk. Astronom nie był przecież tyle naiwnym, ażeby bez żadnych danych miał utożsamiać stosunki ludzkie ze stosunkami martwej natury, tylko robił to dlatego, że je najściślej ze sobą jednoczył. Zdaniu Kaczkowskiego o przyrodzonych uczuciach moralnych mógł „Graf Rak“ przeciwstawić wprost przeciwne zdanie i poprzeć je tysiącem argumentów, a że tego nie zrobił, to już tylko dowodzi wielkiej grzeczności... dla autora powieści.

Właściwą odpowiedź dało naszemu astronomowi dopiero życie samo, wykazując wyraźnie, że oprócz interesu dobrze zrozumianego, który według teoryi miał kierować wszystkimi bez wyjątku postępkami ludzkimi, istnieją jeszcze sprężyny inne, biorące swą siłę z bogatej w namiętności przyrody ludzkiej. „Graf Rak“ jest to natura pozbawiona z pozoru wszelkich uczuć; nie wzrusza go ani straszna rozpacz ojca, który widzi naprzód synów nieposłusznych swej woli i idących na wojnę przeciw państwu przez siebie obsługiwanemu, a potem dowiaduje się o ich okropnej śmierci; nie rozrzewnia go boleść matki tych synów, która dostaje łagodnego obłąkania; on we wszystkich tych wypadkach dostrzega jedynie stronę korzystną dla siebie, jakby z danych

okoliczności zrobić najszerszy użytek... Co więcej, człowiek ten nie troszczy się ani o wychowanie swej córki, którą powierza opiece mieszczan paryskich, ani o jej los; gdy ją wykradł syn owych miejskich opiekunów, mechanik, nie martwi się tem wcale, nie myśli biedz w pogoń, idzie mu tylko o to, czy fabryka jego idzie dobrze bez nadzoru mechanika, a przekonawszy się, że tenże zostawił zastępcę, o nic już nie dba, będąc zadowolonym, że miał tak przezornego... zięcia. A przecież i ten zimny, wśród gwiazd, liczb i fabryk żyjący astronom ma także jedną stronę, która go łączy ze wszystkimi śmiertelnikami, kocha żonę, ubóstwia ją, nie przypuszcza ani na chwilę, żeby mu niewierną być mogła, otacza ją zbytkiem najwyszukańszym, okazuje dla niej posłuszeństwo niemal dziecinne wraz z ślepem dziecinnem przywiązaniem. W tem jednem uczuciu nie powodował się on własnym dobrze zrozumianym interesem; w tem jednem uczuciu okazywał się człowiekiem, całkowitym, rzeczywistym, a nie abstrakcyą, mniej lub więcej ułomną. To też, gdy dowiaduje się niespodziewanie o jej niewierze, gdy słyszy przyznanie się otwarte z własnych jej ust, traci przytomność umysłu, pozbywa się chłodnej rozwagi i staje się zwierzęciem, żądnem krwi na chwilę. Ale nie na tem koniec. On tak ślepo kocha swą żonę, że przebaczyłby jej wszystko, byleby nadal żyć z nim chciała; — i umiera wtedy dopiero, gdy się dowiaduje, że go porzuciła...

Przeciwieństwem „Raka“ jest... Raczek, jak go autor, może za żartobliwie trochę, tytułuje. Młodzieniec ten, to typ polskiego sangwinicznego usposobienia wśród szlachty: przystojny, zręczny, zdrowy, rumiany, uczuciowy, łatwo ulegający silnym wrażeniom, a zatem zmienny w przedmiotach uwielbienia i miłości, żądny czynu nie tyle dla idei jakiejś, ile dla zużytkowania nadmiaru sił żywotnych, a zatem znajdujący się wszędzie, gdzie można rycersko się popisać; szlachetny we wszystkich innych względach prócz spraw miłosnych; obdarzony rozsądkiem chłopskim czy szlacheckim, ale nie rwący się do nauki, ruchliwy, ale nie wytrwały. Autor młodzieńca takiego bardzo wysoko ceni i spodziewa się po nim doskonałego gospodarza i obywatela; każe mu przechodzić różne życia koleje, ażeby nabrać doświadczenia; pozwala mu nawet kochać się w żonie krewnego swego, „Grafa Raka“, i stać się *pośrednią* przyczyną jego gwałtownej śmierci; wyprowadza go

ze wszelkich kłopotów i zawikłań po żołniersku rozcięciem węzłów a nie ich powolnem rozplątywaniem, uszczęśliwia go wreszcie ręką ukochanej dziewicy i daje do zrozumienia, że odtąd jego ulubieniec pójdzie drogą prostą i spełni jego o nim marzenia... Gdyby autor artystycznie tylko postać tę traktował, gdyby ją przedstawiał jako jeden z okazów polskiej natury; łatwoby mi było uznać w niej piękną, jakkolwiek wcale nie nową, bo wprost niby z „Pana Tadeusza“ przekopiowaną kreacyą; ale ponieważ oprócz artystycznej przyjemności, Kaczkowski chce jeszcze dać naukę moralną, to zauważyć muszę, że ideałowi jego nic a nicby nie zaszkodziło trochę nauki, trochę rozwagi „Grafa Raka“.

W tych dwu postaciach streszcza się główna myśl, a zarazem główna osnowa powieści; pomiędzy niemi rozgrywa się dramat wewnętrzny, któremu nie brak ani tragicznych, ani komicznych momentów. Dramat ten atoli, prócz chwil kulminacyjnych, ukryty jest przed oczyma czytelników; muszą go oni sami sobie w wyobraźni wypełnić, muszą jego perypetye własnem sercem odczuć, bo autor dziwnie niezręcznie, jak na doświadczonego pisarza, użył w tym utworze formy pamiętnikowej, przedstawiającej to tylko, na co autor sam patrzał, co sam słyszał i czego doświadczył. Skutkiem tej formy powieść pozbawiona została analizy psychologicznej i tego artystycznego zaokrąglenia, jakieby otrzymać mogła, gdyby przedstawione w niej osoby żyły niejako wobec wszystkich i we wszystkich chwilach, a nie wobec autora w pewnym danym momencie. Kaczkowski dla zachowania prawdopodobieństwa, to się rozstaje ze swojemi osobistościami na czas dosyć długi, to rysuje je tylko z wierzchu, o ile w pewnej sytuacyi mu się przedstawiły, to słucha opowiadania o zaszłych w czasie jego niebytności wypadkach. Podróżuje wprawdzie dużo, znajduje się i we Florencyi i w Wiedniu i w Paryżu i w wielu innych miejscach, ażeby módz jak najwięcej o bohaterach swoich powiedzieć, ale koniec końców przedstawia nam ich urywkowo tylko, nie daje nam historyi ich umysłu i serca, ale fragmenta, że tak powiem, statystyczne. W końcu występuje nawet z roli, i ostatnią scenę, jedną z najlepszych, w której się rozstrzygają losy bohaterów, musi opowiedzieć na wzór wszystkich powieściopisarzy, jako nieobecny, ale wszechwiedzący obserwator — z głębi swojej wyobraźni. To

wypadnięcie z roli psuje harmonię całości, i robi uszczerbek w kompozycyi.

Opowiadanie całe trzymane jest w tonie trzeźwym, chłodnym, niemal sprawozdawczym; a wierność w relacyi zdarzeń posunięta do tego stopnia, że dosyć długie nawet rozmowy podawane są w języku francuskim, jeżeli w nim były prowadzone, z odcieniami nawet dyalektycznymi. Zachwytów, uniesień, poetycznych opisów niema tu wcale; refleksyj nawet własnych autora prócz tych, jakie w rozmowie z „Rakiem“ wypowiada, brak zupełnie; jest to rys stanowczo odróżniający dawne powieści Kaczkowskiego z epoki współczesnej od utworu, o którym mowa.

Życie, jakie autor przedstawił, nie ma nic prawie wspólnego z tem, które stanowi zwykły temat powieści naszych. Jesteśmy prawie ciągle wśród sfer arystokratycznych dawnego i nowego pokroju; dyplomaci, jenerałowie, ekscelencye, bankierzy przesuwają sią przed naszemi oczyma, czasami tylko ustępując miejsca mieszczaninowi paryskiemu i jego żonie, albo wojskowemu niższej rangi, który zapomniał po polsku, a po francusku się nie nauczył.

Polacy, tu występujący, przedstawiają się jako na pół albo zupełnie wynarodowieni; myśli ich i dążności są ogólno europejskie, nie mając w sobie żadnej cechy odrębnej. Wyjątek stanowi młody Raczek i ojciec „Grafa Raka“, w którym autor dał nam poznać dawnego znajomego z jego poprzednich powieści, tj. człowieka zacnego, rubasznego, trochę zabobonnego, nie cierpiącego zagranicy i lubiącego wychodzić z trudności sztuką krzyżową.

Jeżeli teraz zsumujemy wszystkie wrażenia, jakich doznajemy, czytając „Grafa Raka“, i jeżeli je porównamy z temi, które z dawniejszych powieści, malujących epokę współczesną, na nas działały: to nie trudno będzie spostrzedz znaczną pomiędzy niemi różnicę. Wprawdzie jak tu tak i tam jest jakaś ogólna tendencya, nadająca utworowi artystycznemu pewne znaczenie publicystyczne; wprawdzie tak tu jak i tam ludzie są przeważnie argumentami dla dowiedzenia tezy, a nie istotami żyjącemi same przez się w całem bogactwie (lub ubóstwie) natury swojej; — ale w dawniejszych powieściach autor siedzący wśród społeczeństwa swego brał pod rozwagę objawy grup całych, gdy tymczasem w utworze obecnym

zastanawia się nad wypadkiem pojedyńczym, nad *jednostkami* w ścisłem znaczeniu wyrazu; boć taki Rak nie przedstawia nam jakiegoś ogólnego typu Polaków żyjących za granicą, ale jest indywiduum, które wśród szczególnych jedynie okoliczności wykształcić się mogło. Jeżeli dawniejsze powieści były patologią społeczeństwa, to ta jest patologią jednostek. Z tego punktu patrząc na ten utwór, nie będziemy się nawet sprzeczali o to, czy Kaczkowski właściwą nadał rolę zwolennika nauk przyrodniczych człowiekowi już w wieku, który wykształcenie swoje ukończył dawno przed rokiem 1860; bo chociaż ruch przyrodniczy na ogół nasz mianowicie, dopiero około tego czasu działać zaczął, to jednostki mogły się nim zajmować o wiele wcześniej. Z tego też punktu „Graf Rak“, nie stanowiąc artystycznie pięknej całości, zasługuje na uwagę jako popularny rozbiór kwestyj bardzo pobieżnie i nadzwyczaj powierzchownie w beletrystyce naszej uwzględnianych, choć one, wpływając na umysły współczesnych, wyrabiają w narodzie powoli nowe postaci, zasługujące na odtworzenie w sztuce. „Graf Rak“, chociaż nie zadowolni poczucia estetycznego, chociaż podjętej kwestyi nie rozwiązuje, może jednak w umyśle czytelnika wiele, bardzo wiele myśli obudzić, a to jest podług Montesquieu'go niemałą zaletą książki...

W pięć lat potem ogłosił Kaczkowski satyrę polityczno-społeczną p. n. „Teka Nieczui. Posłanie Imć Pana Nieczui do Małych Polaków i Czerwonych Rusinów, a które też i Wielcy Polacy na czas sobie czytać mogą, dla zbudowania i krotochwili“. (Tom I, Paryż, 1883, str. 304). Wrócił tu znowuż nasz autor do formy Nieczujowego opowiadania, którą dawniej władał tak znakomicie, ale swego Imć Pana Marcina podkształcił jeszcze więcej, niż to było w ostatnich powieściach chwili poprzedniej. I nic w tem niema dziwnego. Nieczuja nie przemawia tu już do nas z tego, ale z tamtego świata, gdzie żyje i rozmawia z najznakomitszymi mężami XVIII. i XIX. stulecia: Krasickim, Kołłątajem, Niemcewiczem, Koźmianem, Mickiewiczem, Lelewelem i wielu, wielu innymi, którzy gorąco kochając ojczyznę, bardzo pilnie przypatrują się temu, co się tam dzieje na ziemi i o wszystkich sprawach ważniejszych szerokie z sobą toczą rozprawy. Nieczuja, jako był człek ciekawy zawsze, tak też i w raju wielce uważnie przysłuchuje się naradom tylu głów senatorskich albo i lepszych niż sena-

torskie. Więc oczywiście, bawiąc w tak dobranem gronie, nabrał i lepszego niż dawniej rozumienia rzeczy i głębszego nad każdą zastanowienia. A mimo to nie chce on sam bezpośrednio zabierać głosu w sprawach ważnych, lecz tylko pragnie być sprawozdawcą z tego, co widział i słyszał; spisuje więc dokładny raptularz z kilku posiedzeń, na których owi sławni mężowie roztrząsali położenie Galicyi od czasów konstytucyjnych, a zwłaszcza też zachowanie się stronnictwa krakowskiego, Stańczykami przezwanego. Teka Nieczui jest jakoby równoważnikiem teki Stańczyka.

Jak widzimy, forma obmyślona przez Kaczkowskiego do przeprowadzenia gruntownej krytyki polityczno-społecznej była nadzwyczaj wdzięczna dla człowieka z talentem; usuwając bowiem suchość zwykłego rozumowania, nadawała ruch i rozmaitość, wprowadzała niemal akcyę w sferę roztrząsań, a przytem dozwalała malowniczemi opisy miejscowości i osób dostarczać karmi wyobraźni. I nie można powiedzieć, żeby Kaczkowski nie wyzyskał tak szczęśliwie obranej formy. Teka Nieczui czyta się z zajęciem wielkiem prawie jak powieść; a są w niej obrazy tak wspaniałe i piękne, że równych im mało jest w naszej literaturze. Całość atoli nie robi na czytelniku prawdziwie artystycznego wrażenia; znajdują się w niej bowiem cząstki nieskładne i niesforne, które ją paczą a nawet w niektórych miejscach rozbijają. Wprowadzając na scenę osobistości znane z historyi, potrzeba było koniecznie zachować ściśle znany ich, a ostatecznie na ziemi wyrobiony charakter; potrzeba im było takie tylko w usta wkładać słowa, jakie się z ich przekonaniami, które za życia poznać dali, zgadzają. A tymczasem Kaczkowski bardzo sobie dowolnie pod tym względem postąpił. O wierną charakterystykę wielkich postaci, które wprowadził, niewiele się troszczył, a co do ich poglądów, to niekiedy przyznawał im takie, jakich oni nigdy nie głosili, bo były ich usposobieniu i przekonaniom przeciwne. Nic tu nie nada tłómaczenie, iż w tamtem życiu zmienić się mogli, bo to byłaby fantastyka całkiem w poważnem dziele niewłaściwa. I sama miejscowość, w której osoby owe rozprawiają, nie ma ściśle oznaczonego charakteru; stąd też i zmiany tam zachodzące wydają się zupełnie dowolnym a nawet kapryśnym wymysłem autora.

Tyle co do formy, a co do treści, to spotykamy znane

już nam poglądy Kaczkowskiego, zastosowane do tych okoliczności politycznych, wśród których znajdowała się Galicya. Jako wróg oligarchii, bardzo surowo osądził Stańczyków wogóle i poszczególe, zarzucając im, bez obwijania w bawełnę, iż gwoli własnym interesom, dopuścili się podczas wojny wschodniej r. 1876—1878 denuncyacyi względem własnego społeczeństwa. Jako gorący patryota potępił działalność Zmartwychwstańców, przekładających interesa władzy kościelnej nad sprawy i dobro kraju. Jako obywatel pragnący wszystkie siły zaprządz do pracy wspólnej, krytykuje postępowanie Polaków z Rusinami w Galicyi, a za jedyny środek zażegnania burz przyszłych podaje przyznanie Rusi tych wszystkich praw, które Polacy posiadają, kładąc bardzo silny nacisk na konieczność innego, serdeczniejszego zachowania się szlachty względem ludu ruskiego. Jako realista postępowy uważa wywieszenie u nas sztandaru zachowawczego za bezsens, bo to, co jest do zachowania na prawdę, to jest język, ziemię i wiarę ojców, zachowuje jak kto może, najmniej zaś dzisiejsi konserwatyści, co język kaleczą, wiarę udają a ziemię sprzedają: niedbalstwo zaś tradycyjne, lenistwo, ciemnotę ludu, niegospodarstwo, próżność rodową, niezdatność do handlu, nieudolność w przemyśle — to wszystko nie konserwować, ale wykorzeniać coprędzej należy.

Autor obiecał, że w miarę potrzeby dalsze tomy Teki wydawać będzie; ale za życia nie ogłosił ich wcale: podobno jednak wygotował tom drugi; zabrał natomiast głos w kwestyi literackiej i sam wrócił do tworzenia powieści historycznych.

W r. 1884, gdy powieść Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“ wyszła w osobnej odbitce, Kaczkowski w szeregu listów do A. Z. napisał bardzo obszerne i bardzo szczegółowe nad nią uwagi. Pod względem objętości przypominała ta praca młodzieńczy list tegoż autora o „Deotymie w Krakowie“, ale pod względem nastroju była od niego całkiem odmienna. Gdy w owym liście sypał hiperboliczne pochwały, tu mówiąc ze szczerem, ale rozważnem uznaniem o znakomitym talencie młodego powieściopisarza, wytykał równocześnie wielkie wady zarówno w pomniejszych jego nowelach jak i w „powieści z dawnych lat“. Nie na miejscu by tu było powtarzanie zarzutów szczegółowych co do układu, opisów i charakterów,

ale niepodobna nie wspomnieć o zarzucie ogólnym. Największym błędem powieści „Ogniem i mieczem“ jest, zdaniem Kaczkowskiego, brak w niej myśli dziejowej; ciało historyi odtworzone tu zostało pięknie, niekiedy wspaniale, ale ducha w niem niema. Uzasadniając doniosłość tego zarzutu, Kaczkowski uogólnia swe wymagania od powieściopisarza historycznego w słowach następujących [1]).

„Zapewnie, że nie każdemu jest dane, kto wziął pióro lub pędzel do ręki, objąć całą ideę dziejową i ożywić jej duchem obraz przedstawionej epoki; ale zawsze mamy prawo wymagać, abyśmy widzieli przynajmniej usiłowanie, ażebyśmy przynajmniej spostrzegli zrozumienie najwyższej dla historycznego powieściopisarstwa zasady, a zasadą tą jest: iż właściwem zadaniem historycznego poety nie jest to, ażeby tę lub ową dobę dziejową w jej odosobnieniu wiernie odtworzył, ale przeciwnie, aby przedstawił, jak duch dziejowy, jak gieniusz narodu się w danej epoce i w danych wypadkach wyraził. Jednem słowem dziejowa myśl powinna być celem, a epoka środkiem, a nie odwrotnie. Takie pojęcie zadania poety, pracującego na polu historyi, jest bezwątpienia nowszych czasów nabytkiem. Wiek dziewiętnasty ducha dziejów tak dobrze odsłonił, jak archeologowie powygrzebywali guziki i sprzączki najdawniejszych kaftanów rycerskich. Dzisiaj też słusznie się wymaga od powieściopisarzy historycznych odtworzenia przedewszystkiem ducha dziejów, a obraną przez nich epokę uważa się tylko jako miejsce i środek, w którym i zapomocą którego ten duch ma się wyobrazić przed nami. Przed laty trzydziestu pojęcia te znajdowały się jeszcze zaledwie w stanie przeczucia, lecz dzisiaj stały się już udziałem umiejętnej krytyki u wszystkich oświeconych narodów; dowiedlibyśmy zatem tylko, iż nie dotrzymujemy kroku postępowi oświaty ogólnej, gdybyśmy ich nie uczynili także naszą własnością“.

Takie względem innych stawiając wymagania, usprawiedliwiał się Kaczkowski ubocznie z braków powieści swych dawniejszych, ale zarazem poddawał się ciężkim warunkom na wypadek, gdyby się napowrót wziął do uprawy tej niwy od tak dawna przez siebie zarzuconej. Jakoż wieść, iż Kaczkowski pisze powieść z czasów Jana Sobieskiego obudziła

[1]) Zob. „Wędrowiec“, 1884, Nr. 42.

wśród inteligencyi bardzo poważne zainteresowanie, gdyż każdy był ciekaw, czy i o ile krytyk Sienkiewicza uczynił zadość wielkiemu zadaniu, które powieściopisarstwu historycznemu naznaczył.

Gdy się oczekiwany ciekawie „Abraham Kitaj“ (1886) drukować zaczął, nie potrafił zająć uwagi czytelników w takim stopniu, w jakim interesowały powieści Sienkiewicza; nie można w nim było odnaleźć ani tej plastyki charakterów, ani tej barwności kolorytu, ani tych szczegółów zajmujących, co w utworach Litwosa, a tok opowiadania bywał niekiedy nudnie kronikarskim. Wybrawszy temat opowieści z tej chwili dziejowej, w której Polacy poraz ostatni za bytu Rzeczypospolitej zabłysnęli wielkim czynem dziejowym na widowni europejskiej, gromiąc Turków pod Wiedniem, nie mógł oczywiście autor pominąć faktu tego milczeniem, ale zamiast użyć całego swego talentu na jego zobrazowanie, wolał go przedstawić sucho i bezbarwnie, topiąc go tym sposobem w morzu drobiazgów życia rodzinnego i towarzyskiego. Tym sposobem ominął samochcąc sposobność ujęcia sobie czytelników, za pośrednictwem przemówienia do ich serc i wyobraźni wspomnieniem świetnych czynów przeszłości.

Ale tu właśnie nasuwa się pytanie, czy Kaczkowski nie zrobił tego umyślnie. Wszak nie wszystko, co jest poczytne i popularne, już przez to samo za doskonałe uznane być winno; wszak nie wszystko, za czem ogół przepada, na uczczenie głębszej uwagi zasługuje. Może autorowi chodziło o dokonanie zadania donioślejszego niż rozciekawienie czytelników lub schlebianie ich upodobaniom?... Może w myśl swojej teoryi powieściopisarstwa historycznego pragnął przedstawić przedewszystkiem ducha dziejów z całą możliwą dokładnością, a chcąc tego dopełnić, nie mógł opisowi wiktoryi wiedeńskiej nadać większego znaczenia, niż je miała w rzeczywistości?

Jakoż jeżeli z tego punktu widzenia rozejrzymy się w „Abrahamie Kitaju“; to nas owo kronikarskie przedstawienie zwycięstwa pod Wiedniem razić już tak bardzo nie będzie. Zwycięstwo to jak meteor zalśniło na chmurnem niebie Rzeczypospolitej, ale ani chmur, coraz większymi zastępami zbierających się, nie rozproszyło, ani tem bardziej słońca lepszej przyszłości nie ukazało. Ani przez króla ani przez naród nie było ono wyzyskane pod względem politycznym, ani zewnę-

trznie, co do stanowiska Rzeczypospolitej wobec potęg europejskich, ani wewnętrznie co do urządzenia skarbu, wojska i wymiaru sprawiedliwości. Jak przed niem, tak po niem Polska była już czemś bardzo mało znaczącem w Europie, a we wnętrzu swojem też same miała czynniki rozstroju, tylko że się one z każdym lat dziesiątkiem powiększały. Gdyby Kaczkowski uczynił był zwycięstwo wiedeńskie środkowym punktem powieści, to niewątpliwie mógłby artystycznie podnieść ją znacznie, a przytem połechtałby przyjemnie uczucie dumy narodowej; aleby się był minął z prawdą historyczną i nie odtworzyłby owego ducha dziejów, co za przedniejsze zadanie utworu takiego poczytywał. W niczem nie ujmując doniosłości samemu faktowi, wolał jednak obok niego postawić dalsze trzy niepomyślne wyprawy przeciwko Turkom z jednej strony, a z drugiej odmalować rozmaite choroby, na które Rzeczpospolita cierpiała. Obok dzielności i odwagi w boju, obok szlachetności charakterów, przedstawił więc niekarność, prywatę, samowolę, nieradność społeczeństwa, a przedewszystkiem słabość siły wykonawczej, która sprawiała, że postanowienia i wyroki były przedmiotem naigrawania się większych i mniejszych łotrzyków.

Na tak zrozumianem tle czasu, daje się dopiero należycie zrozumieć awanturnicza historya Abrahama Kitaja.

Ten mieszaniec z ojca Polaka, matki Węgierki, ochrzczony Abrahamem, na pamiątkę oszukaństwa ze strony teścia względem zięcia, wychowany po śmierci rodziców przez kasztelana Fredrę, już młodzieńcem zdradzał namiętne a burzliwe usposobienie, kiedy się puszczał w zaloty do żony swego opiekuna. Rozstawszy się z nim, przebył szkołę życia w rozmaitych okolicach kraju i zagranicy, wyćwiczył się w rzemiośle wojennem, wypolerował w formach towarzyskich, nauczył się mówić kilkoma językami, wygimnastykował umysł, nabył takiej zręczności i układności, że gdy tylko chciał, potrafił nawet najrozważniejszych wywieść w pole i przychylnie dla siebie usposobić... Wędzidła religijne i moralne pozrywał, w Boga nie wierzył a za jedyne prawo etyczne poczytywał siłę i własne zachcianki. A miał tych zachcianek sporo, gdyż pragnął, ażeby wszyscy i wszystko według jego woli się układało. W wyprawie wiedeńskiej wziął udział, i zaraz w pierwszem natarciu tak się odznaczył, iż zwrócił na siebie uwagę króla,

nie tem, żeby karnością celował, bo przeciwko niej zgrzeszył ale tem, że się na niebezpieczeństwo rzucił z lwią odwagą. Miał on już po odniesionem zwycięstwie ułożony plan połączenia się z Węgrami i natarcia na Niemców, chciał plan ten osobiście królowi przedstawić, ale gdy go kasztelan Fredro do Sobieskiego nie dopuścił, zawrzał gniewem i okazał niebawem, że gotów działać na własną rękę. W nieszczęśliwej bitwie pod Parkanami, gdy inni uciekali, i on uciekał także; ale na wspomnienie, ażeby pozostał przy królu, odpowiedział wobec Jana III., że gdy króla zabiją, to Polacy wybiorą sobie innego, a gdy jego samego zabiją, to go król nie wskrzesi — i sunął dalej. Nie myślał on jednakże jeszcze opuszczać obozu polskiego, ale gdy zwierzchnik zwlókł odpowiedź na jego pytanie, czy może wrócić pod chorągiew, oddał się całkiem pomysłom swojej fantazyi. W drugiej zwycięskiej bitwie pod Parkanami już udziału nie wziął, a zebrawszy obfite łupy, o które zawsze nadzwyczaj chciwie się ubiegał, pociągnął do kraju. Na granicy Węgier i Polski stoczył w obronie swych łupów utarczkę z bandą rozbójników, herszta ich, żyda Wulfa powiesił, a osiadłszy w swym majątku, zaczął się rozglądać po sąsiedztwie, starając się przedewszystkiem afekt Krzysi Borawskiej, narzeczonej swego brata, który dostał się do niewoli tureckiej, ku sobie zwrócić i znacznym jej posagiem fortunę swoją podeprzeć. Tak zręcznie i tak umiejętnie sprawą tą się zajął, że zjednał sobie ze wszystkiem i Krzysię i jej matkę, a nawet jej ojca odludka, który rojąc reformy Rzeczypospolitej, nie rymujące z usposobieniem braci szlachty, za waryata był przez nią podawany. Przed matką, córką, roztaczał swoje bogactwa, czem ujmował ich oczy i wyobraźnię, oraz znajomość świata i układność towarzyską, czem podbijał ich serca. Wobec ojca rozwijał poglądy, jakby z głowy Borawskiego wyjęte, wykazując potrzebę uczynienia z ludu polskiego potęgi politycznej, którąby można było przeciwstawić samolubnej i niekarnej szlachcie i tym sposobem dojść do utrwalenia rządu silnego. I byłby osiągnął cel swój łatwo, bo już wszyscy uważali jego brata za przepadłego, a Krzysia całą duszą lgnęła ku niemu, gdyby nie ta niesforna fantazya, która go unosiła niekiedy poza granice przez rozum wytknięte. Raz zachciało mu się wobec Borawskiego usprawiedliwić opryszków przez postawienie na równi ich grabieży z postępowa-

niem rycerzy na wojnie, a wyciągnięty przez swego rozmówcę na słowa, przyznał się, że w Boga nie wierzy, i że za jedyne prawo uważa siłę. Wtedy odludek, który nie był wprawdzie religiantem i ze świętych podżartowywał nawet potrosze, ale który wiarę w Opatrzność i w moc zasad moralnych uważał za fundament uspołecznienia, odnalazł w sobie duży zapas energii i nietylko odprawił przewrotnego Abrahama ze swego zacisza, ale nadto powrócił do dawno opuszczonego dworu, gdzie żona z córką przebywały. Postawił straż i nie dozwolił przestąpić wrót swoich temu, co miał się niebawem z jego Krzysią małżeństwem połączyć. A gdy brat Abrahama Rafał potrafił uciec z niewoli i przybył do kraju, zakrzątnął się coprędzej Borawski, by Krzysia wyszła za niego.

Zakipiała wtedy krew w Kitaju i pobudziła do zerwania ze społeczeństwem uczciwem. Już on i dawniej miał bandę z rozmaitych włóczęgów złożoną, z którą łotrował po Węgrzech, ale teraz ją zwiększył, werbując do niej nawet szlachtę chodaczkową i zaczął palić wsie i miasteczka, ażeby się zemścić na tych, co mu byli wstrętni lub też z łupów nagromadzić takie bogactwa, któreby mu starczyły na utrzymanie poważnej siły zbrojnej i zapewnienie sobie tym sposobem bezkarności.

Wobec takiego szlacheckiego opryszka okazuje się w całej smutnej okazałości bezradność społeczeństwa i niemoc urzędu. Napróżno kasztelan Fredro zbiera szlachtę, by obmyśliła środki zapobieżenia dalszym pożogom i rabunkom; za środkami takimi są ci jedynie, w sąsiedztwie których najbliższem zdarzyły się owe klęski; inni zaś dalej mieszkający nietylko o zebraniu siły zbrojnej nie myślą, ale jeszcze przedrwiwają zbyt wielką płochliwość kasztelana. Gdy zaś przekonano się, że sprawcą nieszczęścia jest Abraham Kitaj, to tylko mała garsteczka ludzi z różnych powodów, najczęściej osobistych, nieprzyjaźnie względem niego usposobiona, myśli o pozbyciu się łotra i oddaniu go w ręce sprawiedliwości. Gdy wskutek zeznania samego króla o obrazie majestatu przez Abrahama, został wyjęty z pod prawa ten, co praw nie szanował, wyrok pozostał tylko wyrokiem, z którego Kitaj się naigrawał. Ogół szlachty nie myślał o ściganiu brata szlachcica, w obawie utraty swojej złotej wolności. Trzeba szczęśliwego wypadku na to, żeby Abraham został schwytany, gdy w zameczku gra-

nicznym podstępnie zdobytym kapitan Mleczko, który z Kitajem oddawna miał na pieńku, beczułkę prochu zapalił. Związany, odstawiony do starosty sanockiego, który miał także złość do Kitaja za szpetne pokiereszowanie mu syna, już ma być stracony, ale i tu się okazuje nieudolność w wymiarze kary. Skutkiem braku dozoru i niekarności służby zamkowej, Abraham z więzienia wychodzi sobie swobodnie przy pomocy swej bandy, a kat ścina głowę jakiemuś żydowi.

I na kilka lat niknie nawet wieść o Abrahamie. Nie próżnował on jednak. Udał się na Mołdawię i tam po swojemu politykę traktował. Gdy Sobieski odbywał wyprawę wołoską, celem zdobycia tronu dla królewicza Jakóba, znalazł się Kitaj na tyłach wojska polskiego, hetmaniąc uzbrojonemu oddziałowi; nie zależąc od nikogo, oddawał on niemałe usługi wojsku, gdyż dzielnie prażył Tatarów, ale też dbał o swoje interesa, bo niemniej dzielnie łupieżył. Zdawało się, że Kitaj chciał się owemi usługami zrehabilitować w oczach szlachty, boć to nie był rozbójnik zwyczajny, tylko szlachcic z gorącą fantazyą. Już król zwrócił uwagę na niego, i już się Abraham zbliżał do króla, ale zawsze po swojemu z butą i obcesowo, gdy mu znów jak po zwycięstwie wiedeńskiem kasztelan Fredro stanął na zawadzie, powiadając mu, żeby odesłał swą asystencyę i wprzód się opowiedział komu należy, ażeby posłuchanie u króla uzyskać. Niecierpliwy Abraham buchnął obraźliwą przymówką i nastąpił pojedynek; Kitaj zginął nie od miecza, ale z ręki tego, któremu młodzieńcem chciał żonę zbałamucić. Był to przodek tego niespokojnego ducha, „Mężem szalonym“ przezwanego, którego dzieje Kaczkowski dawniej w formie Nieczujowego opowiadania rozwinął.

Taki to okaz rozbujałego indywidualizmu i nieokiełznanej swobody wysunął Kaczkowski na plan pierwszy swego utworu, ażeby uwydatnić ten najsilniejszy pierwiastek rozkładowy, jaki się we wnętrzu Rzeczypospolitej znajdował. Wobec tego zgubnego pierwiastku, inne z dobrych i wpływowych stają się obojętnymi, w działaniu swem nieskutecznymi. A jest ich niemało, bo powieściopisarz chciał wszechstronnie obraną przez siebie chwilę dziejową odmalować.

Jest tu Sobieski, żołnierz nie mający sobie równego w swoim czasie, wódz znamienity, a często nawet miewający pomysły natchnione, ale nieudolny mąż stanu, czasem zręczny

w kabałach, ale nie posiadający ani umiejętności badania przyczyn, ani daru przewidywania odległych wypadków, ani stałości w raz powziętych zapatrywaniach, do tego próżen wszelkiej organizatorskiej zdolności!

Jest tu Borawski, człowiek z umysłem jasnym i głębokim, który widział dokładnie złe nurtujące w Rzeczypospolitej i podawał zbawienne środki do zapobieżenia mu, środki takie, jakie statyści wieku XVIII. wygłosili następnie, ale będąc w poglądach swoich osamotnionym, ogłoszony za waryata, nie oddziaływał na ogół i tylko w rozmowach prywatnych opinię swoją wypowiadał.

Jest tu i szlachcic-rycerz, Rafał Kitajgrodzki, który może być uważany za przedstawiciela młodzieży szlacheckiej, bijący się dzielnie, nie myślący wiele, nie dbający o wygody, ale też nie pragnący żadnych zmian w ustroju Rzeczypospolitej. Gdy za młodu trochę sobie krwi upuści, osiada na roli, gospodaruje i staje się potem podobnym do Fredry, dobrego człowieka, dobrego sąsiada, powolnego królowi, gdzie idzie o sprawy kraju, ale nie garnącego się ku niemu z własnej chęci i o reformach nie myślącego.

Jest tu jeszcze jeden młodzieniec szlachecki należący do rodzaju domatorów, co lubią wygódki i chętniej jeżdżą karetami niż wierzchem, co na wyprawy wojenne się nie kwapią, lubo ostatecznie do wojenki wstrętu wielkiego nie czują, i gdy już koniecznie potrzeba, to się bić będą odważnie. Jego ojciec, starosta sanocki, lubi hulać i weselić się, a urzędu swego niezbyt pilnować. Gdy mu dokucza podagra, sprasza dwunastu bernardynów, i każe im śpiewać pieśni nabożne, a przytem pić wino, przekonany jest bowiem, że jak bernardyni, naśpiewawszy się, nalawszy winem, już chodzić nie będą mogli, to on wtedy wstanie i rzeźwo się rozrusza, jakby podagry nie miał nigdy.

Jest i biskup i władyka, jest kapitan zameczku granicznego, i kilku sług starych szlacheckich, są żydzi, jest kozak; słowem jest taka obfitość osób i sytuacyj możliwych, że gdyby Kaczkowski chciał był wszystkie należycie rozwinąć, treści wystarczyłoby mu na parę dużych tomów. Ale powieściopisarz wolał być zwięzłym, by tem wydatniej owa myśl dziejowa tj. smutny stan Rzeczypospolitej w końcu wieku XVII. wystąpiła na jaśnią. Pomylił się. Gdyby był artystycznie swe

zadanie rozwinął; gdyby był wprowadzone osoby i zdarzenia nie po kronikarsku zbywał, ale je malował naprawdę: to wówczas myśl dziejowa, którą chciał wyrazić, daleko widomiej niż obecnie stanęłaby przed wyobraźnią i rozumem czytelnika, tak ze autor nie potrzebowałby w epilogu pisać do niej komentarza. Komentarz to dobry i rozumny, ale w utworze artystycznym mniej właściwy.

Co się tyczy języka i stylu, to Kaczkowski ściśle wykonywał to, co w krytyce Sienkiewicza jako wymaganie postawił. Powiedział on tam słowa następne: „Mnie się zdaje, że odtwarzanie języka wieku w tekscie powieści nietylko nie jest potrzebnem, bo przecież dzisiejszym językiem można daleko dokładniej opowiedzieć, jak się te rzeczy działy i wyglądały, niżeli niedostatecznie wyrobionym językiem dawniejszych wieków, ale jest także zasadniczo niedopuszczalnem, bo w takim razie powieść z tych wieków, które nie pozostawiły po sobie pomników językowych, byłaby niemożebna, kiedy tymczasem pewnie nikt nie zaprzeczy, iż może się zjawić pisarz, który doskonałą powieść napisze z czasów Bolesławowskich lub Kaźmierzowskich. Język współczesny wiekowi może w opowiadaniu tekstu tylko tam być użytym, gdzie ten tekst opowiada człowiek wiekowi współczesny. Natomiast koniecznością jest odtwarzać język wieku w dyalogach, o ile jest to możebne, bo inaczej w prawdopodobieństwo tych dyalogów trudnoby było uwierzyć“. Jest maleńka wprawdzie sprzeczność w argumentowaniu powieściopisarza, ale nie podnosząc jej, należy stwierdzić fakt, że „Abraham Kitaj“ pisany jest wogóle językiem właściwym Kaczkowskiemu, z bardzo rozważnem użyciem archaistycznego ubarwienia, że rozmowy są charakterystyczne zarówno w języku jak i w stylu, ale zarazem dodać, że w rozmowach tych tak samo pragnęlibyśmy widzieć więcej barwności, jak w opowiadaniu zdarzeń więcej artyzmu.

Wkrótce po „Abrahamie Kitaju“ wyszła ostatnia i najznakomitsza powieść historyczna Kaczkowskiego: „Olbrachtowi rycerze“ (1889, Lwów, trzy tomy).

Temat wziął tu sobie nader trudny; obyczaje bowiem, stosunki towarzyskie, pojęcia ludzi, pobudki ich czynów przy końcu XV. wieku, jako dalsze od naszej doby, są tem samem trudniejsze do zrozumienia i odtworzenia, aniżeli analogiczne

fakta z XVII. stulecia. I studyów ku temu potrzeba mozolniejszych i większego doświadczenia życiowego i większej znajomości ludzi i interesów, i wyobraźni nawet silniejszej, ażeby z drobnych stosunkowo śladów odtworzyć żywy obraz uczuć, poglądów i działań tak różnych od naszych. Niejeden fakt z dziejów literatury nowożytnej przytoczyćby można ku stwierdzeniu tej prawdy, że pisarze, którzy doskonale malowali wiek nam bliższy, np. XVIII., stracili większą część swych zalet pisarskich, gdy się brali do przedstawienia epok odległych; dość wspomnieć w tej mierze próby Rzewuskiego i Kraszewskiego.

Kaczkowski miał czas obmyśleć wszechstronnie obrany przez siebie przedmiot, bo jeszcze w pierwszej dobie swojej twórczości robił studya nad czasami Olbrachta w zamiarze utworzenia powieści z tej epoki. Naturalnie, dalsze jego losy i zajęcia nie pozwoliły mu studyów tych ciągnąć systematycznie, lecz prawdopodobnie idea sama utworu osnutego na tle czasów Olbrachtowych, nieraz musiała się zjawiać w jego umyśle, pobudzając go do rozwagi, co i jak miał w nim przedstawić. A gdy po raz drugi wrócił na pole powieściopisarstwa, i gdy mu ponownie przyszła ochota urzeczywistnienia dawnego zamiaru, potrzebował już tylko uzupełnić swą znajomość dziejów przeczytaniem nowych materyałów, które się w przeciągu ostatnich trzydziestu lat ukazały, potrzebował usystematyzować poszczególne pomysły i nadać im artystyczne kształty.

A w ciągu tego długiego lat szeregu, od czasu kiedy w duszy autora pojawiła się pierwsza myśl skreślenia powieści i kiedy ostatecznie miała być wykonaną, zgarnął on takie zasoby doświadczenia, ukształcił tak umysł, już i poprzednio bogaty w wiedzę, że mógł się odważyć na wykonanie trudnego zadania z pewną otuchą powodzenia.

Ale czy mu wyobraźnia będzie posłuszną? Czy myśl i rozwaga nie zaszkodzą świeżości i barwności obrazu, jak to się stało w „Grafie Raku“, a w znacznej części i w „Abrahamie Kitaju“? Zapewne, zapału i werwy dawniejszej już nie odzyszcze; lata nie napróżno uniosły z sobą młodość i jej przymioty; niektóre części utworu stracą na tem niewątpliwie; lecz czyż bogactwo wychłódłej trochę wyobraźni wzmocnione rozległym rozumem, nie wystarczy do stworzenia dzieła,

które miało za zadanie jak najbliżej trzymać się ziemi i być, ile możności, najwierniejszem odbiciem prawdy? Porywać, unosić, nawet żywo zainteresować przeciętnego ogółu czytelników autor nie zamierzał, ale tylko barwnie, malowniczo, plastycznie starać się zbliżyć przed oczy współczesnych obraz cywilizacyi polskiej w różnych warstwach społeczeństwa i na różnym stopniu rozwoju w końcu wieku XV.

I zamiar ten udał mu się w zupełności: „Olbrachtowi rycerze“ — to nie powieść, któraby rozgorączkować mogła, którąby pochłaniać potrzeba, ale śmiało twierdzić można, że niema w literaturze naszej drugiego beletrystycznego utworu, któryby w tym stopniu różnorodność objawów jakiejkolwiek doby w dziejach naszych plastycznie przedstawił jak ona. Porównany z nią *pod tym względem* „Listopad“ Rzewuskiego okaże się ubogim i jednostronnym, chociaż wiadomo, że z naszych powieści historycznych on najwielostronniej jeszcze cywilizacyę naszą z końca XVIII. wieku maluje. Rzewuski nie wyczerpał głównych nawet czynników życia cywilizacyjnego, Kaczkowski zawarł je w „Olbrachtowych rycerzach“ prawie wszystkie, przedstawiając życie i warstw różnych i jednostek wybijających się nad tłumy, dając obrazy i codziennych wypadków i nadzwyczajnych zdarzeń, stosunków powszednich i dziwnie zawikłanych lub wyjątkowych, kreśląc usposobienia prozaiczne, marzycielskie, czynne, ospałe, przebiegłe, wyrachowane, natchnione i mistyczne. A jednak nie zrobił z tych obrazków panoramy tylko, lecz rzeczywistą całość artystyczną, związaną dość silnie dobrze osnutą intrygą powieściową, która pomimo całej nadzwyczajności swojej usprawiedliwiona jest i umotywowana psychologicznie na wszystkich niemal punktach.

Tą więzią, spajającą w całość artystyczną obrazy życia cywilizacyjnego w XV. wieku, jest silna wzajemna miłość dwojga niepospolitych, lecz w szczegółach swego charakteru, postępowania i losów czysto ludzkich istot: Wilczka i Jagienki.

Lenard Wilczek, starosta na zamku Tustań, właściwie Suchywilk, był to na początku powieści młodzian 26-letni, „pięknego wzrostu, ale nie nadto wysoki, a suchej kompleksyi, jak wszyscy jego przodkowie“: kość miał potężną, mięśnie mocne, „a taką sprawność w całej swojej postaci, że w pełnym rynsztunku wskoczyć na konia bez strzemion, albo się

wdrapać na najwyższy cypel wieży, było mu prawie zabawką; twarz także miał chudą, cerę zlekka smagławą, lecz zdrową, nos chrząstkowaty i równy, oczy wyraziste i zwykle bardzo łagodne, lecz czasem dziko błyszczące, wąs niewielki i bródkę przystrzyżoną śpiczasto; zaś swój włos ciemny, bogaty, nosił w kędziorach spadających na plecy, tylko nad czołem go krótko przystrzygał, ażeby w bitwie, gdzie często piersią o pierś trzeba się zetrzeć, jakiś wróg zapalczywy nie mógł go wziąć za czuprynę, co już dla knechta byłoby rzeczą bardzo szpetną, a dla rycerza wcale haniebną". Z usposobienia był popędliwy, porywczy, gwałtowny, więc dążył czemprędzej do postawienia na swojem, do usunięcia jakimkolwiek sposobem przeszkód, stojących mu na drodze; ale miał też w sobie rozwinięty potężnie pierwiastek uczuciowy, skłaniający go do częstej zadumy. „Czasem był cichy, spokojny i zamyślony, a ludzie jego zauważali, że wtedy z duchami rozmawia. W takie dni często wieczorami wykradał się z zamku i nikt nigdy nie wiedział, gdzie bywał... Lecz często głowę nosił wysoko, męczył swoich żołnierzy musztrami, konno i pieszo, kazał występować załodze w miasteczku, opatrywał mury i baszty, burczał wszystkich, tego i owego kazał wrzucić do turmy, a wtedy choćby kto był kasztelanem lub wojewodą, musiał mu zmilczeć, zwłaszcza na jego terytoryum, gdzie też miał juryzdykcyę". Był to słowem, jeden z tych bogatych, świetnie uposażonych pod względem fizycznym i duchowym, sangwinicznych temperamentów, które u nas najczęściej się spotykają. Nie jest to typ według dawnej terminologii estetycznej, ale wielce zindywidualizowany wizerunek typowego Polaka.

Jagienka była to sierota bardzo bogata, piękna, śmiała i energiczna, lecz mniej porywcza, rozważniejsza od Wilczka. Wychowanie klasztorne u panien klarysek uczyniło ją pobożną, ale nie dewotką, nie zraziło jej do świata, lubo go nie dało jej poznać. Zachwycona postacią i zachowaniem się Wilczka, którego poznała na zamku sobieńskim u opiekunów swoich Kmitów, powzięła dla niego miłość najgłębszą, połączoną z czcią niemal. Przez chwilę czuli się oboje szczęśliwi nad wyraz i sądzili, że im ta chwila w całe lata się przedłuży.

Omylili się srodze. Na zamku sobieńskim, kasztelanowa Kmicina była wszystkiem, kasztelan był tylko gębą do wypowiadania zdań o sprawach publicznych. Kasztelanowej Wil-

czek nie podobał się; chociaż więc domyślała się jego miłości dla Jagienki, udała, że jej nie dostrzegła i postępowaniem swojem, oraz ubocznemi napomknieniami sprawiła, że Wilczek nie śmiał złożyć otwartej deklaracyi o rękę ukochanej, ale pomyślał wprzódy o wyszukaniu sobie takiego swata, którego wstawieniu się kasztelanowa oprzećby się nie mogła; miał na myśli króla Olbrachta, wielkie okazującego mu względy. Wyjechał więc, aby do niego trafić, a tymczasem skorzystano z jego nieobecności.

Zjechała na Sobień kobieta „z piekła rodem“, przebiegła i przewrotna, żelaznej woli, i razem z kasztelanową ułożyły małżeństwo między Jagienką a Stanisławem Gniewoszem, serdecznym przyjacielem Wilczka, nie wiedzącym nic o uczuciach tegoż do Jagienki, bo się w tym czasie z sobą nie widzieli, ale mającym w sercu inną miłość, do czarującej mieszczanki z rodu szlacheckiego, pani Formozy, wydanej za Tygranesa Kijasa, syna bogatego kupca ormiańskiego we Lwowie. Ponieważ Tygranes, choć całą duszą do rycerskiego rwący się stanu, nie miał kanonicznie na męża wymaganego przymiotu: można się było wystarać o rozwód; Gniewosz tedy przysiągł Formozie miłość i był zdecydowany bądźcobądź dotrzymać słowa. Atoli o nadziei możności połączenia się z Formozą węzłem małżeńskim nie mógł przekonać matki, któraby zresztą i na to nie zważała, uprządłszy już wprzódy zamiar ożenienia go z Jagienką, bogatą i możnego rodu, z którą zmieszczaniona Formoza porównania wytrzymać nie mogła w jej wyobrażeniu. Znalazł się przytem na Wilczka taki zarzut, który i sumienie głównego opiekuna Jagienki, księdza Chryzostoma Kmity, człowieka ascetyzmowi oddanego i cudami słynącego, skłonił na stronę układów dwu matron: oto Wilczek uwiódł był przedtem Ofkę, córkę Rusina Biłowusa, mającego w charakterze wójta tytuł kniazia.

Dokonała się więc na zamku sobieńskim „średniowieczna tragedya“: dwoje osób z uczuciami w zupełnie odmienne strony zwróconemi, przysięgło sobie formalnie u ołtarza miłość i wiarę dozgonną pod naciskiem władzy rodzicielskiej i opiekuńczej. Jagienka wprost i wyraźnie oświadczyła przed swymi opiekunami, że idzie za Gniewosza z rozkazu a nie z dobrej woli, Gniewosz zaś postanowił w cichości duszy dochować przysięgi Formozie. Tak oboje znaleźli się obrzędowo wobec ludzi

i przepisów religijnych połączonymi, ale w rzeczywistości całkowicie rozdzielonymi. Z takiego stosunku wyniknęły dalsze następstwa.

Wilczka zawiadomić chciała Jagienka o przeznaczonym dla niej losie przed ostatecznym jeszcze krokiem, lecz wybrała posła fatalnie. Był nim obieżyświat dbający tylko o jedzenie i napitek, ksiądz Wara, który za dobrą nagrodę podjął się spełnienia niebezpiecznego zaniesienia listu do Lenarda, lecz mając za co pić, nie śpieszył się i wręczył Wilczkowi zawiadomienie o projektowanym ślubie wtedy dopiero, gdy tenże został już zawarty. Łatwo sobie wystawić wściekłość Wilczka przy jego porywczym temperamencie. Poleciał do księdza Chryzostoma, sądząc, że ten, co go pierwszy do swej pupilki forytował, poprze jego sprawę, ale tu został przyjęty chłodno; asceta wymówił się od dania mu pomocy, wyrzucając mu grzech względem Ofki popełniony. Nie grzech sam jednak był w jego przekonaniu powodem istotnym, ale ta okoliczność, że się rozgłosił. Zawiódłszy się na człowieku, na którego najwięcej liczył, Wilczek wpadł w rozpacz, a że podzielał przesądy swego stulecia jako w niem wychowany, pragnął zapisać duszę dyabłu, byleby tylko mógł osiągnąć cel jedyny pragnień swoich, połączenie z Jagienką. W mniemaniu jego dyabeł, w rzeczywistości sługa sprytny a dziwacznej postaci, zjawił mu się na jego zaklęcia i służył mu wiernie, zbieg zaś wypadków doprowadził do urzeczywistnienia marzeń najgorętszych.

Nastąpiła nieszczęśliwa wyprawa i klęska bukowińska. Wśród niej Gniewosz, który ciągle przemyśliwał nad sposobami uwolnienia siebie i Jagienki od narzuconych więzów, znalazł, jak się zdawało, najlepszy po temu środek. Potrafił wszystko urządzić tak, iżby go miano za umarłego, a chcąc i Wilczkowi dać możność sięgnięcia po rękę Jagienki, sprawił, że temuż właśnie dostał się testament przezeń uczyniony i połowa pierścienia mająca być znakiem dla rządcy zamku Czorsztyńskiego, na którym mieszkała Jagienka, ażeby przed oddawcą bramy otwarto. Uszczęśliwiony Wilczek popędził na Czorsztyn, za okazaniem pierścienia otrzymał wolne wejście, w rozmowach z Jagienką zapomniał o całym świecie, ale świat, reprezentowany tu głównie przez rządcę zamku, nie zapomniał o nim i o przystojności. Dano Jagience i Wilczkowi do

poznania, że ich stosunki bez uświęcenia przez władzę duchowną dłużej trwać nie mogą. Sądzono, że nie będzie w tem przeszkody żadnej; napotkano nieprzełamaną. Testament nie mógł być uważany za dokument świadczący napewno o śmierci Gniewosza; proboszcz najbliższy odmówił ślubu, udanie się Wilczka do władzy wyższej nie powiodło się; kazano czekać przepisanego przez kościół terminu. I znowu porywczość Wilczka pchnęła go na drogę, na której znalazł wprawdzie chwilę szczęścia, lecz niebawem — cios stanowczy i nieodparty. Ten sam obieżyświat, ksiądz Wara, który poprzednio tak fatalnie spełnił swe poselstwo, teraz podjął się dania ślubu. Wilczek i Jagienka zostali małżonkami; ale dawniejsi znajomi, a mianowicie kobiety, ślub ich uważali za podejrzany i stosunki z nimi zerwali. Na razie nie uczuli oni swego osamotnienia; wkrótce jednak świadomość opinii ludzkiej zatruwać zaczęła Wilczkowi chwile szczęścia, tem bardziej, że nie mógł nawet zgodnie ze swem usposobieniem z nikim się wyrąbać, bo nikt wyraźnie żadnej nie wyrządził obelgi, ani jemu ani jego żonie.

Tymczasem, gdy już dawno upłynął termin przez kościół przepisany względem nowych ślubów, Gniewosz zjawił się w kraju i załatwiwszy wszelkie przeszkody (staranie się o rozwód było niepotrzebne, gdyż Tygranes zginął na wojnie), odbył uroczyście ślub i wesele z Formozą. Wybierał się właśnie w odwiedziny do zamku Wilczków. Jagienka stała wtenczas z dzieciątkiem na ganku wieży. Gdy spostrzegła zdala Gniewosza, zachwiała się i runęła w przepaść. Żadne poszukiwania nie mogły nawet ciała jej wydostać.

Wilczek szalał z początku, potem się uspokoił, prowadził z księdzem Warą częste i długie rozmowy, a gdy wyrozumiał dostatecznie koleje swego losu, gdy przypomniał sobie oddanie się dyabłu i krzywdę Ofce wyrządzoną, rzekł raz do niego, gdy ten chcąc go pocieszyć, w młodości jego upatrywał jeszcze rękojmię szczęścia na przyszłość: „Jam młody, ale ten świat, ta piękna ziemia ze wszystkimi swymi darami już się na zawsze odwróciły odemnie... Ciało moje możeby jeszcze było sposobne do życia, ale tam (w duszy) noc się rozległa, tam już niema tego świętego płomienia, co ciałem porusza i prawa mu daje. Jestem bezwładny jak trup, boleść mi wszystką władzę wyżarła. Jakieżby u mnie jeszcze mogło

być życie! Jestem umierającym starcem w młodzieńczem ciele. Ze strachem kładę się do snu, bo we śnie najstraszliwsze mary się nademną wieszają, powykrzywiane twarze ze zwierzęcemi oczyma, pootwierane paszczęki bez zębów, z nich długie czerwone wyskakują języki i liżą mnie po policzkach, przyciskają mi swoje długie uszy do piersi, aby posłuchać, czy jeszcze serce w niej bije, kłują mnie w gardło swymi dyabelskimi rogami, ażeby tę resztę krwi ze mnie wypuścić. O Wara! nie życzę takiej jednej nocy mojemu najzawziętszemu wrogowi. A moja śliczna Jagienka nigdy mi się nie pokazała! Natomiast Ofka wciąż mi się jawi... Po takich nocach... wstaję rano jak z krzyża zdjęty, albo i gorzej, bo właśnie, jak gdyby mnie spuszczono z tortury. A kiedy już czuwam, jeszcze się nocne widzenia nademną wieszają. I potem już taki dzień cały! Do południa wspomnienia tych mar, co je przeszłej nocy widziałem, a od południa strach mnie bierze przed temi, które w przyszłej obaczę. A w ciągu całego dnia w głowie taka próżnia, że ani jednej myśli uchwycić nie mogę. W sercu się odzywają życzenia, ale czuję zarazem, że żadna ludzka potęga ich spełnić nie zdoła. I to jest życie? Niechże w nie raczej wszystkie pioruny uderzą! Nieznośnym ciężarem mi jest takie życie! Śmierci mi trzeba — i tylko śmierć mnie może wybawić!“

I to życzenie spełniło się całkowicie. Pioruny istotnie uderzyły w zamek tustański, a zarazem w Wilczka i Warę. „Z tego wszystkiego, co ludzka ręka stworzyła, leżały tylko prochy rumowisk na ziemi; gwałtownemu wybuchowi żywiołów tylko to się oparło, co zrodziła natura“.

Taki jest szkielet tej pięknej budowy, co ma napis „Olbrachtowi rycerze“. Ażeby dać poznać, jakie ciało pokrywa ten szkielet i jakim ono ożywione duchem, potrzebaby kilka co najmniej przytoczyć scen wspaniałych i skreślić żywo rozmaitość charakterów tu występujących. Ogólnie powiedzieć tylko można, że wszędzie, zarówno w ważnych jak i drobnych rzeczach, Kaczkowski starał się odmalować prawdziwych, rzeczywistych ludzi, nie chcąc ich wyśrubowywać na niedościgłych w swych zaletach bohaterów, ale usiłując wniknąć w ich serca, wyobraźnie i rozumy, oraz pilnie wglądając w okoliczności urodzenia, wychowania, zajęcia, trybu życia, ażeby stosownie do wpływów, jakie na wyrobienie ich indywidualności

oddziaływały, odtworzyć ich słowa i postępki. W całem obszernem dziele znajdzie się zaledwie kilka drobnych rysów, o których trafności odnośnie do osób przez powieściopisarza odmalowanych powątpiewaćby można, pomimo całej nadzwyczajnej rozmaitości sfer i położeń, z jakich one wzięte. Nie zamierzając tu wypisywać katalogu nazwisk i charakterystyk, dość wspomnieć tylko najwybitniejsze.

Więc najprzód mamy tu osobistości ze świata szlacheckiego w najprzeróżniejszych odcieniach: od króla Olbrachta, ukazanego nam zarówno w powadze majestatu rozprawiającego o ważnych sprawach kraju, jak i w chwili rozochocenia biesiadniczego, aż do dowcipnych, ciętych błędnych rycerzy w rodzaju batarda Jana Feliksa Kergolaja, oraz do giermków, z pomiędzy których marzycielski, poetyczny, idealnie kochający Jagienkę Lubek Pretficz jest, pomimo swej skromnej roli w powieści, jedną z najsympatyczniejszych i najdelikatniej, najsubtelniej narysowanych postaci. Następnie duchowieństwo znowuż w przeróżnych odmianach od hulaszczego, ale powagę w razie potrzeby choć z wysiłkiem umiejącego utrzymać kardynała Fryderyka, aż do łgarza tumaniącego ludzi opowiadaniami o swych stosunkach ze świętymi, księdza Wary. A dalej mieszczaństwo lwowskie tak świetnie odtworzone w postaciach starego ormiańskiego kupca Kijasa, który doświadczeniem i bystrym rozumem góruje nad niejednym rycerzem i umie nakazać dla siebie poważanie nawet królowi, — Kundrata, który pomimo swojego doktorskiego tytułu, jest najniezaradniejszym i najśmieszniejszym we wszystkich swych postępkach, — Pachny przyjmującej zaloty bardzo wielu, ale umiejącej sobie radzić w najtrudniejszych położeniach. A dalej jeszcze Rusini tacy jak Biłowus, Daszkiewicz, Olizar, Ofka, wszyscy pełni życia, o bardzo wybitnej charakterystyce.

A ci ludzie wprawieni są wszyscy w ruch, bawią się, kłócą, płatają sobie figle, rozmawiają, oddają się bogomyślności; robią na siebie zasadzki, staczają z sobą bitwy. Wszystko drga życiem. Takie obrazy jak zabawy we Lwowie, misteryum rubaszno-religijne wyprawione na wzór francuski przez Kergolaja, obława na złodziei, mistyczne widzenia, siedziba księdza Chryzostoma, wesele Gniewosza z Formozą, w każdym niemal szczególe świetne i nowe, na długo utkwić muszą w wyobraźni czytelników i uprzytomnią im pełnię objawów

cywilizacyjnych XV. stulecia. Autor bardzo rzadko ubiega się o efekt umyślny, dowolną kombinacyą wypadków sprowadzony, ale wszędzie prawie efekt ten osiąga przez prawdę i wybitność szczegółów. Nie chce też sobie pozyskać łatwego uwielbienia przez takie ugrupowanie scen, żeby przez nie wywołać w ostatku przyjemne, łechcące wrażenie: obok grozy stawia trywialność, obok wzruszającej scenę śmieszną, obok uniesień chłodne wyrachowanie — jak bywało i jest w życiu. A jednak nie wynika stąd niesmaczna mieszanina, bo miara prawdziwie artystyczna prawie wszędzie jest zachowana.

Niemałego uroku dodaje obrazom pogodna ironia autora, unosząca się ponad niemi; wiadomo, ile taki czynnik waży w „Panu Tadeuszu". Kaczkowski jest i czuje się panem tego całego świata stworzonego przez siebie i daje poznać swe władztwo, tak przedstawiając zachody i zawody ludzkie, że czytelnik może je z góry rozpatrzyć, ocenić je nie tak jak osoby interesowane, ale jak ludzie wyżsi, stojący z boku sympatycznie wprawdzie dla działaczów usposobieni, ale nie dający się porwać w wir drobnostek lub namiętności. Zauważyć jednak trzeba na niekorzyść autora, że czasami nadużywa swego prawa i zdaje się drwić poprostu ze swego światka, a to czyni cokolwiek ujmy temu bezpośredniemu oddaniu się wrażeniom, jakie dzieło sztuki wywoływać powinno. Mianowicie scena, w której zrozpaczony Wilczek przywołuje dyabła, a pojawia się Kostruban rekomendujący się z niemiecka jako „biedny dyabeł", jest zbyt sarkastycznie (dla czytelnika) rozwiniętą, gdy przecież w samej akcyi powieściowej (dla Wilczka) odgrywa ona rolę poważną i znamienną.

Akcya powieści, jak z poprzednich słów wnosić już można, jest rzeczywiście bogata, lecz rozwija się powoli z epickim spokojem. Powiedzieć nawet trzeba, że za powoli. Zanim Wilczek z zamku tustańskiego dojechał na sobieński, gdzie się węzeł intrygi zadzierżgnął, tyle czytelnik poznaje osób, tylu przypatruje się scenom, widzi tyle stron życia, że uwaga jego jest rozerwana zanadto, ażeby mógł mieć świeżo w pamięci wątek główny i żeby nim się w wyższym stopniu interesował.

Po wydrukowaniu „Olbrachtowych rycerzy", Kaczkowski zwrócił się ponownie do zagadnień chwili obecnej. W „gawędzie literackiej" p. t. „Słowo o romanty zmie" (1891) potrącił o wiele zagadnień pierwszorzędnych, dotyczących twórczości

i krytyki. W „Liście otwartym (*Sendschreiben)* do księcia Bismarcka“ (1894), bezimiennie po niemiecku w Szwajcaryi ogłoszonym, roztrząsał z głęboką znajomością rzeczy najważniejsze kwestye polityki bieżącej w stosunkach europejskich i wymownie napiętnował sposób postępowania Prusaków z Polakami. O ile mi wiadomo, list ten, pomimo swej aktualności i niepospolitych zalet wykonania, nie doczekał się w prasie naszej nietylko szczegółowego rozbioru, ale nawet uwzględnienia.

Obok tych prac czysto publicystycznych ogłosił nasz sędziwy autor trzy powieści, mające charakter przeważnie publicystyczny: „Wasi ojcowie“ (1892, w „Dzienniku Polskim“), „Zaklika“ (1893), „Święta Klara“ (1895, w „Nowej Reformie)“. Pod względem artyzmu, wartość ich jako całostek sztuki, jest wogóle szczupła, lecz pod względem świeżości i ważności tematów tu poruszonych, pod względem oryginalności postaci, jakie w nich zostały wyprowadzone, trudnoby w naszej współczesnej beletrystyce znaleźć im równe.

Kaczkowski, chociaż żył zdala od kraju, śledził pilnie jego sprawy i znał je dokładnie. Pisząc powieści, nie chciał poprzestać na obrazkach potocznego życia, zajętego interesami drobiazgowymi i powszednimi, lecz sięgnął do podwalin, na których wspiera się gmach społeczeństwa i narodu, starając się skierować umysł czytelnika ku głębszemu wglądaniu w najistotniejsze sprawy bytu. Nie obce mu były najnowsze prądy i kierunki (materyalizm, pozytywizm, socyalizm, emancypacya kobiet, kosmopolityzm religijny, lojalność i dążności ugodowe): a pełen wyrozumienia, zdobytego doświadczeniem, nie potępiał wszystkich nowych objawów ryczałtem, lecz karcił to tylko, co było naprawdę niedorzecznem lub zgubnem. Okazał się on w tej mierze znacznie rozleglejszym umysłem, niż większa część jego rówieśników: chciał zrozumieć wszystko, nie stać się umysłowo zacofanym, a w sprawach narodowych jednostronnie uprzedzonym.

W „Świętej Klarze“, którą nazwał „historyą polskiej rodziny“, nakreślił w formie pamiętnikowej obraz przekształceń, jakim duch społeczeństwa ulegał pod wpływem okoliczności przemożnych i prawa rozwoju. Kubuś to entuzyasta namiętny, nie tracący, pomimo najsroższych przeciwieństw i kaźni, wiary w wielkie ideały i pogrążający się ostatecznie

w mistycyzm, gdy na ziemi nie znajdował już środków do ich urzeczywistnienia. Jego żona Klara, z ojca męczennika, z matki praktycznej urodzona, w młodości podzielająca wszystkie uniesienia swego męża, potem gdy sama pokierować musiała wychowaniem synów, starała się w nich wyrobić zmysł praktyczności, by nie byli narażeni w życiu na takie straszne katastrofy, jakie sama z mężem przeszła. Dwaj synowie przejęli się zasadami, wszczepianemi przez matkę, i poszli dalej, niż ona sobie zamierzała. Melchior myślał tylko o własnem wyniesieniu i złożył wszystkie swe nadzieje na monarchii austryackiej. Baltazar duchem kosmopolitycznej religijności przeniknięty, w Afryce jako misyonarz szukał pola dla swej działalności. Oba dla kraju własnego zupełnie zobojętnieli i sprawami jego wcale się nie zajmowali. Trzeci tylko syn Klary, Kacper, w którym pomimo całej usilności matki, ojcowskie usposobienie przemogło, osiadłszy na wsi, usiłował podźwignąć stan majątkowy, aby odkupić dobra rodzinne, co poszły w obce ręce, płacąc koszta drogiego wychowania i wykształcenia — dyplomaty i misyonarza. Klara doczekała się gorzkich owoców swego systemu; wraz z wyziębieniem uczuć narodowych postradali dwaj jej najukochańsi synowie i uczucie rodzinne, stali się jej zupełnie obcymi; do nielubionego Kacpra matka sama zgłaszać się nie chciała — więc z rozpaczą w duszy osiadła w klasztorze.

Przedstawiając tę „historyę polskiej rodziny“ wzruszającą do głębi, miał Kaczkowski sposobność wypowiedzenia swojego ostatecznego poglądu na zadania społeczno-narodowe. Najogólniejsze określenie tegoż pozwalam tu sobie przytoczyć, gdyż będzie najwłaściwszem zamknięciem obrazu życia i dążeń autora.

„Od dziecka byłem zdania, że my tylko pracą możemy się dorobić lepszej przyszłości. Nie napisałem ani jednej książki, traktującej sprawy współczesne, z którejby, czy to na drodze afirmacyi, czy za pomocą negacyi, nie wynikało to przekonanie. Ale obok tego nigdy nie lekceważyłem ideałów. Jak człowiek ma ciało i duszę, tak każde społeczeństwo powinno mieć jakąś duszę w swem ciele. W społeczeństwie praca jest ciałem, a duszą jego — duchowa treść, jego ideały. Społeczeństwo, pracujące tylko w tym celu, ażeby składający je ludzie mieli co jeść i z głodu nie marli, zniża się w rodzinie naro-

dów i ludów do znaczenia rośliny. Są przecież rośliny, które najpożywniejsze owoce wydają, a mimo to są tylko roślinami. Toż takie społeczeństwo bez duszy, tak samo jak roślina i drzewo, zgnije z czasem na swoim pniu i w proch się rozsypie, a jego ciało fizyczne stanie się tylko nawozem dla innych wegetacyj całkiem mu obcych. Tylko wtedy, kiedy ma swoją własną duszę, utrzymywaną i rozwijającą się ciągle od wieków, będzie żyć wiecznie, a nawet, gdyby mu jego gałęzie poobcinano i jego pień porąbano, to jeszcze ze swoich korzeni nowe pędy wypuści i znowu wspaniałe drzewo wyrośnie. Ale, ażeby społeczeństwo zachowywało wciąż swoją duszę i aby ta dusza ciągle się wzmacniała i rozwijała do coraz wyższej potęgi, nie dosyć na tem, ażeby ci i owi jego członkowie pielęgnowali jego ideały; nie dosyć na tem, ażeby jego ideały wyrażały się tylko w dziełach wybranych ludzi, w literaturze, w poezyi, w sztuce: trzeba, ażeby wszyscy byli nimi przejęci, trzeba, ażeby w pracy każdego pracownika żyła myśl wspólna i aby żywiła swem tchnieniem ducha całości. Im więcej takich tchnień będzie wpływać w strumień duchowej całości, tem silniejszym będzie duch społeczeństwa i tem większą będzie miał pewność, że przetrwa wszystkie słoty i niepogody i będzie żyć wiecznie.

„Szczególny zawód pracy jest dla każdego człowieka niezbędnie potrzebnym — minęły te czasy i nie powinny nigdy powrócić, gdzie zamożniejsi rodzice kazali swych synów uczyć wszystkiego, ale nie nauczyli ich żadnego im właściwego zawodu — ale, dając im zawód, powinni wpoić w nich to przekonanie, że nie mają prawa zasklepiać się w swym zawodzie dla samych siebie, tylko przeciwnie, że są obowiązani swoim zawodem służyć całemu społeczeństwu i w swoim zawodzie pielęgnować ducha całości. Nie pozwolić im latać za ideałami, założywszy ręce i oczekując cudu zbawienia, — to dobrze; wytrzeźwić ich z tego romantycznego marzenia, że samem cierpieniem na ten cud sobie zasłużą, — to także dobrze; ale coby było niedobrze, to wytrzeźwić ich z ideałów, bo człowiek bez ideałów, choćby jemu samemu powodziło się jak najlepiej, to martwa gałąź na drzewie, która drzewu nie przynosi żadnego pożytku, ani go nawet nie zdobi, owszem, przeciwnie, jeszcze je szpeci — a nieraz nawet odpada od pnia i staje się igraszką wiatrów, które nie wiedzieć gdzie je zaniosą“.

„Święta Klara“ — to jakby testament polityczny Kaczkowskiego; nie długo już żył po jego ogłoszeniu; kilka miesięcy trwała choroba; umarł 7 września 1896 r. w Paryżu; pochowany został na cmentarzu w Montmorency.

VII.

Widzieliśmy, że Kaczkowski w pierwszych swoich Nieczujowskich powieściach był lepszym artystą niż myślicielem, a później stał się lepszym myślicielem niż artystą. W odpowiedzi na pytanie: dlaczego tak jest, znajdzie się także i ogólna charakterystyka umysłu autora.

Rozum jego był jasny, trzeźwy, szerokie obejmujący widnokręgi; nie lubił zatem rzeczy i scen zawiłych, tajemniczych, mistycznych, mglistych, napuszonych, nienaturalnych; nie lubił parodoksów błyskotliwych, sytuacyj zbyt naprężonych, usposobień przepaścistych. Uznaje on, że w dawnych czasach potrzebny był mistycyzm, a może nawet konieczny; ale dzisiaj nadeszły czasy inne a z nimi i inne potrzeby. Jasność w pojęciach, przejrzystość uczuć i wyrazistość wszystkich kształtów, w jakie duch ma ubierać swoje utwory — owóż dążność i potrzeba dzisiejszej epoki. Wszelka mglistość, cudowność, mistyczność, stają się dzisiaj tylko przeszkodą w rzeczach wiary, *prawie niczem* w oblicznośći rozumu, a rzeczą niezajmującą, bo już bardzo zużytą, a nawet nadużytą w krainie sztuki“ [1]).

Trzymał się więc Kaczkowski ziemi i w sfery eteryczne nie wzlatywał; mglistość, mistyczność i cudowność stanowczo i doraźnie potępiał, chociaż nie umiał tych pierwiastków *naukowo* ocenić, jak się należy. Brak mu potemu subtelności i przenikliwości, które nie zawsze chodzą w parze z jasnością i trzeźwością umysłu. Stąd wynikają te rysy powierzchowne, któremi lubił przeszłość malować; stąd rubaszność w charakterystyce, w scenach a nawet w stylu; stąd brak dowcipu, zastępowanego zazwyczaj przez staropolską jowialność, której najlepszym przykładem jest popielcowa oracya w „Murdelionie“ lub grubo-płaski niemiecki komizm. Najlepsze też, jak już wiemy, są te ustępy w powieściach Kaczkowskiego, w któ-

---

[1]) „Deotyma w Krakowie“, Warszawa 1854, str. 82.

rych występują ludzie niewielkiej inteligencyi, co się w żadne subtelności nie bawią, rżną prawdę, jak się im widzi, biją się zamaszyście, modlą się po staremu, nie wchodząc w analizę ani modlitw, ani uczuć, ani postępków swoich. Powtóre wyborne są zawsze poglądy na pewne kwestye obchodzące ogół społeczeństwa; można się z nich bowiem bardzo wiele nauczyć, chociażby się ich nie podzielało, ponieważ przedstawiają dużo materyału do myślenia, zgromadzają razem dużo stosunków, nad którymi zastanowić się warto.

Analiza natomiast psychologiczna jakiegokolwiek głębszego charakteru, uwydatnienie dowcipu w osobach, które autor dowcipnemi chce zrobić, zawsze bardzo wiele pozostawia do życzenia. Kaczkowski nie widział, zdaje się, tych braków w swoich powieściach, a co więcej badania psychologiczne, któreby im choć w pewnej części zaradziły, poprostu lekceważył. Podług jego zdania „szkoda nawet czasu na psychologiczne rozprawy“. Na tem polu — powiada — „rozum ludzki *dawno już* dotarł do dna, a nie znalazłszy *nic na niem* (sic) pozostawił wprawdzie pobudowane przez siebie teorye, ale sam w nie nie wierzył“ [1]). Któż dziś ośmieli się twierdzić razem z Kaczkowskim, że tajemnice psychiczne zostały wyczerpane do dna, a raczej, że w nich nic niema do wyczerpania, ponieważ one wiadome są tylko Bogu? Któż podzieli jego wstręt do rozpraw psychologicznych, dla których nowa nastała epoka? Nie waham się twierdzić, że Kaczkowski dlatego tylko gardził badaniami psychologicznemi, że ich nie znał, że się niemi nie zajmował, i gdyby je był studyował, zostawiłby nam daleko dokładniejsze, żywsze i barwniejsze portrety osobistości współczesnych, w których różnorodne wpływy wyżłabiają brózdy duchowe, załamy i skazy, niepodobne do pojęcia bez należytego rozbioru psychologicznego. Gdyby je był studyował, uznałby, że uczucie, namiętność, stanowiąc podstawę ludzkiej działalności, są siłami, które i sztuka przedewszystkiem uwzględniać musi; a przekonanie takie zmusiłoby go do bliższego zastanowienia się nad żywiołem prawie zupełnie upośledzonym w jego powieściach. Gdyby je był studyował, to zamiast maryonetek, w które obfitują jego romanse współczesne, mielibyśmy prawdziwych ludzi, żyjących życiem

---

[1]) „Rozbitek“ 1861, t. III, 215.

indywidualnem sobie właściwem, samoistnem a nie pożyczonem, odbitem, sztucznem.

Fantazya Kaczkowskiego szła bezwarunkowo pod komendę rozumu: trzymała się jak najbliżej ziemi, lubowała się w rysach grubych, prostych i jasnych, z należytą precyzyą odkreślonych. Taki stosunek fantazyi do rozumu był zaletą, o ile nie dozwalał jej puszczać się samopas, i broić niedorzeczności w awanturniczych wyprawach do krain nadzmysłowych, ale krył też w sobie i wady, które się w artystycznym układzie powieści, w obrobieniu charakterów i scen na niekorzyść sztukmistrza uwydatniły. Fantazyi brakowało swobody, brakowało tych drgnień namiętnych [1]), w których ona daje poznać swoją potęgę, brakowało barw wyrazistych, brakowało ciepła. Kaczkowski nie dawał się porywać namiętności, nie chciał być krańcowym w żadnym kierunku, starał się zachować złoty środek i chwalebne umiarkowanie. Ale nie posiadając w arsenale umysłowym broni przenikliwości i subtelności, uczynił ten złoty środek pospolitym, a czasami trywialnym, a to chwalebne umiarkowanie — niezdecydowaną niezaradnością. W pierwszych chwilach powieściopisarskiego zawodu, kiedy był jeszcze bardzo młodym, zwróciwszy się ku przeszłości XVIII. wieku, pokochał ją całem sercem pomimo jej wad; nie pragnął nic jej wyrzucać, lecz chciał ją jedynie odtworzyć taką, jaką się w umyśle jego przedstawiała. Było to zadanie czysto artystyczne bez żadnej myśli ubocznej, bez chęci moralizowania i wpływania na opinię publiczną. Ponieważ obrał sobie za opowiadacza jednostkę mierną pod każdym względem; ponieważ chwytał tylko rysy powierzchowne; ponieważ dla przedstawienia rubaszności ojców nie potrzebował szczególnej finezyi i dowcipu; ponieważ wreszcie z prawdziwą namiętnością wpatrzył się w oblicze wieku zeszłego: wywiązał się z zadania znakomicie w kilku obrazkach mniejszych i w jednym większym — „Murdelionie“. Inne utwory z tego czasu, chociaż mniej zadowalają pod względem budowy całości, mają świetne ustępy pod względem artystycznym, choć pod względem myśli są nijakie.

Później chciał Kaczkowski rozszerzyć widnokrąg swoich

---

[1]) Jakie znaczenie dla fantazyi ma uczucie i namiętność, starałem się przedstawić w „Genezie fantazyi“. Warszawa 1873, str. 77—88.

powieści, wprowadzając w nie żywioł badawczy; chciał wyjaśnić przyczyny różnych zjawisk przeszłych i współczesnych; chciał wniknąć głębiej w istotę chorób narodowych, ażeby zwrócić na nie uwagę ogółu. Cel czysto artystyczny ustąpił miejsca tendencyi społecznej; moralizowanie stało się rzeczą główną, a obrazowanie — podrzędną. Szczegółowa obserwacya charakterów, przypatrywanie się im z miłością i zajęciem, studyowanie ich ciała, szat i duszy uważał teraz Kaczkowski za trud niezbyt ważny względnie do obszaru i znaczenia myśli, które wśród publiczności rozpowszechnić przedsięwziął. Tak było przedewszystkiem w przedstawieniu stosunków współczesnych. Kaczkowski wystąpił jako myśliciel-satyryk; a satyryk mało dba o wierne, plastyczne odmalowanie ludzi, gdyż mu chodzi głównie o napiętnowanie jakiejś przywary, wady lub zgubnych przekonań, które powiększa a niekiedy karykaturuje. Autor nie szukał już wzorów na ziemi, w swojem otoczeniu; ale myśli własne, poglądy na społeczeństwo — przyoblekał w ciało. A ponieważ nie posiadał silnej fantazyi; ponieważ na ludzi patrzył z groźbą a nie z miłością; ponieważ przedsięwziął zajrzeć głębiej w duszę człowieka, a nie miał do tego dostatecznych danych, którychby mu badania psychologiczne dostarczyć mogły; tworzył więc rzeczy pod względem artystycznym wielce słabe. Natury jasne, proste, których cały umysł i całe uczucie były, że tak powiem, na wierzchu, jak dawniej tak i teraz wybornie się prezentowały; lecz natury powikłane, chaotyczne, głębokie, wypowiadające daleko mniej niż myślą i czują, posiadające w sobie materyał na ludzi wielkich, czy w zbrodni czy w cnocie, takie natury jak Kamila, Mirona, Chrewty, Anuncyaty, Grafa Raka, Abrahama Kitaja, Leonarda Wilczka, Kubusia, Klary zostały narysowane albo blado, albo ułamkowo, albo szkicowo tylko. Umysł Kaczkowskiego, pomimo swe braki, potrafił je zapewne ocenić, jeżeli je uznał godnemi wprowadzenia w świat artystyczny; ale fantazya przywykła do nizkiego lotu nie dotrzymała kroku umysłowi i chociaż starała się być mu posłuszną, nie zdołała przecież wzmocnić swych sił i podążyć za nim w równej odległości.

Obok pomysłów niewielkiej wagi wysoki artyzm; obok tematów znakomitej doniosłości obrobienie artystyczne niezadowalające: oto rezultat dwu sił umysłowych — rozumu

trzeźwego i fantazyi jemu podległej. Czyżby to miało dowodzić, że pomysły, wznoszące się nad poziom życia codziennego, nie mogły być przedmiotem działalności artystycznej? Nie, bezwątpienia. Historya literatury przedstawia nam przykłady, dowodzące, że bywało inaczej; przyczyny szukać musimy tylko w umyśle powieściopisarza. Potrzeba mieć rozum bardzo głęboki i bardzo subtelny, fantazyą bardzo żywą i bardzo potężną, ażeby stworzyć arcydzieło. Nie każdemu takie dary dostają się w podziale.

Atoli obok geniuszów istnieją talenta różnego rodzaju, które tworzą *częściowe* tylko piękności. Do tych talentów pierwszego rzędu należy bezwątpienia Kaczkowski. Nie można o nim zapewne powiedzieć, żeby w jego dawniejszych powieściach historycznych odbite było *całkowite* życie wieku XVIII; bo tego żaden dotychczas romansopisarz dokonać nie potrafił; lecz można twierdzić, że żaden z naszych autorów nie dał tak rozległego, tak wyczerpującego i tak na autentycznych świadectwach opartego malowidła przeszłości, jak on w „Olbrachtowych rycerzach“ przedstawił schyłek wieku XV. Mało też kto zgodzi się ze zdaniem Kraszewskiego, który we dwa lata po Siemieńskim, powtarzając jego zarzuty, powiada, że w Kaczkowskim „razi co chwila jakaś komedya i maszkarada, a przez aktora przegląda świeżuteńki i młodziuchny *człowieczek*“, a już z niesmakiem chyba odczyta się wyrok proroczy, że wizerunek przeszłości nie przyjdzie nam „przez pióro młodzika, który zadania potężne ma sobie za igraszkę i pisze *po studencku* (!!) ćwiczenia na dane tema“ [1]). Sam Kraszewski, który tak absolutny ferował werdykt, czyż dał nam marzony przez siebie wizerunek przeszłości?...

A co się tyczy powieści współczesnych Kaczkowskiego to wyznać należy, że w dziesięcioleciu od r. 1850 do 1860 bardzo mało pojawiło się utworów, któreby tak silnie *pobudzały do myślenia* jak one. Kto pojmuje doniosłość tego zdania, temu nie trzeba objaśniać szeroko wartości zasług, położonych przez człowieka, który takie utwory napisał. Współcześni nie ocenili należycie tej strony powieści Kaczkowskiego; późniejsi nie zabierali się zbyt skwapliwie do ich

---

[1]) „Gawędy o literaturze i sztuce“ J. I. Kraszewskiego. Lwów 1857, str. 65 i 75.

czytania; do krytyki zatem należy tę właśnie stronę zaakcentować. Wszystkie kwestye podjęte przez Kaczkowskiego w powieściach współczesnych dzisiaj jeszcze są żywotne i albo w tej samej, albo w zmienionej nieco formie, przeszły obecnie do szpalt czasopiśmiennictwa. Ażeby tylko dać jeden przykład, dość wspomnieć, że Kaczkowski wśród rozbawionej i łakociami powieściowemi zepsutej publiczności, ośmielił się wprowadzić na nowo do romansu ideę pracy wewnętrznej, drobnej, mozolnej, powolnej, ale krzepiącej siły społeczeństwa. A przecież po latach kilkunastu wrócono do tej idei w dziennikarstwie i powieści, jakby do czegoś zupełnie nowego. Podobnie rzecz się ma z wielu innemi kwestyami, o których poprzednio mówiłem, zwłaszcza w ostatnich powieściach współczesnych.

Że nie wszystkie podniesione przez siebie wątpliwości zadowalająco zwalczył; że przyczyny nieszczęść podał czasami nietrafnie; że w poglądzie na ustrój społeczny nie zawsze był sprawiedliwym: to nic a nic nie uwłacza zasłudze, że o *ważnych* przedmiotach mówił, że chciał przerwać drzemkę umysłową, w której społeczeństwo było pogrążone, albo że chciał wskazać zgubność drogi, na którą pewna grupa przewódców wprowadzić je chciała, że podsuwał mu temata do rozwagi. Jak wiadomo, nikt jeszcze nie wynalazł *panaceum* na wszystkie choroby społeczne; nikt sposobu istotnego uszczęśliwienia ludzi nie obmyślił; pomimo to jednak nikt ku temu celowi dążyć nie przestał. Stosunki społeczne należą do najbardziej złożonych i najbardziej zawikłanych; nic więc dziwnego, że dotychczasowe usiłowania celem uregulowania ich ku powszechnemu zadowoleniu nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Ażeby je uregulować, potrzeba je poznać i zbadać. Pierwszym krokiem do ich poznania jest zwrócenie na nie powszechnej uwagi. Kaczkowski zrobił ten krok i to mu się liczy za znakomitą zasługę — jako jednego z największych u nas budzicieli myśli.